KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ Nr 2/100 1956



• «La Culture» • Revue mensuelle •

Nr 100

SPIS RZECZY

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ Luty-Février 1956

INSTYTUT  LITERACKI

NAGRODA LITERACKA "KULTURY"

Prace jury nad przyznaniem nagrody literackiej za rok 1955 dobiegają końca. Wynik będzie ogłoszony w numerze marcowym „Kultury".

Przypominamy, że termin nadsyłania prac na nagrodę „Kultury" 1956 upływa 31 października br.

NAGRODA MUZYCZNA "KULTURY"

Przypominamy, że termin nadsyłania prac na nagrodę muzyczną „Kultury" (warunki były ogłoszone w numerze 10/96 z 1955 r.) upływa 1 kwietnia 1956.

DALSZE WPŁATY NA DOM "KULTURY"

J. Topolnicki, Montreal (Kanada)	1.500 fr.
Jan i Amelia Slastny, Kogarah, NSW (Australia)	2.200 "
M. W. K. (Australia)	3.750 "
Kazimierz Zamorski, Monachium (Niemcy)	1.000 "
T. Drymmer, Ottawa (Kanada)	350 "
Aleksander Grzonka, Caracas (Wenezuela)	7.000 "
Aleksander Kawałkowski, Paryż	5.000 "
L. Demciuch, Salisbury (Anglia)	1.000 "
Dr. Ewa Rajewska-Przesmycka, Fairford, n/Cirencester, Glos' (Anglia)	1.000 "
Marian Kozielewski, Montreal (Kanada)	350 "
Stefania Kałużniacka, Detroit (USA)	750 "
Władysław Stefanik, Detroit, Mich. (USA)	1.750 "
Stanisław Fałda, Chicago, Ill. (USA)	1.750 "
Kazimierz Marciniak, Kenosha, Wis. (USA)	1.500 "
Mieczysław Błaszkiewicz, Brooklyn, N.Y. (USA) (ponownie)	1.500 "
Marcin R. Wyczałkowski, Cheverly, Md. (USA)	3.500 "
Peter P. Yolles, Fort Tilden, N.Y. (USA)	3.500 "
Inż. J. Lubański, Pine Grove, Calif. (USA)	2.100 "
M. Gliński, Springfield, Mass. (USA)	750 "
Karol Styczniewski, London, Int. (Kanada), z okazji 100-go numeru „Kultury"	1.750 "

DZIĘKUJEMY

Imprimé en France

Czy istnieje doktryna marksistowska?

Wielu ludzi uważa się za przeciwników, albo zwolenników, albo zwolenników z zastrzeżeniami doktryny marksistowskiej. Nikomu nie przyjdzie na myśl zapytać: czy Marks miał doktrynę? Trudno sobie wyobrazić, aby rzecz, która obudziła tyle sporów, mogła nie istnieć. A jednak jest to częsty wypadek. Warto więc postawić i zbadać pytanie. Po uważnej rozwadze wypadnie, być może, odpowiedzieć negatywnie.

Powszechnie sądzi się, że Marks był materialistą. Nie był nim zawsze. W młodości miał zamiar wypracować filozofię pracy, w duchu właściwie bardzo bliskim Proudhon'a. Filozofia pracy nie jest materialistyczna. Grupuje ona wszystkie problemy odnoszące się do człowieka wokół aktu, który, stanowiąc bezpośrednie i rzeczywiste uchwycenie materii, określa stosunek człowieka do antagonistycznego elementu. Element antagonistyczny to materia. Człowiek nie jest tutaj do niej sprowadzony, jest jej przeciwstawiony.

Idąc po tej drodze młody Marks nie rozpoczął nawet szkicować ogólnego zarysu. Dostarczył tylko kilku wskazówek. Proudhon, ze swojej strony, rzucił jedynie kilka błysków wśród wielkiej ilości dymu. Taka filozofia jest dotychczas do zrobienia. Jest być może konieczna. Jest być może szczególnie potrzebna w naszej epoce. Wiele znaków wskazuje, że w wieku ubiegłym formował się jej zarodek. Ale nic z niego się nie narodziło. Być może jest to twór zarezerwowany dla naszego stulecia.

Marksa jeszcze w młodości powstrzymał przypadek bardzo pospolity w XIX wieku: wziął siebie poważnie. Uległ rodzajowi mesjanistycznego złudzenia wierząc, że jemu przypadła decydująca rola w zbawieniu ludzkiego gatunku. Odtąd nie mógł zachować swojej zdolności do myślenia w pełnym sensie tego słowa. Porzucił filozofię pracy, która w nim kiełkowała, choć od czasu do czasu, coraz rzadziej, nadal umieszczał w swoich pis-

mach formuły z niej czerpane. Nie będąc zdolnym wytworzyć doktryny, wziął dwa wierzenia najbardziej rozpowszechnione w swojej epoce, jedno i drugie ubogie, ogólnikowe, przeciętne i co więcej niemożliwe do pomyślenia razem. Jedno z nich to kult nauki, drugie to socjalizm utopijny.

Żeby je przyjąć razem, nadał im fikcyjną jedność przy pomocy formuł, które, jeśli się pyta o ich treść, nie wykazują ostatecznie żadnej, poza stanem uczuciowym. Kiedy jednak autor zręcznie dobiera słowa, czytelnik rzadko jest tak niegrzeczny, żeby stawiać podobne pytania. Im mniej jakaś formuła ma treści, tym grubsza jest zasłona, która kryje niedopuszczalne sprzeczności myśli.

Oczywiście nigdy nie było zamiarem Marksa wprowadzać publiczność w błąd. Publicznością, którą musiał wprowadzać w błąd, żeby móc żyć, był on sam. Dlatego otoczył rdzeń swojej koncepcji chmurami metafizycznymi, które, jeżeli im przyglądać się przez czas dłuższy, stają się przezroczyste ale odsłaniają pustkę.

Jednakże nie tylko sfabrykował sztuczną więź między dwoma systemami, które wziął gotowe; również je przemyślał. Jego umysł, o zasięgu niewystarczającym do wydania doktryny, był zdolny do pomysłów genialnych. Są w jego dziełach fragmenty zwarte, niezbicie prawdziwe, które zawsze będą miały swoje miejsce we wszelkiej doktrynie opartej na prawdzie. Nie tylko są one zgodne z chrystianizmem, ale są nieskończenie dla niego cenne. Powinny być przejęte od Marksa. Jest to o tyle łatwiejsze, że to, co dzisiaj nazywa się marksizmem, to jest prąd umysłowy, powołujący się na Marksa, nie zrobił z nich żadnego użytku. Prawda jest zbyt niebezpieczna żeby jej dotykać. To dynamit.

Kult nauki XIX wieku było to przeświadczenie, że nauka epoki, przy pomocy prostego rozwoju w kierunkach już określonych przez osiągnięte wyniki, dostarczy całkowicie pewnej odpowiedzi na wszystkie bez wyjątku pytania, stawiane przez człowieka. Stało się natomiast inaczej : wziąwszy nieco rozpędu sama nauka się załamała. Ta, którą dzisiaj się ceni, jest już inną nauką. Tamta, dziewiętnastowieczna, została z szacunkiem złożona w muzeum z etykietką : nauka klasyczna.

Była ona dobrze skonstruowana, prosta i jednolita. Królowała w niej mechanika. Centrum stanowiła fizyka. Ponieważ w tej dziedzinie osiągnięto najświetniejsze wyniki, wpływała ona silnie na inne zakresy badań. Pomysł, żeby badać człowieka tak, jak fizyk bada materię nieożywioną, sam się narzucał i ta idea szeroko się rozpowszechniła. Myślano jednak o człowieku tylko jako o jednostce. Materia odtąd była ciałem, albo też starano się określić odpowiednik psychiczny atomu. Ci, którzy reagowali przeciwko temu zajęciu się wyłącznie jednostką, występowali też przeciwko kultowi nauki.

Marks pierwszy, — i jeżeli się nie mylę jedyny, bo nie

kontynuowano jego poszukiwań — wpadł na podwójną myśl spojrzenia na społeczeństwo jako na podstawowy fakt ludzki i badania w nim, jak fizyk bada w materii, stosunków siły.

Jest to idea genialna, w pełnym sensie tego słowa. Nie jest to doktryna. Jest to instrument badań, poszukiwań, eksploracji i być może konstrukcji, niezbędny dla każdej doktryny, która nie ma rozpaść się na proszek w zetknięciu z prawdą.

Marks, wpadłszy na ten pomysł, postarał się go wyjałowić o tyle, o ile to od niego zależało, przygniatając go nędznym scientyzmem epoki. Czy raczej Engels, znacznie od niego niższy i świadomy swojej niższości, dokonał za niego tej operacji; Marks jednak pokrył ją swoim autorytetem. Wynikł z tego system, według którego stosunki siły określające strukturę społeczną warunkują całkowicie los i myśli ludzi. Taki system jest bezlitosny. Siła w nim jest wszystkim, nie zostawia on żadnej nadziei sprawiedliwości. Nie zostawia nawet żadnej nadziei, żeby dało się uchwycić umysłem sprawiedliwość w jej prawdzie, ponieważ myśli są tylko odbiciem stosunków siły.

Marks jednak miał serce współczujące. Na widok niesprawiedliwości rzeczywiście, można powiedzieć, fizycznie, cierpiał. Cierpienie to było tak silne, że odebrałoby mu zdolność do życia, gdyby nie oczekiwał bliskiego i ziemskiego triumfu sprawiedliwości całkowitej. Dla niego, jak dla wielu innych, potrzeba była najważniejszym z dowodów.

Większość istot ludzkich nigdy nie podaje w wątpliwość myśli, bez której dosłownie nie mogliby żyć. Najcięższy wybór, przed jakim może znaleźć się człowiek, to wybór między prawdą i życiem. Kto chce zachować duszę, straci ją. To zdanie byłoby lekkomyślne, gdyby odnosiło się tylko do tych, co w żadnych okolicznościach nie godzą się umrzeć. Jest ich na ogół niewielu. Zdanie staje się straszliwe, kiedy się je stosuje do tych, co nie chcą się wyrzec swoich myśli, choćby były one fałszem, jeżeli czują, że bez nich musieliby się wyrzec życia.

Obiegową koncepcję sprawiedliwości w czasach Marksa dawał socjalizm, który on sam nazwał utopijnym. Była ona uboga, jeśli chodzi o wysiłek myśli, ale głęboko ludzka i szlachetna jako uczucie, bo pragnęła wolności, godności, dobrobytu i wszelkiego możliwego dobra dla wszystkich. Marks ją przejął. Starał się tylko ją uściślić, dorzucił idee interesujące, ale nic naprawdę pierwszorzędnego.

Zmienił sam charakter nadziei : prawdopodobieństwo oparte na postępie ludzkim nie mogło mu wystarczyć. Jego niepokój domagał się pewności. Nie buduje się pewności na człowieku. Jeżeli wiek XVIII miał chwilami to złudzenie, a miał je tylko chwilami, wstrząsy Rewolucji i wojny były dostatecznie okrutne, żeby z niego wyleczyć.

W poprzednich wiekach ludzie, którzy potrzebowali pewności, wspierali ją na Bogu. Filozofia XVIII wieku i cuda techniki zdawały się dźwignąć człowieka tak wysoko, że stracono to

przyzwyczajenie. Wkrótce jednak całkowita niewystarczalność wszystkiego co ludzkie stała się znów widoczna i odczuwano potrzebę szukania podpory. Bóg nie był w modzie. Wzięto materię. Człowiek tylko na moment może znieść myśl, że jest samotny w swoim pragnieniu dobra. Trzeba mu wszechpotężnego sojusznika. Jeżeli nie wierzy się w daleką, milczącą, ukrytą wszechmoc ducha, pozostaje tylko oczywista wszechmoc materii.

Na tym polega nieskończona absurdalność wszelkiego materializmu. Gdyby materialista mógł odrzucić wszelką troskę o dobro, byłby najzupełniej zgodny z sobą. Ale nie może. Sama istota człowieka nie jest niczym innym niż stałym dążeniem do dobra, którego człowiek nie zna. A materialista jest człowiekiem. Dlatego nie potrafi uniknąć traktowania materii jako maszyny do fabrykacji dobra.

Zasadnicza sprzeczność w życiu ludzkim sprowadza się do tego, że człowiek, którego samą istotę stanowi dążenie do dobra, jest równocześnie poddany w całej swojej istocie, w swojej myśli i w swoim ciele, sile ślepej konieczności najzupełniej obojętnej na dobro. Tak już jest i dlatego żadna myśl ludzka nie może uniknąć sprzeczności. Sprzeczność nie jest bynajmniej zawsze oznaką błędu, czasem bywa oznaką prawdy. Wiedział to Plato. Należy jednak rozróżnić. Użytek, jaki się robi ze sprzeczności bywa dwojaki: dopuszczalny i niedopuszczalny.

Użytek niedopuszczalny polega na połączeniu dwóch myśli niezgodnych z sobą tak, jak gdyby były one zgodne. Użytek dopuszczalny polega, najpierw, kiedy dwie myśli niezgodne ze sobą pojawiają się w umyśle, na wyczerpaniu wszelkich środków inteligencji, aby wyeliminować przynajmniej jedną z nich. Jeżeli to okaże się niemożliwe, jeżeli jedna i druga narzucają się jako oczywiste, należy uznać sprzeczność za fakt. Następnie należy się nią posłużyć jako narzędziem o dwuch ramionach, jak obcążkami, żeby wejść w bezpośredni kontakt z transcendentną dziedziną prawdy niedostępnej zdolnościom ludzkim. Kontakt jest bezpośredni, choć dokonuje się za pośrednictwem, podobnie jak zmysł dotyku bezpośrednio odczuwa chropowatość stołu, po którym prowadzi się nie rękę a ołówek. Kontakt jest rzeczywisty, chociaż należy do rzeczy z natury niemożliwych, bo chodzi o kontakt pomiędzy umysłem i tym, co nie jest możliwe do pomyślenia. Jest on nadprzyrodzony ale rzeczywisty.

Ten użytek dopuszczalny zrobiony ze sprzeczności, jako przejście do sfery transcendentnej, ma swój częsty odpowiednik, żeby się tak wyrazić, obraz, w matematyce. Gra on zasadniczą rolę w dogmacie chrześcijańskim, jak można z tego zdać sobie sprawę na przykładzie dogmatu Trójcy, Wcielenia czy na jakimś innym. Podobnie jest w innych religiach. Tu być może znajdujemy kryterium, które pozwala rozpoznać autentyczne tradycje religijne i autentyczne filozofie.

Przede wszystkim użytek zrobiony ze sprzeczności zasadniczej, sprzeczności pomiędzy dobrem i koniecznością, czy też z od-

powiadającej jej sprzeczności między sprawiedliwością i siłą dostarcza nam kryterium. Nieskończony dystans, jak powiedział Plato, dzieli dobro od konieczności. Nie mają one nic wspólnego. Są całkowicie różne. Chociaż jesteśmy zmuszeni przypisywać im jedność, ta jedność jest tajemnicza, pozostaje ona dla nas sekretem. Kontemplacja tej nieznanej nam jedności stanowi o autentycznym życiu religijnym.

Fabrykować odpowiednik fikcyjny, błędny, tej jedności tak, aby była ona uchwytna dla zdolności ludzkiego umysłu — to treść niższych form życia religijnego. Każdej formie autentycznej życia religijnego towarzyszy forma niższa, która z pozoru wspiera się na tej samej doktrynie, ale jej nie rozumie. Nie byłoby prawdą utrzymywać, że jest odwrotnie. Istnieją sposoby myślenia, które są właściwe tylko życiu religijnemu niższego gatunku.

Pod tym względem cały materializm, o ile przypisuje materii zdolność automatycznej fabrykacji dobra, powinien być zaliczony do niższych form życia religijnego. Sprawdza się to nawet w zastosowaniu do burżuazyjnych ekonomistów XIX wieku, apostołów liberalizmu, którzy mają akcenty naprawdę religijne kiedy mówią o produkcji. Sprawdza się to w większym jeszcze stopniu w zastosowaniu do marksizmu. Marksizm nie jest niczym innym niż religią, w najbardziej nieczystym sensie tego słowa. Ma on w szczególności tę cechę wspólną z wszelkimi niższymi formami życia religijnego, że używa się go stale, według jakże słusznego wyrażenia Marksa, jako opium dla ludu.

Zresztą spirytualizm taki jak Platona różni się od materializmu tylko odcieniem, tylko nieskończenie małym pierwiastkiem. Plato nie mówi, że dobro jest automatycznym produktem konieczności, ale że duch włada koniecznością przez perswazję, doradza jej obrócić na dobro większość rzeczy które się dzieją; a konieczność jest zwyciężona przez tę mądrą perswazję. Podobnie Ajschylos powiada: ,,Bóg nie ucieka się do żadnego gwałtu, wszystko co boskie jest bez wysiłku. Mieszkając wysoko, mądrość umie jednak działać stamtąd, ze swego czystego tronu''. Tę samą myśl odnajdziemy w Chinach, w Indiach, w chrystianizmie. Wyraża ją pierwsza linia Ojcze Nasz, którą trzeba by było właściwie tłumaczyć: ,,Ojcze nasz, ojcze niebios'', a jeszcze pełniej wyrażają ją cudowne słowa: ,,Ojciec wasz, który jest ukryty''.

Udział nadprzyrodzonego tu na ziemi to sekret, milczenie, pierwiastek nieskończenie mały. Jednak działanie tego pierwiastka nieskończenie małego jest decydujące. Prozerpina sądziła, że nie zobowiązuje się do niczego kiedy, na wpół zmuszona, na wpół przekonana, zgodziła się zjeść jedno ziarnko granatu; ale od tej chwili już na zawsze inny świat był jej królestwem i ojczyzną. Perła na polu jest prawie niewidoczna. Ziarnko gorczycy jest najmniejszym z ziaren.

Decydujące działanie nieskończenie małego pierwiastka jest

paradoksem; inteligencja ludzka rozpoznaje je z trudem; natura jednak, która jest lustrem praw boskich, dostarcza na każdym kroku jego obrazów. A więc katalizatory, bakterie, fermenty. W stosunku do ciała stałego punkt jest czymś nieskończenie małym. Jednak każde ciało ma punkt, który więcej znaczy niż cała masa tak, że jeżeli podtrzymać je w tym punkcie, ciało nie pada. Punkt zetknięcia ostrołuków podtrzymuje z góry cały budynek. Archimedes mówił: ,,Dajcie mi punkt oparcia a poruszę ziemię''. Milcząca obecność nadprzyrodzonego tu na ziemi jest tym punktem oparcia. Dlatego w pierwszych wiekach porównywano krzyż do wagi.

Gdyby jakaś wyspa, zupełnie odcięta od reszty świata, była zamieszkana tylko przez ślepców, światło byłoby dla nich tym, czym dla nas jest pierwiastek nadprzyrodzony. Jest się skłonnym przypuścić, że światło byłoby dla nich niczym, że tworząc na ich użytek fizykę, w której nie byłoby miejsca na teorię światła, dostarczono by im całkowitego wytłumaczenia ich świata. Bo światło nie uderza, nie popycha, nie waży, nie jest do zjedzenia. Dla nich jest po prostu nieobecne. A jednak nie da się go wyłączyć z rachunku. Tylko dzięki niemu drzewa i rośliny wzbijają się ku niebu mimo ciążenia. Tylko dzięki niemu dojrzewają ziarna, owoce i wszystko co się je.

Łącząc dobro i konieczność w jedność transcendentną, rozwiązuje się zasadniczy problem ludzki w sposób niezrozumiały. W szczególności jeżeli się dodaje jeszcze bardziej niezrozumiałe przekonanie, że coś z tej jedności transcendentnej przenika do tych, którzy nie rozumiejąc jej, nie mogąc wobec niej zrobi żadnego użytku ani ze swojej inteligencji ani woli, patrzą na nią z miłością i upragnieniem.

To, co wymyka się zdolnościom ludzkim, nie może być z założenia ani sprawdzone ani obalone. Wynikają jednak z tego konsekwencje dostrzegalne na poziomie ziemskim, który jest naszym zdolnościom dostępny; te konsekwencje mogą być poddane sprawdzeniu. I, w rzeczy samej, ten dowód ma wagę. Drugiego pośredniego sprawdzianu dostarcza powszechna zgodność ludzi w tym względzie. Z pozoru religie i filozofie są tak różnorakie, że ten dowód, zdawałoby się, nie istnieje; ta różnorodność doprowadziła nawet wiele umysłów do sceptycyzmu. Jednak uważniej przyjrzawszy się zagadnieniu dostrzegamy, że z wyjątkiem krajów, które poddały swoje życie duchowe imperializmowi, wszystkie religie mają za swoje ukryte centrum doktrynę mistyczną; i chociaż doktryny mistyczne różnią się między sobą, nie tylko są po prostu podobne, ale absolutnie identyczne w szeregu punktów zasadniczych. Trzecim wreszcie sprawdzianem pośrednim jest doświadczenie wewnętrzne. Jest to, nawet dla tych, którzy sami zaznali tego doświadczenia, dowód pośredni w tym sensie, że wymyka się ono ich zdolnościom myślowym; chwytają tylko zewnętrzny pozór i wiedzą to. A zarazem wiedzą jakie jest tego znaczenie. W ciągu wielu ubiegłych wie-

ków istniała mała grupka istot ludzkich, najoczywiściej niezdolnych nie tylko do kłamstwa ale również do autosugestii i ich świadectwo w tej dziedzinie jest decydujące.

Tylko te trzy dowody są, jak się zdaje, możliwe, ale są one wystarczające. Można do nich dorzucić odpowiednik dowodu przez sprowadzenie do absurdu badając inne rozwiązania, te które fabrykują więź fikcyjną pomiędzy dobrem i koniecznością, na poziomie zdolności ludzkich. Mają one konsekwencje absurdalne i absurdalność tę da się stwierdzić przy pomocy rozumu i doświadczenia.

Ze wszystkich rozwiązań niewystarczających, rozwiązania materialistyczne są niewątpliwie najlepsze, najbardziej użyteczne i tylko one, być może, zawierają fragmenty czystej prawdy. Materializm bierze pod uwagę wszystko z wyjątkiem pierwiastka nadprzyrodzonego. Jest to niemała luka, bo w nadprzyrodzonym wszystko jest zawarte i nieskończenie przewyższone. Jeżeli jednak nie włącza się do rachunku pierwiastka nadprzyrodzonego, ma się rację będąc materialistą. Ten wszechświat, jeżeli od niego odjąć nadprzyrodzone, jest tylko materią. Opisując go tylko jako materię, chwyta się część prawdy. Opisując go jako kombinację materii i sił specyficznie moralnych, które należeć mają do tego świata, które mają istnieć na poziomie materii, fałszuje się wszystko. Dlatego dla chrześcijaństwa pisma Marksa są znacznie bardziej cenne niż pisma na przykład Woltera i Encyklopedystów, którzy znajdowali sposób żeby być ateistami, nie będąc materialistami. Byli ateistami, nie w tym prostym sensie, że mniej czy więcej wyraźnie odrzucali pojęcie Boga osobowego, jak to robią niektóre sekty buddyjskie, które mimo to znają życie mistyczne, ale w tym sensie, że odrzucali wszystko co nie jest z tego świata. Naiwni, wierzyli, że sprawiedliwość jest z tego świata. Jest to niebezpieczne złudzenie, zawarte w tym co nazywa się zasadami 1789 roku, wiarą laicką i tak dalej.

Pośród wszystkich form materializmu dzieło Marksa zawiera niesłychanie cenną wskazówkę, chociażby on sam nie zrobił z niej niemal żadnego rzeczywistego użytku, a jego zwolennicy jeszcze mniej. Jest to pojęcie materii nie-fizycznej. Marks, słusznie traktując społeczeństwo jako podstawowy fakt ludzki tego świata, zwracał uwagę tylko na materię społeczną; można jednak również, z kolei, stworzyć pojęcie materii psychologicznej; istnieją w psychologii współczesnej prądy idące w tym kierunku choć samego pojęcia nie sformułowano. Powstrzymuje od tego pewna ilość rozpowszechnionych przesądów.

Idea jest następująca (jest ona niezbędna dla każdej poważnej doktryny, jest ona centralna). Pod powierzchnią zjawisk z dziedziny moralnej, czy to zbiorowych czy jednostkowych, istnieje coś analogicznego do samej materii. Coś analogicznego. Nie to co się nazywa materią. Dlatego systemy które Marks zaliczał do, jak to nazywał z odcieniem usprawiedliwionej po-

gardy, materializmu mechanicznego, systemy, które starają się wytłumaczyć myśl ludzką przy pomocy mechanizmu fizjologicznego, są głupstwem. Myśli są poddane mechanizmowi, który jest im właściwy. Jest to jednak mechanizm. Kiedy myślimy o materii, myślimy o mechanicznym systemie sił, poddanych ślepej i niezwalczonej konieczności. To samo stosuje się do tej niedotykalnej materii, która stanowi substancję naszych myśli. Jest tylko bardzo trudno uchwycić tu pojęcie siły i ustalić prawa tej konieczności.

Nawet jednak zanim się to osiągnie, jest rzeczą niezwykle użyteczną wiedzieć, że ta specyficzna konieczność istnieje. Pozwala to uniknąć dwóch błędów, w które się wpada bez ustanku, bo ledwo ktoś pozbędzie się jednego, wpada w drugi. Pierwszy z nich powstaje kiedy ktoś wierzy, że zjawiska moralne są odbitką przez kalkę zjawisk materialnych, na przykład że dobre samopoczucie moralne wynika automatycznie i wyłącznie z fizycznego dobrobytu. Drugi błąd powstaje, kiedy ktoś wierzy, że zjawiska moralne są niezależne, że może je wywołać autosugestia czy sugestia zewnętrzna, względnie akt woli.

Zjawiska te nie są poddane konieczności fizycznej a jednak są poddane konieczności. Oddziałują na nie zjawiska fizyczne, ale oddziałują w sposób szczególny, zgodny z prawami konieczności, której zjawiska moralne są poddane. Wszystko co rzeczywiste jest poddane konieczności. Nic bardziej rzeczywistego niż wyobrażenia; to, co się sobie wyobraża nie jest rzeczywiste, ale stan w jakim znajduje się wyobraźnia jest faktem. Z chwilą kiedy istnieje pewien stan wyobraźni, może on ulec zmianie tylko jeżeli wejdą w grę przyczyny zdolne mieć taki skutek. Te przyczyny nie mają żadnego bezpośredniego związku z rzeczami, które się sobie wyobraża; jednak nie mogą być byle czym. Stosunek przyczyny do skutku obowiązuje równie ściśle w tej dziedzinie jak tam, gdzie chodzi o prawo ciążenia. Stosunek ten jest tylko trudniejszy do zbadania.

Popełnia się tutaj niezliczone błędy, które powodują mnóstwo cierpień w życiu codziennym. Jeżeli na przykład dziecko mówi, że czuje się źle, nie idzie do szkoły a nagle znajduje dość siły, żeby bawić się z innymi dziećmi, rodzina oburza się, że dziecka skłamało. Powiada się wtedy: ,,ponieważ masz dość siły żeby się bawić, miałeś dość siły żeby iść do szkoły''. Ale dziecko mogło być najzupełniej szczere. Zatrzymało je w domu uczucie rzeczywistego wyczerpania, które znikło na widok towarzyszy zabawy; urok zabawy zawierał podnietę, której nie zawierała nauka, nie mogąca mieć takiego skutku. Jest również naiwnością z naszej strony, jeżeli dziwimy się, że postanowiliśmy coś zrobić i nie dotrzymujemy postanowienia. Coś nas pobudziło do powzięcia postanowienia ale to coś nie było dostatecznie silne, żeby nas popchnąć do wykonania; a nawet może się zdarzyć, że sam akt powzięcia postanowienia wyczerpał podnietę i uniemożliwił nam nawet zacząć wykonywać co postano-

wiliśmy. Tak właśnie bywa często gdy chodzi o akcje wyjątkowo trudne. Znany wypadek świętego Piotra może tu służyć za dobry przykład.

Ten rodzaj niewiedzy stale działa w stosunkach między rządzącymi i rządzonymi, między klasami panującymi i masą, zatruwając życie społeczne. Na przykład właściciele fabryk znają dwa lekarstwa, żeby zapewnić szczęście robotnikom. Albo podnieść im zarobki, albo powiedzieć im, że są szczęśliwi i wygnać złośliwych komunistów, którzy twierdzą, że jest przeciwnie. Nie są zdolni zrozumieć, że z jednej strony szczęście robotnika polega przede wszystkiem na pewnym usposobieniu wobec pracy jaką wykonuje, że z drugiej strony to usposobienie nie może się pojawić, jeżeli nie zrealizuje się pewnych warunków obiektywnych, których się nie odkryje bez poważnych studiów. Ta podwójna prawda, właściwie przetransponowana, jest kluczem do wszystkich problemów praktycznych ludzkiego życia.

W grze tej konieczności, która rządzi myślami i czynami ludzi, stosunki między społeczeństwem i jednostką są bardzo złożone. Że jednak pierwsze miejsce należy się tu pierwiastkowi społecznemu, rzuca się w oczy. Marks miał słuszość, kiedy zaczął od stwierdzenia, że materia społeczna jest rzeczywistością, że istnieje konieczność społeczna, której prawa musimy przynajmniej ogólnie ogarnąć zanim odważymy się myśleć o przeznaczeniach ludzkiego gatunku.

Idea ta była oryginalna na tle jego epoki; z punktu widzenia absolutnego oryginalna nie jest. Jest zresztą prawdopodobne, że żadna prawda nie jest naprawdę oryginalna. Jak się zdaje, istotnym zamiarem Machiawela było opracować mechanikę stosunków społecznych. Jeszcze jednak dawniej Plato stale zdawał sobie sprawę jak rzeczywista jest społeczna konieczność.

Plato odczuwał szczególnie żywo, że przeszkodę, na jaką natrafia dusza w dążeniu do dobra, stanowi bardziej materia społeczna niż ciało ludzkie. Taka jest również myśl chrześcijaństwa. Święty Paweł mówi, że nie z ciałem trzeba walczyć ale z diabłem, a diabeł dla niego przebywa w materii społecznej, ponieważ mógł powiedzieć do Chrystusa, pokazując mu królestwa tego świata: ,,Dam ci całą tę potęgę i chwałę, która z tym jest połączona, gdyż one są mi poddane''. I nazywa się go księciem tego świata. Ponieważ jest ojcem kłamstwa, materia społeczna jest największą wylęgarnią i hodowlą kłamstwa i błędu. To również było myślą Platona. Porównywał społeczeństwo do olbrzymiego zwierzęcia, któremu ludzie muszą służyć i którego odruchy badają, żeby według nich kształtować swoje przekonania o tym co dobre i co złe. Chrześcijaństwo zachowało ten obraz. Bestia Apokalipsy jest siostrą bestii Platona.

Samym sednem myśli Platona a również myśli chrześcijańskiej jest pewność, że ludzie są absolutnie niezdolni do innych opinii o dobrem i złem niż tych, jakie są dyktowane przez odruchy wielkiego zwierzęcia, z wyjątkiem dusz predestynowa-

nych, które Łaska nadprzyrodzona kieruje ku Bogu. Jeżeli nie rozwinął on tak jak mógłby tej myśli, chociaż odnajdujemy ją we wszystkim co pisał, to zapewne dlatego że, jak wiedział, zwierzę jest złośliwe i mści się. Jest to temat do refleksji prawie niezbadany. Nie jest to bynajmniej prawda oczywista; jest to prawda głęboko ukryta. Ukryta w szczególności przez konflikty opinii. Jeżeli dwoje ludzi gwałtownie spiera się o to co jest dobre a co złe, trzeba wierzyć, że oboje są ślepo poddani opinii otaczającego ich społeczeństwa. Ten, kto rozmyśla o tych kilku liniach Platona, odczuwa żywą pokusę, żeby tłumaczyć wpływem zwierzęcia opinie ludzi z którymi dyskutuje, tłumacząc swoje własne poprawną wizją sprawiedliwości i dobra. Nie rozumie się prawdy sformułowanej przez Platona zanim nie zastosuje się jej do siebie samego.

W istocie, jeżeli weźmiemy daną epokę, daną całość społeczną, różnice opinii są znacznie mniejsze niż mogłoby to się wydawać. Jest znacznie mniej różnic niż konfliktów. Najgwałtowniejsze walki prowadzą ze sobą ludzie, którzy myślą dokładnie albo prawie dokładnie to samo. Nasza epoka obfituje w paradoksy tego rodzaju. Wspólnym tłem różnorodnych prądów opinii w danej epoce jest opinia wielkiego zwierzęcia tej epoki. Tak na przykład od dziesięciu lat każde ugrupowanie polityczne, aż do najmniejszych grupek, oskarżało wszystkie inne bez wyjątku o faszyzm i z kolei było podobnie oskarżane; z wyjątkiem oczywiście tych, które traktowały ten epitet jako pochwałę. Prawdopodobnie zresztą ten epitet był zawsze częściowo usprawiedliwiony. Wielkie zwierzę europejskie XX wieku ma wyraźną skłonność do faszyzmu. Innym zabawnym przykładem jest sprawa ludów kolorowych. Każdy kraj wzrusza się niezmiernie losem ludów zależnych od innych krajów, ale oburza się jeżeli ktoś poda w wątpliwość doskonałe szczęście, jakim cieszą się ludy jemu podległe. Można znaleźć wiele podobnych wypadków, gdzie pozorna różnica postaw jest właściwie ich tożsamością.

Z drugiej strony, ponieważ zwierzę jest olbrzymie a ludzie malutcy, każdy z nich zajmuje inne miejsce w stosunku do zwierzęcia. Idąc za obrazem Platona można to tak przedstawić, że wśród ludzi zajętych jego czyszczeniem, jeden zajmuje się kolanem, inny pazurem, inny szyją, jeszcze inny karkiem. Zwierzęciu może się podobać, że łaskocze się go w podbródek czy poklepuje po karku. Jeden z jego podwładnych będzie utrzymywał, że łaskotanie jest największym dobrem, inny że poklepywanie. Inaczej mówiąc, społeczeństwo składa się z grup, które krzyżują się na wszystkie możliwe sposoby, a moralność społeczna zmienia się zależnie od grupy. Nie da się znaleźć dwóch jednostek, których środowiska społeczne byłyby naprawdę identyczne; środowisko każdej jednostki jest wynikiem wzajemnego nakładania się na siebie grup i ten splot nie powtarza się nigdy. Tak więc pozorna oryginalność jednostki nie przeczy tezie, że myśl jest całkowicie poddana opinii społecznej.

Jest to właśnie teza Marksa. Jedyne co go różni od Platona w tym zakresie to to, że nie zna on możliwości wyjątków, jakie tworzy nadprzyrodzone działanie Łaski. Część jego badań pozostaje prawdziwa mimo tej luki, jednak, z powodu tej luki, reszta jest tylko zbiorem słów.

Marks starał się określić mechanizm opinii społecznej. Klucza dostarczyło mu zjawisko moralności zawodowej. Każda grupa zawodowa fabrykuje sobie moralność, na mocy której ten co wykonując swój zawód, podporządkowuje się zasadom, jest poza zasięgiem zła. Jest to potrzeba prawie elementarna, bo napięcie, jakiego wymaga jakakolwiek praca, jest już tak samo w sobie znaczne, że gdyby jeszcze dołączyła się do niego troska o dobro i zło, byłoby nie do zniesienia. Żeby się od tego uchronić, trzeba zbroi. Moralność na użytek zawodu odgrywa tę rolę.

Na przykład lekarz, któremu powierzą skazanego na śmierć, na ogół nie stawia sobie niepokojącego pytania, czy dobrze jest tego człowieka wyleczyć. Jest powszechnie przyjęte, że rzeczą lekarza jest leczyć. Również niewolnicy rzymscy mieli moralność na swój użytek, według której niewolnik nie może zrobić nic złego, jeśli słucha swego pana, albo działa w jego interesie. Była to, oczywiście, moralność propagowana przez panów; została jednak w znacznym stopniu przejęta przez niewolników i dlatego bunty niewolników zdarzały się względnie rzadko, jak na ich liczbę i ich straszliwy los. W czasach kiedy wojna była zawodem, wojskowi wytworzyli moralność, według której wszelki czyn wojenny, zgodny ze zwyczajami wojny i użyteczny dla zwycięstwa, jest uprawniony i dobry; łącznie na przykład z gwałceniem kobiet i mordowaniem dzieci, kiedy zdobywa się miasto, bo swoboda dana żołnierzom w takich okolicznościach jest niezbędna dla morale wojsk. Handlowi odpowiada moralność, która uważa kradzież za najgorszą ze zbrodni, a wszelką korzystną wymianę jakiegoś przedmiotu na pieniądze za dobrą i uprawnioną. Wspólną cechę tych moralności wyraził Plato w ostatecznej formule: ,,Nazywają sprawiedliwymi i pięknymi rzeczy konieczne, gdyż nie wiedzą jak wielki jest w rzeczywistości dystans, który dzieli esencję tego co konieczne od esencji tego co dobre''.

Według Marksa atmosfera moralna danego społeczeństwa, atmosfera, która przenika wszędzie i łączy się ze szczególną moralnością każdego środowiska, sama składa się z mieszaniny moralności grupowych, przy czym doza wkładu wyraża wiernie ilość władzy jaka jest w ręku każdej grupy. Tak więc, zależnie od tego, czy społeczeństwem władają właściciele wielkich przedsiębiorstw rolnych, czy wojskowi, czy kupcy, czy przemysłowcy, czy bankierzy, czy biurokraci, atmosfera moralna będzie nosiła piętno moralności zawodowej czy to właścicieli ziemskich, czy to wojskowych i tak dalej. Ta koncepcja świata znajdzie wyraz wszędzie, w polityce, w prawie, nawet w abstrakcyjnych i z pozoru bezinteresownych spekulacjach intelektualistów. Każdy bę-

dzie jej poddany, ale nikt nie będzie zdawać sobie z tego sprawy, bo każdy będzie uważać, że nie chodzi o szczególną koncepcję ale o sposób myślenia wrodzony naturze ludzkiej.

Wszystko to jest w dużej mierze słuszne i łatwe do sprawdzenia. Żeby zacytować tylko jeden przykład, nie mało nas dziwi waga, jaką przywiązuje do kradzieży francuski kodeks karny. Jeżeli dołącza się pewne okoliczności obciążające, karze się ją surowiej niż gwałcenie dzieci. Jednak ludzie, którzy ułożyli kodeks, mieli nie tylko pieniądze, mieli również dzieci, które pewnie kochali; gdyby musieli wybrać między utratą całej swojej fortuny i zgwałceniem przez kogoś ich dzieci, nie woleliby, wolno nam przypuścić, swoich pieniędzy. Jednak redagując kodeks, byli tylko, niezależnie od swojej woli, organami społecznych odruchów; w społeczeństwie opartym na handlu, kradzież jest aktem najbardziej antyspołecznym. Natomiast uwodzenie kobiet, na przykład, jest rodzajem handlu, z trudem więc tylko i nieśmiało zdecydowano się je karać.

Tyle jednak faktów zdaje się przeczyć teorii, że zostałaby ona natychmiast obalona, gdyby nie wprowadzić odcieni, jakie nadaje działanie czasu. Człowiek jest konserwatystą i przeszłość zdolna jest trwać na mocy swego własnego ciężaru. Na przykład znaczna część kodeksu pochodzi z czasów, kiedy handel miał znacznie większe niż dzisiaj znaczenie; tak więc, biorąc ogólnie, atmosfera moralna społeczeństwa zawiera elementy, które zostały po klasach niegdyś dominujących, choć znikły już one, albo przeżywają mniejszy lub większy upadek. Twierdzenie odwrotne jest również prawdziwe. Jak szef opozycji, przeznaczony do tego, żeby stać się premierem, ma już swoją klientelę, tak klasa mniej czy bardziej słaba, ale przeznaczona do tego, żeby wkrótce objąć władzę, ma już dokoła siebie zarys prądu idej, który będzie dominować z nią i dzięki niej. W ten właśnie sposób Marks wyjaśniał socjalizm swojej epoki, łącznie ze zjawiskiem, któremu na imię Marks. Uważał siebie za jaskółkę, której już sama obecność zapowiadała bliskość wiosny, to jest rewolucji. Był sam dla siebie przepowiednią.

Następny krok Marksa w jego próbie wyjaśnienia polegał na szukaniu mechanizmu społecznej władzy. Ta część jego myśli jest niezwykle słaba. Uważał za możliwe twierdzić, że stosunki władzy w danym społeczeństwie, jeżeli się abstrahuje od śladów przeszłości, zależą wyłącznie od technicznych warunków produkcji. Przy danych warunkach produkcji, społeczeństwo ma strukturę, która zapewnia mu maksimum produkcji. Starając się produkować coraz więcej, polepsza ono warunki produkcji. Te więc warunki ulegają zmianie. Nadchodzi moment kiedy następuje zerwanie ciągłości, tak jak woda, którą się stopniowo podgrzewa, zaczyna się nagle gotować. Nowe warunki wymagają nowej struktury. Dokonuje się rzeczywista zmiana władzy, za którą idzie w pewnym odstępie i z towarzyszeniem mniej czy bardziej gwałtownych okoliczności, odpowiadająca jej zmiana po-

lityczna, prawna, ideologiczna. Kiedy okoliczności są gwałtowne nazywa się to rewolucją.

Jest w tym myśl słuszna, ale, przez szczególną ironię, całkowicie sprzeczna z postawą polityczną Marksa. Gdyż rewolucja widoczna nie zdarza się nigdy inaczej niż jako sankcja udzielona rewolucji niewidocznej, która już się dokonała. Jeżeli jakaś warstwa społeczna hałaśliwie obejmuje władzę znaczy to, że w cichy sposób już sprawowała tę władzę, w każdym razie w znacznym stopniu, w przeciwnym wypadku nie miałaby niezbędnej siły, aby ją objąć. Jest to oczywistość jeżeli się uważa, że społeczeństwem rządzą stosunki siły. Potwierdziła to całkowicie Rewolucja francuska; jak to sam Marks wykazał, oficjalnie dała ona burżuazji władzę, którą ta posiadała już faktycznie conajmniej od czasów Ludwika XIV. Potwierdzają to również świeższe rewolucje, które poddały całe życie narodowe w wielu krajach mocy państwa. Już poprzednio państwo znaczyło tam wiele i było prawie wszystkim.

Oczywistą, jak się zdaje, konsekwencją dla zwolenników rewolucji robotniczej byłoby zamiast rzucać robotników w przygodę politycznej rewolucji, szukać czy nie istnieją metody zdolne doprowadzić ich powoli i stopniowo, prawie niewidocznie, do zdobycia wielkiej części rzeczywistej władzy społecznej; trzeba by wtedy było zastosować te metody jeżeli takie są, albo wyrzec się rewolucji robotniczej jeżeli ich nie ma. Choć jednak ta konsekwencja jest oczywista, Marks jej nie widział a dlatego, że nie mógł jej widzieć nie tracąc tego, co było dla niego samą racją życia. Nie dostrzegli jej z tego samego powodu jego uczniowie, czy to reformiści czy rewolucjoniści. Dlatego też można powiedzieć, nie obawiając się przesady, że jako teoria rewolucji robotniczej marksizm jest niczym.

Reszta jego teorii przekształceń społecznych opiera się na szeregu nieporozumień. Pierwszym z nich było zastosowanie do historii ludzkości zasady Lamarcka ,,funkcja stwarza organ''; tej zasady według której żyrafa miała tak długo próbować jeść banany aż szyja jej się wydłużyła. Jest to rodzaj wyjaśnienia, które, nie dostarczając nawet żadnej wskazówki jak zabrać się do rozwiązania problemu, daje fałszywe poczucie, że jest on rozwiązany i sprawia, że nie można go postawić. Sam problem to wiedzieć jak się to dzieje, że organy zwierząt są dostosowane do potrzeb; zakładając zamiast odpowiedzi skłonność do adaptacji cechującą życie zwierzęce wpada się w błąd, który Molier, tam gdzie mówi o własnościach usypiających opium, ośmieszył na zawsze.

Darwin oczyścił problem, wprowadzając proste i genialne pojęcie warunków egzystencji. Jest rzeczą zdumiewającą, że są na ziemi zwierzęta. Z chwilą jednak kiedy są, nie jest zdumiewające, że ich organy odpowiadają koniecznościom ich życia, gdyż inaczej nie mogłyby żyć. Nie możemy się spodziewać, że odkryjemy kiedyś w jakimś zakątku świata gatunek, żywiący

się wyłącznie bananami, ale z powodu nieszczęśliwego braku przystosowania, nie mogący ich jeść.

Jest to jedna z tych oczywistości zbyt oczywistych, których nikt nie widzi, dopóki nie ukaże ich palcem genialna intuicja. Zresztą znali to Grecy, tak jak to dzieje się z prawie wszystkimi naszymi ideami; zapomniano o tym następnie. Darwin był współczesnym Marksa. Marks jednak, jak wszyscy czciciele nauki, był w dziedzinie nauki bardzo spóźniony. Zdawało mu się, że dokonuje pracy naukowej, przenosząc po prostu naiwności Lamarcka w sferę społeczną.

Dodał nawet jeszcze większy stopień dowolności utrzymując, że funkcja nie tylko stwarza organ zdolny do jej wykonywania, ale że również, traktując to ogólnie, jako całość, organ zdolny do jej wykonywania w sposób najbardziej skuteczny. Jego socjologia jest oparta na postulatach, które, jeżeli się je zbada rozumowo, wykazują swoją bezpodstawność, a w zestawieniu z faktami są wyraźnie fałszywe.

Sądzi on przede wszystkim, że w danych warunkach technicznych produkcji społeczeństwo ma taką strukturę, która zdolna jest wykorzystywać te warunki do maksimum. Dlaczego? Na mocy jakiej konieczności ma się tak dziać, że zdolność produkcyjna jest wykorzystywana do maksimum? Naprawdę nikt nie ma pojęcia czym może być takie maksimum. Jest tylko widoczne, że we wszystkich społeczeństwach było zawsze dużo marnotrawstwa. Ta jednak idea Marksa wspiera się na pojęciach tak niejasnych, że nawet nie da się wykazać jej fałszu, bo nie da się jej uchwycić.

Po drugie, społeczeństwo ma stale dążyć do polepszenia produkcji. Jest to postulat ekonomistów liberalnych, przeniesiony z jednostki na społeczeństwo. Można go przyjąć z zastrzeżeniami; jednak istniało wiele społeczeństw, w których w ciągu wielu wieków ludzie starali się żyć tylko tak, jak żyli ich przodkowie.

Po trzecie, ten wysiłek ma działać na same warunki produkcji a działać zawsze w kierunku polepszenia. Jeżeli się zastanowić nad tą tezą, widzi się, że jest ona dowolna, jeżeli porównać ją z faktami widzi się, że jest fałszywa. Nie ma żadnego powodu, aby starając się wydobyć więcej z warunków produkcji rozwijano je coraz więcej. Równie dobrze można je wyczerpać. Zdarza się to często. Jest to na przykład wypadek kopalni czy pola. Na to samo zjawisko natrafiamy w wielkiej skali w różnych okresach i powoduje ono groźne kryzysy. Jest to historia kury, co znosiła złote jajka. Ezop o wiele więcej o tym wiedział niż Marks.

Po czwarte, kiedy to polepszenie przekroczyło pewien stopień, struktura społeczna, dotychczas najbardziej skuteczna z punktu widzenia produkcji, przestaje być najbardziej skuteczna; i tylko na mocy tego, według Marksa, społeczeństwo nie-

uniknienie zarzuca tamtą strukturę i przyjmuje inną, która będzie najbardziej skuteczna.

To już szczyt dowolności. Chwila uwagi wystarczy, żeby zaprzeczyć. Pośród wszystkich ludzi, którzy w wiekach ubiegłych brali udział w przemianach politycznych, socjalnych, ekonomicznych, nie znajdzie się na pewno ani jednego, który by powiedział: ,,Spowoduję zmianę struktury społecznej, żeby obecna zdolność produkcyjna została wykorzystana do maksimum''. Nie widzi się również żadnych śladów automatycznego mechanizmu, który by wynikał z praw społecznej konieczności i powodował przemianę wtedy, kiedy zdolność produkcyjna nie jest wykorzystana w pełni. Ani Marks ani marksiści nigdy nie dostarczyli w tym względzie najmniejszej wskazówki.

Czy trzeba więc przyjąć, że za historią ludzkości kryje się duch wszechpotężny, mądrość, która czuwa nad biegiem wypadków i kieruje nimi? Marks wtedy, nie wyznając tego, byłby zwolennikiem prawdy, którą znał Plato. W żaden inny sposób nie da się wytłumaczyć jego koncepcji. Pozostaje ona jednak nadal dziwna. Dlaczego ten duch ukryty miałby czuwać nad interesami produkcji? Duch jest tym, co dąży do dobra. Produkcja nie jest dobrem. Tylko przemysłowcy XIX wieku mieszali te pojęcia. A przecie duch, który rządzi losami ludzkiego gatunku, nie jest duchem przemysłowca XIX wieku.

Wytłumaczenie znajdziemy w fakcie, że wiek XIX miał obsesję produkcji, a zwłaszcza postępu produkcji; Marks ulegał niewolniczo wpływowi swojej epoki. Ten wpływ kazał mu zapomnieć, że produkcja nie jest dobrem. Zapomniał również, że nie jest ona jedyną koniecznością, co doprowadziło go do innego absurdu: przeświadczenia, że produkcja jest jedynym źródłem stosunków siły. Marks po prostu zapomina o wojnie. Tak samo nie pamiętała o niej większość jego współczesnych. Ludzie XIX wieku, choć karmili się piosenkami Berangera i obrazami Epinalu na cześć Napoleona, prawie zapomnieli o istnieniu wojny. Marks postarał się raz stwierdzić krótko, że właściwości wojny zależą od warunków produkcji; nie widział jednak odwrotnego związku, dzięki któremu warunki produkcji są podporządkowane właściwościom wojny. Człowiekowi może grozić śmierć czy to ze strony natury czy ze strony innego człowieka i siła sprowadza się ostatecznie do zagrożenia śmiercią. Rozważając stosunki siły należy zawsze ujmować siłę w jej podwójnym aspekcie: jako potrzebę i jako broń.

Skutkiem tego pominięcia w pismach Marksa jest śmieszny chaos, w jaki wpadają środowiska marksistowskie, kiedy chodzi o wojnę i problemy odnoszące się do wojny i pokoju. Nie ma w tym, co nazywa się doktryną marksistowską, dosłownie nic, co by wskazywało, jakie stanowisko ma zająć marksista wobec tych spraw. W takiej epoce jak nasza, jest to luka całkiem poważna.

Jedyną wojną, wziętą pod uwagę przez Marksa, jest woj-

na społeczna, otwarta czy podziemna, pod nazwą walki klas. Robi z niej nawet jedyną zasadę historycznego wyjaśnienia. Ponieważ, z drugiej strony, rozwój produkcji jest również jedyną zasadą historycznego rozwoju, trzeba przypuścić, że te dwa zjawiska są jednym. Ale Marks nie mówi w jaki sposób jedno sprowadza się do drugiego. Na pewno uciśnieni którzy się buntują, czy rządzeni którzy chcą stać się rządzącymi nigdy nie myślą o podniesieniu zdolności produkcyjnej społeczeństwa. Jedyna więź, jaką można sobie wyobrazić, polegałaby na tym, że stały protest ludzi przeciwko hierarchii społecznej utrzymuje społeczeństwo w stanie płynności, niezbędnej do tego, aby siły produkcyjne mogły je według swoich potrzeb kształtować.

W takim wypadku walka klas nie jest zasadą działającą, ale tylko warunkiem negatywnym. Zasadą działającą pozostaje ten tajemniczy duch, który czuwa nad tym, aby produkcja utrzymała się na maksymalnym poziomie, duch — którego marksiści nazywają czasem w liczbie mnogiej siłami produkcyjnymi. Traktują tę mitologię bardzo poważnie. Trocki napisał, że wojna 1914 roku była w rzeczywistości buntem sił produkcyjnych przeciwko ograniczeniom systemu kapitalistycznego. Można długo rozmyślać nad tą formułą i pytać o jej sens, po to tylko, żeby zostać wreszcie zmuszonym do przyznania, że nic ona nie znaczy.

Zresztą Marks miał słuszność uważając dążenie do wolności i dążenie do dominacji za dwie sprężyny, wprawiające stale w ruch życie społeczne. Zapomniał tylko wykazać, że wyjaśnia je materialistyczna zasada. Co nie jest oczywiste. Dążenie do wolności i dążenie do dominacji są dwoma faktami ludzkimi, które da się interpretować na szereg sposobów.

Co więcej, te dwa fakty sięgają znacznie dalej niż stosunek uciskanego do uciskającego, na który Marks zwracał wyłącznie uwagę. Nie można używać pojęcia ucisku, zanim nie zrobi się poważnego wysiłku aby go zdefiniować, gdyż nie jest ono jasne. Marks nie zadał sobie tego trudu. Ci sami ludzie należą do uciskanych pod pewnymi względami, do uciskających pod innymi, albo chcą należeć do uciskających i ta chęć może być silniejsza niż chęć wolności; ze swojej strony ci, co uciskają myślą znacznie mniej o utrzymaniu swoich podwładnych w posłuszeństwie niż o zdobyciu władzy nad podobnymi sobie. Powstaje dzięki temu nie analogia bitwy, w której walczą ze sobą dwa obozy, ale jakby niesłychanie złożone skrzyżowanie sił partyzanckich oddziałów. To skrzyżowanie sił podlega jednak prawom. Prawa te są nadal do odkrycia.

Jedynym rzeczywistym wkładem Marksa do nauki społecznej jest teza, że taka nauka jest potrzebna. To dużo; to niesłychanie dużo, ale jesteśmy wciąż w tym samym punkcie. W tytule ,,socjalizm naukowy'', który nadał sobie marksizm, przymiotnik ,,naukowy'' nie odpowiada niczemu prócz fikcji. Chciałoby się powiedzieć bardziej brutalnie: niczemu prócz kłamstwa, jednak

ni Marks ni większość jego uczniów nie chcieli kłamać. Gdyby ci ludzie nie oszukiwali przede wszystkim siebie, trzeba byłoby nazwać oszustwem operację, przy pomocy której zużyli na swoją wyłączną korzyść szacunek, jaki ludzie współcześni mają dla nauki.

Marks był niezdolny do prawdziwego wysiłku myśli naukowej, bo to go nie interesowało. Tego materialistę interesowała tylko sprawiedliwość. Interesowała aż do obsesji. Miał tak jasny obraz konieczności społecznej, że mogło go to doprowadzić do rozpaczy, gdyż konieczność jest dostatecznie potężna nie tylko aby uniemożliwić ludziom sprawiedliwość, ale nawet nie pozwolić im jej sobie pomyśleć. Nie chciał rozpaczy. Czuł z niesłychaną mocą, że żądza sprawiedliwości w człowieku jest czymś zbyt głębokim, żeby ją odrzucić. Schronił się w marzenie, w którym sama materia społeczna bierze na siebie dwie funkcje, odmówione przez nią człowiekowi, a więc nie tylko realizuje ale poczyna w myśli sprawiedliwość.

Temu marzeniu nadał etykietkę materializmu dialektycznego. To było dosyć, żeby przykryć je zasłoną. Pustka tych słów jest niemal nie do przeniknięcia. Można bawić się, choć jest to zabawa okrutna, pytając marksistę co one znaczą.

Szukając starannie znajdzie się jednak rodzaj znaczenia. Plato nazywał dialektyką ruch duszy, która na każdym etapie, żeby wzbić się w sferę wyższą, wspiera się na nieprzezwyciężalnych sprzecznościach tej sfery, w której się znajduje. U kresu tej wspinaczki osiąga kontakt z dobrem absolutnym.

Obraz sprzeczności w materii to zderzenie się sił, zmierzających w przeciwnym kierunku. Marks po prostu przypisywał materii społecznej ruch ku dobru, który Plato opisał jako ruch myślącej istoty, przyciąganej w górę przez nadprzyrodzone działanie Łaski.

Łatwo spostrzec jak do tego doszedł. Przyjął najpierw dwa fałszywe poglądy, mocno ugruntowane wśród burżuazji jego czasu. Jeden, to pomieszanie pojęć produkcji i dobra, a co idzie za tym postępu produkcji i postępu ku dobru; drugi, to całkiem dowolne uogólnienie, dzięki któremu robi się z postępu produkcji tak wyraźnego w XIX wieku, stałe prawo historii ludzkiego gatunku.

Jednak Marks, w przeciwieństwie do burżuazji, nie był szczęśliwy. Torturowała go myśl o nędzy, jak musi torturować każdego, kto nie jest pozbawiony wrażliwości. Potrzebował jako kompensaty czegoś katastroficznego, sądu, kary. Nie mógł przedstawić sobie postępu jako ruchu ciągłego. Widział go jako szereg gwałtownych, wybuchowych wstrząsów. Byłoby rzeczą bezużyteczną pytać, kto miał rację, on czy burżuazja. Samo to pojęcie postępu, czczone w XIX wieku, nie ma sensu.

Grecy używali słowa dialektyka, kiedy myśleli o zaletach sprzeczności przychodzącej z pomocą duszy, którą przyciąga w górę Łaska. Ponieważ Marks ze swojej strony łączył w jedno

materialny obraz sprzeczności i materialny obraz zbawienia duszy, czy, inaczej mówiąc, zderzenie sił i postęp produkcji, miał być może słuszność używając słowa dialektyka. Jednakże to słowo, sprzężone ze słowem materializm, ukazuje swoją absurdalność. Jeżeli Marks tego nie czuł, to dlatego, że zapożyczył słowa nie od Greków ale od Hegla, który już używał go bez wyraźnie określonego znaczenia. Co do publiczności, to nie raziło jej to wcale; myśl grecka nie jest dziś dostatecznie żywa. Przeciwnie, dobór słów był całkiem niezły, bo ludzie sobie mówili: ,,To musi coś oznaczać''. Kiedy czytelnicy czy słuchacze są już w tym stadium, są bardzo wrażliwi na sugestię.

Zdarzało się niegdyś dość często na uniwersytetach ludowych, że robotnicy, zwracając się do intelektualistów nazywających siebie marksistami, powiadali z rodzajem nieśmiałej łapczywości: ,,Bardzo chcielibyśmy wiedzieć, co to jest materializm dialektyczny''. Należy wątpić, czy kiedykolwiek otrzymali zadawalającą odpowiedź.

Co do mechanizmu dzięki któremu konflikty społeczne automatycznie produkują absolutne dobro, koncepcja Marksa nie jest łatwa do uchwycenia; wszystko to jest bardzo mało dokładne.

Ponieważ źródłem społecznego kłamstwa są grupy walczące o dominację czy wyzwolenie, zniknięcie tych grup obaliłoby kłamstwo i człowiek żyłby w sprawiedliwości i prawdzie. Dzięki jakiemu mechanizmowi grupy te mogą zniknąć? To zupełnie proste. Za każdym razem kiedy dokonuje się społeczna przemiana, grupa dominująca upada i grupa niższa w stosunku do niej zajmuje jej miejsce. Pozostaje tylko uogólnić to dalej; cała nauka i nawet cała myśl XIX wieku miała ten wadliwy zwyczaj ekstrapolacji bez kontroli; z wyjątkiem matematyki nie znano prawie pojęcia granicy. Jeżeli za każdym razem grupa umieszczona niżej wznosi się i staje się dominująca, to pewnego dnia przyjdzie kolej na najniższą ze wszystkich; odtąd nie będzie już niższych, nie będzie więcej ucisku ani struktury społecznej złożonej z wrogich sobie grup, ani kłamstwa. Ludzie posiądą sprawiedliwość a ponieważ ją posiądą, będą ją znali taką jaka naprawdę jest.

W ten właśnie sposób trzeba rozumieć te ustępy, w których Marks zdaje się zupełnie wyłączać same pojęcia sprawiedliwości, prawdy i dobra. Dopóki sprawiedliwość jest nieobecna, człowiek nie jest zdolny jej pomyśleć, a tym bardziej jej zapewnić, może ona przyjść do niego tylko z zewnątrz. Ponieważ społeczeństwo jest zepsute, zatrute, a trucizna społeczna przenika we wszystkie myśli wszystkich ludzi, cokolwiek ludzie sobie pomyślą, nadając temu nazwę sprawiedliwości, będzie kłamstwem. Ktokolwiek mówi o sprawiedliwości, prawdzie czy o jakimś walorze moralnym, kłamie albo pozwala się oszukiwać kłamcom. Jak więc służyć sprawiedliwości jeżeli się jej nie zna? Jedynym środkiem, według Marksa, jest przyśpieszyć działanie tego mecha-

nizmu, zawartego w samej strukturze materii społecznej, który automatycznie przyniesie sprawiedliwość ludziom.

Trudno jest zdać sobie naprawdę sprawę czy Marks sądził, że rola proletariatu w tym mechaniźmie, zbliżająca go do przyszłego społeczeństwa, pozwala uchwycić i proletariatowi i pisarzom czy działaczom z nim sprzymierzonym, jakby pierwszy błysk prawdy; czy też uważał proletariat jedynie za ślepy instrument tej istoty rzeczy, którą nazwał historią. Zdaje się, że jego myśl wahała się w tym punkcie. Zapewne jednak traktował proletariat łącznie z jego sprzymierzeńcami i wodzami pochodzącymi z zewnątrz, przede wszystkim jako instrument.

Za sprawiedliwe uważał nie to, co ukazuje się umysłom zafałszowanym przez kłamstwo społeczne, ale wyłącznie to, co może przyspieszyć powstanie społeczeństwa bez kłamstwa; w tej dziedzinie wszystko co jest skuteczne, bez najmniejszego wyjątku, jest najzupełniej sprawiedliwe i dobre, nie samo w sobie, ale w stosunku do końcowego celu.

Tak więc Marks powracał wreszcie do tej moralności grupowej, której nie znosił do tego stopnia, że nienawidził społeczeństwa. Jak niegdyś feodałowie, jak w swoim czasie ludzie interesów, sfabrykował sobie moralność, która wynosiła ponad dobro i zło działalność grupy społecznej do której należał, to jest grupy rewolucjonistów zawodowych.

Dzieje się tak zawsze. Wpada się zawsze w ten rodzaj wady, która jest nam najbardziej nienawistna, której obawiamy się panicznie, jeżeli nie szukamy źródeł dobra tam gdzie są. Jest to pułapka stale grożąca każdemu człowiekowi i jest tylko jeden środek, żeby się przed nią uchronić.

Ten mechanizm, który, jak Marks sobie wyobrażał, zdolny jest stworzyć raj, jest czymś oczywiście dziecinnym. Siła jest stosunkiem; ci, którzy są silni, są silni wobec słabszych. Ci, którzy są słabi, nie mają możliwości zdobycia społecznej władzy; ci, co zdobywają społeczną władzę siłą, tworzą zawsze, już zanim to się dokonało, grupę, która włada masami ludzkimi. Materializm rewolucyjny Marksa polega z jednej strony na założeniu, że o wszystkim rozstrzyga wyłącznie siła, z drugiej strony na założeniu, że nadejdzie nagle dzień, kiedy siła będzie po stronie słabych. Nie że niektórzy, ci co byli słabi, staną się silni; taka zmiana zdarzała się zawsze. Ale że cała masa słabych, pozostając masą słabych, będzie miała siłę po swojej stronie.

Jeżeli absurdalność tego nie rzuca się w oczy, to dlatego, że w liczbie widzi się na ogół siłę. Jednak liczba jest siłą tylko w rękach tego, który nią rozporządza, a nie w rękach tych, co składają się na liczbę. Jak energia zawarta w węglu jest siłą tylko wtedy, kiedy przekształci ją maszyna parowa, tak energia zawarta w masie ludzkiej jest siłą tylko dla grupy zewnętrznej wobec masy, znacznie mniejszej, która weszła z masą w związki możliwe zapewne do zdefiniowania po przeprowadzeniu poważnych badań. Wynika z tego, że siła masy jest wykorzystywana

w zamiarach, które są wobec niej zewnętrzne, zupełnie tak samo, jak siła wołu w zamiarach rolnika, siła konia w zamiarach jeźdźca. Ktoś może zrzucić jeźdźca na ziemię i zająć jego miejsce na siodle, następnie zostać z kolei zrzuconym; może się to powtórzyć sto i tysiąc razy; konia jednak zawsze będzie podniecać ostroga. A jeżeli koń sam zrzuci jeźdźca, inny jeździec wkrótce znajdzie się na siodle.

Marks wszystko to dobrze wiedział; wyłożył to znakomicie jeśli chodziło o państwo burżuazyjne; wolał jednak o tym zapomnieć, kiedy chodziło o rewolucję. Wiedział, że masa jest słaba i że stanowi siłę tylko w rękach kogoś innego; bo gdyby było inaczej, nigdy nie byłoby ucisku. Dał się przekonać wyłącznie uogólnieniu; osiągał granicę, dzięki tej ciągłej zmianie, która co pewien czas zapewnia mniej silnym miejsce, dotychczas zajmowane przez bardziej silnych. Próbować osiągnąć granicę jeżeli się ma stosunek dwóch danych i jedną z danych się przekreśla jest rzeczą absurdalną. To jednak słabe rozumowanie wystarczyło Marksowi, bo wszystko wystarcza jako argument temu, który czuje, że gdyby siebie nie przekonał, nie mógłby żyć.

Idea, że słabość jako taka, pozostając słabością, może stanowić siłę, nie jest nowa. Jest to właśnie idea chrześcijańska a ilustruje ją krzyż. Chodzi tu jednak o siłę zupełnie innego rodzaju niż ta, jaką rozporządzają silni; jest to siła nie z tego świata, nadprzyrodzona. Działa ona tak, jak pierwiastek nadprzyrodzony, skutecznie ale w ukryciu, milcząco, ukazując się jako nieskończenie mała; i jeżeli jej promieniowanie przenika w masy, nie przebywa ona w nich, ale w niektórych duszach. Marks przyjmował tę sprzeczność słabości silnej, nie przyjmując pierwiastka nadprzyrodzonego, tylko dzięki któremu ta sprzeczność mogłaby stać się sprzecznością dopuszczalną.

Marks również czuł prawdę, prawdę zasadniczą, kiedy zrozumiał, że człowiek pojmuje sprawiedliwość tylko jeżeli...

(Tu urywa się rękopis, napisany w Londynie w roku 1943, to jest w roku śmierci Simone Weil).

Simone WEIL

(Przełożył *Czesław MIŁOSZ*)

Robotnik amerykański

(Z CYKLU „REFLEKSJE AMERYKAŃSKIE")

I

W grudniu roku 1955 zaszedł w Ameryce fakt dużego znaczenia: na zjeździe w New Yorku połączyły się dwie wielkie centrale robotniczego ruchu zawodowego — Amerykańska Federacja Pracy (American Federation of Labor — AFofL) i Kongres Organizacji Przemysłowych (Congress of Industrial Organizations — CIO). Po równo dwudziestu latach rozłamu — amerykański robotniczy ruch zawodowy znów stał się jednolity. Jest to wydarzenie doniosłe i dla amerykańskiego świata pracy i dla całego życia Stanów Zjednoczonych, w którym rola ruchu zawodowego jest bardzo znaczna i w przyszłości — zapewne — będzie coraz większa. A że cokolwiek ważnego dzieje się w Stanach Zjednoczonych ma dziś wpływ i na resztę świata, przeto przyjąć możemy, że powstanie nowej centrali zawodowej w jakiejś mierze zaważy i na dalszej historii naszej epoki.

Amerykański ruch robotniczy jest *amerykańskim* ruchem robotniczym. Tautologia ta stwierdza zasadniczą prawdę: amerykańskiego ruchu robotniczego, jego dziejów, rozłamów i połączeń się, jego specyficznych właściwości, nie można zrozumieć w oderwaniu od całokształtu cywilizacji amerykańskiej, jej dziejów i cech specyficznych. Ten ruch robotniczy jest tak różny od równoległych ruchów robotniczych w innych krajach, jak różna jest cała cywilizacja amerykańska od cywilizacji reszty świata. Cudzoziemski obserwator amerykańskiego świata pracy, który w swych poszukiwaniach będzie opierać się na analogiach z krajami innymi, daleko tu nie zajdzie. Analogie te będą powierzchowne i łatwo doprowadzą do zagubienia rzeczy istotnej — amerykańskości amerykańskiego świata pracy i jego doświadczeń organizacyjnych i historycznych.

Ta amerykańskość wypowiada się i w rozłamie, który miał

miejsce przed dwudziestu laty, i w powstaniu nowej zjednoczonej organizacji. Dla wyjaśnienia tych spraw nie możemy uniknąć krótkiej ekskursji w przeszłość.

Jak na kraj, w którym nie wiele instytucji i prądów społecznych może poszczycić się dłuższymi dziejami, amerykański ruch robotniczy ma stosunkowo długą historię. Początki jej sięgają przedindustrialnego okresu rozwoju Stanów Zjednoczonych. W końcu wieku osiemnastego stolarze i szewcy w Filadelfii, drukarze w New Yorku oraz krawcy w Baltimore zrzeszyli się w organizacje, które można by było nazwać związkami zawodowymi w dzisiejszym rozumieniu. W roku 1799 szewcy w Filadelfii zorganizowali pierwszy strajk i wyszli z niego zwycięsko. Takie zrzeszenia powstawały i w innych miastach amerykańskich i w roku 1836 liczyły łącznie 300 tysięcy członków.

Po Wojnie Domowej, gdy Stany Zjednoczone weszły w okres wzmożonej industrializacji, amerykański ruch zawodowy zaczął przybierać coraz poważniejsze rozmiary. W roku 1869 w Filadelfii został założony Zakon Rycerzy Pracy (The Order of the Knights of Labor) — pierwsza prawdziwie masowa organizacja, skupiająca różne związki lokalne i wszelkie zawody. W roku 1886 Zakon liczył już przeszło 700 tysięcy członków. Że nie była to jednak organizacja prawdziwie zwarta i mocna, o tym świadczy, iż przegrany w tym roku strajk kolejowy zniszczył ją zupełnie, tak że koło roku 1900 przestała ona w ogóle istnieć.

Jednakże w roku 1886 została utworzona inna organizacja zawodowa, która okazała się znacznie trwalsza i umiała osiągnąć nieskończenie lepsze wyniki. Była nią właśnie Amerykańska Federacja Pracy. A powodzenie swoje zawdzięczała ona w bardzo dużym stopniu talentom swego organizatora i wieloletniego prezydenta — Samuela Gompersa.

Postać Gompersa stała się częścią historii amerykańskiej, weszła do amerykańskiego folkloru i tradycji. Było coś z amerykańskiej „success story'' w tym wyniesieniu się robotnika fabryki cygar, żydowskiego emigranta z Holandii, do roli wielkiego przywócy robotniczego, człowieka, z którego zdaniem liczyli się prezydenci Stanów Zjednoczonych i o którego względy zabiegali politycy z obu partii politycznych. Gompers może posłużyć za klasyczny przykład emigranta, który w Ameryce znalazł Ziemię Obiecaną, miejsce dla siebie i swoich uzdolnień. Ale też nawzajem i to, co on dał Ameryce, było bardzo wielkie.

Gompers rozumiał Amerykę, stał się Amerykaninem i w całej swej działalności umiał odnaleźć drogi i metody dla Ameryki właściwe. Autorytet jego był tak wielki, że amerykański ruch robotniczy uparcie trzymał się drogi gompersowskiej nawet wtedy, gdy zmienione warunki wymagały zupełnie innych sposobów działania. Gompers żył bardzo długo, do końca życia stał na czele AFofL i wychował zastęp działaczy, którzy wiernie — zbyt wiernie — trzymali się jego wskazań.

Działalność Gompersa przypadła na czasy, gdy Stany Zjednoczone w szybkim tempie przetwarzały się w najbardziej zindustrializowane społeczeństwo świata. A jednocześnie Gompers i kierowana przez niego Federacja byli wierni metodom bardziej właściwym epoce wczesnoindustrialnej. I w tym już wtedy w dużym stopniu mieściły się zarodki przyszłego rozłamu.

Amerykańska Federacja Pracy oparła się na zasadzie branżowej. Taka sama tendencja istniała zresztą we wczesnym okresie europejskich ruchów zawodowych, gdy tradycje cechowe były jeszcze świeże. W Ameryce jednak tradycje takie były bardzo słabe. Gompers mógł był je przynieść z ojczystej Holandii, to by jednak nie wystarczyło, aby mogły one tak łatwo i mocno przyjąć się na gruncie amerykańskim. Działały tu inne — bardziej istotne — czynniki, wśród których podkreślić trzeba coraz bardziej rosnącą rolę nowych emigrantów z Europy.

Lata dziewięćdziesiąte stoją pod znakiem masowego napływu sił ludzkich z Europy, napływu, który swego punktu szczytowego dosięgnie w latach nieco późniejszych. I wtedy też powstaje konflikt między amerykańskim światem pracy a przybyszami. Przybysze ci to były masy niewykwalifikowanych rąk, gotowych podjąć się każdej pracy za każdą cenę. Promotorem emigracji był wielki business, wielki przemysł, który szukał taniej i pokornej siły roboczej. Wśród emigrantów wykwalifikowani robotnicy stanowili stosunkowo bardzo mały odsetek. Odegrał on swoją pozytywną rolę w historii amerykańskiego ruchu robotniczego (sam Gompers był emigrantem, emigrantami była większość późniejszych przywódców robotniczych), ale oblicze emigracji nadawały ciemne i prymitywne masy.

Czy można się więc dziwić, że robotnik amerykański — sam emigrant albo syn emigranta — był wrogiem emigracji? Później, gdy na porządku dziennym stanęła sprawa nowego ustawodawstwa emigracyjnego i wprowadzenia znanych ograniczeń, amerykańskie związki zawodowe były wśród tych, którzy domagali się sprowadzenia emigracji do minimum. Nie świat pracy, ale świat wielkiego businessu przeciwstawiał się ograniczeniom emigracyjnym. Z czasem w stanowiskach tych zaszły zmiany, ale były one spowodowane zupełnie innymi motywami.

W każdym razie amerykańskie związki zawodowe, broniąc interesów robotnika, stawały nie tylko przeciwko kapitalistom. Stawały one również przeciwko masom nędzarzy-emigrantów ze Starego Świata. To miało znaczny wpływ i na strukturę związków zawodowych. Zrzeszały one specjalistów, robotników wykwalifikowanych, miały charakter branżowy, nieraz bardzo wąsko branżowy. Ba, do tej pory istnieje związek robotników, wyrabiających podkowy dla koni (nawet w Ameryce trafiają się konie!) czy związek rytowników na kamieniu. Związki takie ze względu na swój wysoce wyspecjalizowany charakter musiały stawać się ekskluzywnymi i trudno dostępnymi dla nowych

członków. A były zupełnie zamknięte dla robotników niewykwalifikowanych.

Polityka taka na dłuższą metę okazała się fatalna. Przede wszystkim prowadziła ona do organizacyjnego rozbicia ruchu zawodowego. Im specjalizacja była dokładniejsza, tym bardziej mnożyły się związki pokrewne, skupiające bardzo małe ilości członków. Dość powiedzieć, że obecnie w samym New Yorku istnieje coś jedenaście związków robotników drukarskich! Nieuniknioną rzeczą stały się spory kompetencyjne — aż po dziś dzień jedna z plag amerykańskiego życia robotniczego. Związki kłóciły się o członków, o teren działania, o wpływy. Niejedna z akcji strajkowych została przegrana, gdy jakiś ze związków, działających na terenie danego przedsiębiorstwa, uznawał za właściwe (racje mogły być bardzo różne, nieraz brzydko pachnące) nie przystępować do akcji pozostałych związków. Był to jeden z czynników, dzięki którym tak zwany union racket — a będzie o nim jeszcze mowa — mógł przyjąć się i zakwitnąć na gruncie amerykańskiego ruchu robotniczego.

Metody takie utrzymać się nie mogły. Życie było od nich mocniejsze. W miarę szalonego tempa uprzemysłowiania się Stanów Zjednoczonych, ciasne związki branżowe musiały tracić na swym znaczeniu. Stawały się anachronizmem. A poza tym metody takie wpływały hamująco na ilościowy rozwój ruchu zawodowego. Aż do czasów Roosevelta, gdy sytuacja świata pracy w ogóle radykalnie się zmieniła, cały udział robotników w amerykańskim ruchu zawodowym nie przewyższał trzech milionów (wyjątkiem był rok 1920, kiedy związkom udało się zebrać — na bardzo zresztą krótko — pięć milionów członków). W roku 1933 — był to rok najwyższego nasilenia kryzysu gospodarczego — ilość członków związków zawodowych spadła poniżej trzech milionów, a ilość bezrobotnych w całej Ameryce obliczano wtedy na 14 milionów. Zestawienie tych liczb najlepiej mówi o słabości ruchu zawodowego w owej epoce.

W społeczeństwie wysoce zindustrializowanym związek zawodowy robotników, budujących mosty żelazne (ale nie betonowe czy drewniane!), związek prasowaczy spodni (jest i taki!) czy związek guzikarzy, tracą rację istnienia. W rezultacie obok związków i związeczków branżowych zaczęły powstawać związki przemysłowe, organizujące robotników całych gałęzi przemysłu bez względu na ich specjalności. Siłą rzeczy związki takie musiały stać się potężnymi organizacjami, nieraz skupiającymi setki tysięcy członków.

Warto zauważyć, że polityka takich związków wobec nowych emigrantów musiała być znacznie liberalniejsza od polityki związków branżowych. Dążąc do organizowania całych wielkich gałęzi przemysłu, nie mogły one pomijać robotników niewykwalifikowanych. Przeciwnie, właśnie na takich robotników musiały zwracać szczególną uwagę. Niektóre z tych związków — jako przykład mogą tu posłużyć związki krawieckie — odegrały dużą

rolę wychowawczą w stosunku do mas emigracyjnych, wybitnie przyczyniając się do podniesienia ich stopy życiowej, rozwoju kulturalnego i uświadomienia obywatelskiego. Sprawa amerykanizacji mas emigracyjnych wiele zawdzięcza działalności wychowawczej takich organizacji, jak Amalgamated Clothing Workers of America czy International Ladies' Garment Union. Przywódcami tych związków byli zresztą emigranci (jednym z nich jest David Dubinsky, urodzony w Łodzi).

Związki „przemysłowe" wchodziły w skład Amerykańskiej Federacji Pracy. Ale coraz częściej dochodziło do konfliktów między nimi i organizacją, w której dominowały związki branżowe. Te konflikty zaostrzyły się szczególnie w okresie Wielkiego Kryzysu i reform Roosevelta. Albowiem okres ten rozpoczynał nowy zupełnie rozdział w dziejach robotnika amerykańskiego.

Kryzys pozbawił pracy miliony robotników. Najmocniej uderzył on w robotników półwykwalifikowanych i niewykwalifikowanych. Ale w wielu zawodach nawet wysokokwalifikowani członkowie branżowych związków AFofL byli bez pracy. Sama centrala osłabła : brakowało środków dla pomocy bezrobotnym, liczba członków zmniejszała się.

To zaś nie było zgodne z planami i podstawową filozofią nowego Prezydenta Stanów Zjednoczonych Franklina Delano Roosevelta. Filozofia New Deal'u wychodziła z założenia, że *społeczne* źródła kryzysu mieszczą się w braku równowagi między mocą wielkiego businessu a pozostałymi siłami społecznymi. Stąd, aby przezwyciężyć kryzys, niezbędne było stworzenie takiego stanu równowagi. Wzór można było znaleźć w tradycji amerykańskiej. Była nim klasyczna doktryna równowagi (check and balance). W przekonaniu Roosevelta i jego doradców silny ruch robotniczy w Ameryce był niezbędny jako przeciwwaga dla potęgi świata wielkich interesów. Tylko w ten sposób stan równowagi będzie mógł być osiągnięty i sam ustrój gospodarczy uratowany. Roosevelt nie był rewolucjonistą i nie myślał o obaleniu kapitalizmu. Przeciwnie — chciał ten kapitalizm ratować przed nim samym, chciał go zmodernizować, ograniczając jego samowolę i wprowadzając na scenę amerykańską siły równoważące.

Do tego Roosevelt był praktycznym politykiem. Aby Partia Demokratyczna mogła się utrzymać przy władzy, musiała zdobyć dla siebie mocne oparcie w zorganizowanych masach robotniczych. Moment był znakomity : robotnik przeklinał Hoovera i Republikanów, robotnik szukał w Demokratach obrońców swych interesów.

Pod znakiem New Deal'u powstał szereg zasadniczych ustaw, które otworzyły nowe perspektywy przed amerykańskim ruchem robotniczym. Najważniejszą z tych ustaw był Akt Wagnera, gwarantujący robotnikom prawo swobodnego zrzeszania się w związki zawodowe z własnego wyboru oraz prawo zawie-

rania umów zbiorowych z przedsiębiorcami. Inna ustawa — Akt Byrnes'a — uniemożliwiła przedsiębiorcom posługiwanie się środkami gwałtu i terroru wobec strajkujących.

Robotnik amerykański, dotąd niezorganizowany i od organizacji, stroniący, zaczął teraz napływać do związków zawodowych. Ale Amerykańska Federacja Pracy z jej masą drobnych związków branżowych nie była przystosowana do wymagań nowych czasów. Z natury rzeczy rozrastały się szerokie związki przemysłowe. Zaczęły też powstawać nowe związki w gałęziach dotąd niezorganizowanych.

A równocześnie coraz bardziej pogarszały się stosunki w obrębie samej Federacji. Napływ nowych członków zaostrzał konflikty kompetencyjne, rodził nowe starcia między związkami branżowymi a przemysłowymi. Tym ostatnim było coraz ciaśniej w sztywnych ramach struktury organizacyjnej Federacji Pracy.

W listopadzie roku 1935 prezydenci ośmiu związków przemysłowych stworzyli komitet, do którego wkrótce przystąpiło jeszcze kilka organizacji. Grupa ta, choć formalnie wchodziła w skład Federacji, faktycznie prowadziła własną politykę. Na czele grupy stał przywódca górników, wysoce utalentowany ale jeszcze bardziej ambitny John Lewis. Tarcia wzmagały się, próby dojścia do kompromisu zawodziły, i w roku 1938 nawet formalnie rozłam stał się zupełny. Powstał Kongres Organizacji Przemysłowych. Amerykański ruch zawodowy był teraz reprezentowany przez dwie rywalizujące ze sobą centrale.

Później zaszły pewne przesunięcia : Lewis (po okresie ,,niezależności'') wrócił do AFofL, wrócił do niej również potężny związek krawców damskich, kierowany przez Davida Dubinsky'ego. W CIO pozostały się jednak największe organizacje zawodowe, jak przemysłu automobilowego (przywódca Walter Reuther), stalowego, elektrotechnicznego itd.

Taka była geneza rozłamu, który przez lat dwadzieścia dzielił amerykański ruch robotniczy. Ale w rozłamie tym było coś więcej, niż dało się to wyrazić w tym suchym przedstawieniu faktów historycznych.

II

Rozłamy na podłożu organizacyjno-taktycznym nie są czymś wyjątkowym w dziejach ruchów społeczno-politycznych. Było ich dużo i najczęściej prowadziły do daleko sięgających i dramatycznych konsekwencji. Taki przecież charakter miał pierwotnie rozłam w rosyjskiej socjalnej demokracji. W sporze między ,,bolszewikami'' i ,,mienszewikami'' chodziło o sprawy natury organizacyjnej.

Jednakże w rozłamach takich najczęściej kryją się poza motywami organizacyjnymi jakieś bardziej istotne — choć nie zawsze jasno uświadamiane — różnice ideologiczne czy filozo-

ficzne. Czy różnice takie istniały i w amerykańskim rozłamie z roku 1935? Odpowiedź na to nie jest prosta, zwłaszcza jeżeli się szuka dla niej analogii w doświadczeniach europejskich. Owszem, pewne różnice istniały, a i sam rozłam prowadził do dalszych zróżnicowań ideologicznych czy filozoficznych. Wszystko to jednak było bardzo amerykańskie i może być zrozumiane tylko w powiązaniu z całokształtem życia amerykańskiego tej epoki.

Zwróćmy uwagę na to, że do tej pory ani jednym słowem nie była poruszona sprawa *politycznych* ideologii czy programów amerykańskiego ruchu robotniczego. Sprawa ta jednak istniała i czas teraz na poświęcenie jej nieco uwagi.

Zacznijmy od stwierdzenia faktu, że Stany Zjednoczone nigdy nie były — a i nie są — sceną naprawdę poważnego *politycznego* ruchu robotniczego. Nie znaczy to, by nie było prób tworzenia takiego ruchu. Owszem — było ich dość dużo. Wszystkie jednak kończyły się niepowodzeniem i w rzeczywistości były bardziej formami protestu intelektualistów, niż ruchami prawdziwie masowo-robotniczymi. Tak było z Amerykańską Partią Socjalistyczną i tak było — w stopniu jeszcze większym — z Amerykańską Partią Komunistyczną.

Amerykańska Partia Socjalistyczna w okresie Eugeniusza Debsa potrafiła skupić pewną ilość autentycznych robotników i umiała odegrać pewną rolę w życiu amerykańskim. Jednak znaczną część tych robotników stanowili świeży emigranci z Europy — robotnicy, którzy z dawnych ojczyzn przynieśli tradycje i więzi organizacyjne europejskiego ruchu socjalistycznego. Ale — jak już o tym była mowa — w masie emigracyjnej robotnicy stanowili stosunkowo drobną mniejszość. Byli to głównie robotnicy żydowscy i polscy, członkowie Bundu i PPS, emigrujący do Ameryki często z powodów politycznych, zwłaszcza po roku 1905. Poza tym były małe ilości robotników niemieckich, angielskich, czeskich i włoskich, przy czym wśród tych ostatnich wpływy anarchistyczne i anarcho-syndykalistyczne były silniejsze od socjalistycznych. Ustawodawstwo emigracyjne po pierwszej wojnie światowej, zatrzymując napływ nowych mas z Europy, pozbawiło amerykański polityczny ruch robotniczy dopływu nowych sił. Łatwo zauważyć, że jedną — choć nie jedyną — z przyczyn upadku Amerykańskiej Partii Socjalistycznej były następstwa ograniczeń emigracyjnych.

Amerykański socjalizm znacznie mocniej apelował do amerykańskich inteligentów niż do amerykańskich robotników. Dla inteligentów było w nim ujście dla nastrojów *protestu* przeciwko stosunkom amerykańskim i — szczególnie — przeciwko konformizmowi w życiu amerykańskim. Wśród różnych nurtów tego życia nurt protestu jest zawsze widoczny i bardzo ważny. Istnienie jego nadaje całej cywilizacji amerykańskiej specjalny urok i pozwala pogodzić się z wielu jej przykrymi stronami. Początków tego nurtu trzeba szukać w kolonialnej Ameryce i zawsze

w tej czy innej formie znaleźć go można było we wszystkich okresach historii amerykańskiej.

Nurt ten niejednego z intelektualistów amerykańskich zaniósł do socjalizmu. Dla ludzi tych socjalizm był niejako naturalną formą protestu przeciwko panującemu konformizmowi. Byli oni dalecy od ortodoksji socjalistycznej, by nie mówić o marksizmie. Pociągała ich postać Debsa, pociągało to, że socjalizm podnosił głos protestu przeciwko temu, co i ich oburzało. Pociągało ich wreszcie i to że socjalizm był źle widziany a przywódcy jego prześladowani. Wielu z tych inteligentów później znalazło się w pierwszych szeregach pracowników New Deal'u.

Podobnie rzecz się miała z amerykańskim komunizmem. Był on w stopniu jeszcze mniejszym, niż amerykański socjalizm, ruchem robotniczym. Komunizm kształtował się w czasach, gdy ustawodawstwo emigracyjne działało w całej pełni. Był przeto pozbawiony udziału tych sił europejskich, które kiedyś w jakiejś mierze zasiliły amerykański socjalizm. Komunizm w Stanach Zjednoczonych przede wszystkim był formą inteligenckiego protestu.

I dlatego komunizm amerykański jest tak bardzo zjawiskiem amerykańskim. Nawet będąc narzędziem w rękach Moskwy, nie przestawał on być zjawiskiem, które wyrosło na gruncie amerykańskim i które nie da się zrozumieć w oderwaniu od podłoża amerykańskiego.

Ci inteligenci amerykańscy, którzy szli do komunizmu, widzieli w nim formę tradycyjnego protestu przeciw konformizmowi życia amerykańskiego. I znajdowali w partii komunistycznej inną postać konformizmu, do tego obostrzoną przez reguły surowej dyscypliny partyjnej. Sytuacja paradoksalna i głęboko tragiczna! Czy można się było pogodzić z tym drugim konformizmem? Protestować przeciwko niemu w obrębie partii? To było beznadziejne. A więc w imię protestu trzeba było odchodzić. Dokąd? Czy do tego konformizmu, przed którym ucieczką miał być komunizm? Nic dziwnego, że wśród inteligencji amerykańskiej jest tylu byłych komunistów i nic dziwnego, że wśród nich nastroje antykomunistyczne są tak silne, ba nieraz aż do fanatyzmu. Dla ludzi tych komunizm był wielką nadzieją i jeszcze większym rozczarowaniem. Chcieli w nim widzieć tradycyjnie amerykańskie ujście dla swego protestu i znajdowali pułapkę nieubłaganego konformizmu. Wpadali w to, przed czym chcieli uciec. Dzieje eks-komunistycznej inteligencji amerykańskiej to jedna z najbardziej bolesnych i tragicznych kart historii ludzkich rozczarowań i konfliktów wewnętrznych.

Wszystko to — podkreślmy ten fakt raz jeszcze — było bez porównania bardziej inteligenckie niż robotnicze. Robotnik amerykański — że pominiemy tu stosunkowo nielicznych świeżych przybyszów z Europy — jeżeli interesował się polityką, to w ramach ogólno-amerykańskiej sceny politycznej, bardziej jako obywatel, mniej — jako robotnik. Jako robotnik, ze względu na

swe interesy zarobkowe, szedł do związku zawodowego. A i to nie bez oporu, nie od razu, z wahaniami. Dopiero ostatnie lat dwadzieścia kilka naprawdę przekonały robotnika amerykańskiego, że związek zawodowy jest mu potrzebny. Było to jednak bardzo dalekie od przyjęcia idei klasowego politycznego działania zbiorowego.

W zupełnej zresztą z tym zgodzie stała i filozofia, jaka panowała w Amerykańskiej Federacji Pracy. A nie była ona obca i Kongresowi Organizacji Przemysłowych. Filozofia ta odrzucała koncepcję politycznego działania klasy robotniczej w ramach samodzielnej klasowej organizacji partyjnej.

Takie przede wszystkim było stanowisko samego Gompersa. Był on nie tylko wrogiem osobnej partii robotniczej, ale — co ważniejsza — z całą siłą konsekwentnie wypowiadał się przeciwko angażowaniu się Federacji w samodzielną akcję polityczną. Odrzucał nie tylko filozofię i praktykę niemieckiego ruchu robotniczego, ale i brytyjskiego ruchu zawodowego. Amerykańska Federacja Pracy w rozumieniu Gompersa miała bronić *zawodowych* interesów robotnika amerykańskiego, zachowując neutralność w sprawach politycznych.

Nie trzeba jednak rozumieć tego zbyt przesadnie. Gompers dobrze rozumiał, że w praktyce dla obrony interesów ekonomicznych robotnika nie można będzie uniknąć jakiejś dozy politykowania. Zresztą — choć sam emigrant — był zanadto zamerykanizowany, by nie interesować się politykowaniem i politykierstwem. A już najzupełniej obce mu były idee europejskiego anarchizmu czy syndykalizmu. Neutralność polityczną amerykańskiego ruchu robotniczego rozumiał po amerykańsku i zgodnie z filozofią swej epoki.

Nie miał nic przeciwko temu, by członkowie związków indywidualnie angażowali się w sprawy polityczne. To były sprawy osobiste każdego z nich i to było zgodne z tradycją amerykańską. Sam zresztą osobiście od spraw tych nie stronił. A wtedy chętnie rzucał na szalę ciężar swej organizacji. Składała się ona przecież z wyborców, którzy wierzyli w rozum polityczny i doświadczenie swego prezydenta. I Gompers w przetargach z rządem i partiami mógł się zawsze powołać na to, że ,,kontroluje'' tyle to a tyle głosów.

Wszystko to jednak odbywało się w ramach tradycyjnego systemu dwupartyjnego i nie odbiegało od metod, jakimi posługiwały się inne wielkie zespoły organizacyjne z wielkim businessem na czele. Gompers prowadził grę, lawirując między obu wielkimi partiami, z żadną na stałe się nie wiążąc, zawsze zachowując ,,neutralność'', ale przez najrozmaitsze manewry pozyskując ich poparcie dla planów Federacji. W praktyce Federacja, kierowana przez Gompersa, stała się jedną z wielu ,,pressure groups'', tak pospolitych w Waszyngtonie i w całych Stanach Zjednoczonych.

Nie zmieniło się to i po śmierci Gompersa. Jego następcy

wiernie stali na straży wskazań swego wielkiego mistrza. Trzymali się ich nie tylko przywódcy Federacji, ale i wielkich związków przemysłowych skupionych w CIO. W rzeczywistości na polu politycznym taktyka CIO mało czym się różniła od taktyki AFofL. Były jednak pewne różnice, bardziej natury praktycznej niż ideologicznej.

CIO skupił wielkie organizacje, obejmujące najprzeróżniejsze kategorie pracowników danej gałęzi przemysłu. Objął on nawet te kategorie, dla których w Polsce przyjęła się nazwa ,,pracowników umysłowych'', a które w Ameryce są określane jako ,,white collar workers''. Taki skład członków nie mógł nie mieć wpływu i na zasadniczą filozofię organizacyjną i taktyczną centrali. Związki wąsko-branżowe siłą rzeczą tworzyły teren dla zwężenia horyzontów myślowych, dla zacieśniania się w ramkach bezpośrednich interesów specyficznego zawodu czy małego zespołu. Związki przemysłowe musiały obejmować zagadnienia szersze, nie mogły swej akcji sprowadzać wyłącznie do spraw ciasno-zawodowych.

Nie było też rzeczą przypadkową, że na czele tych związków stanęli ludzie innego typu niż Gompers i jego następcy. Niektórzy z przywódców CIO mieli za sobą przeszłość socjalistyczną, bądź jeszcze europejską, bądź ze szkoły Debsa. Byli wśród nich dawni ,,bundowcy'' polscy i rosyjscy, było paru ,,mienszewików'' (Dubinsky w młodości był członkiem ,,Bundu'' w Łodzi. Zresztą Dubinsky dość szybko wrócił do AFofL.). Walter Reuther jest synem socjalisty i po dziś dzień nie kryje się ze swymi socjalistycznymi sympatiami.

Nie wynika z tego, by przywódcy związków przemysłowych w jakimś istotnym stopniu łączyli swe *osobiste* sympatie socjalistyczne ze sprawami swych organizacji. Byli ludźmi doświadczonymi, znali dobrze Amerykę i amerykańskich robotników i nie mieli złudzeń co do następstw prób kierowania ruchu zawodowego na tory socjalistyczne. Ale to podłoże ideologiczne, wolne od doktrynerstwa, pozwalało im widzieć zagadnienia szerzej i niewątpliwie sprawiło, że w akcji związkowej byli wolni od tych zacieśnień i ograniczeń, jakie cechowały AFofL.

I to zapewne dla wodzów CIO było ułatwieniem w odgrywaniu tej wielkiej roli, jaka mi przypadła w udziale w epoce administracji Roosevelta i szczególnie w czasach New Deal'u. Wtedy to powstał sojusz między amerykańskim światem pracy a Partią Demokratyczną.

Jak wiemy, silny ruch zawodowy był jedną z przesłanek, na których opierał się program New Deal'u modernizacji społecznej amerykańskiego życia gospodarczego i amerykańskiego businessu. Partia Demokratyczna dążyła też do rozszerzenia swej bazy wyborczej w masach robotniczych. Z drugiej strony związki zawodowe rozumiały, że w programie New Deal'u mieszczą się wielkie obietnice dla świata pracy i że poparcie dla Roosevelta i Demokratów leży w interesie robotnika. Były więc

wszelkie dane, że sojusz stanie się trwały i korzystny dla obu stron.

W tych to latach następuje bardzo znaczny wzrost liczebny związków zawodowych. W roku 1940 liczyły one łącznie 8,5 miliona członków (w roku 1933 — niecałe trzy miliony). Wzrost ten postępował z coraz większą mocą w latach wojny. W roku 1945 15 milionów robotników było zorganizowanych. W chwili obecnej połączone AFofL i CIO liczą 15 milionów członków, a pewna ilość robotników jest zorganizowana w związki, nie należące do wielkich central (na przykład „Bractwa" kolejarzy). Do historii przeszła rola, jaką w czasach Roosevelta odegrał znakomity przywódca CIO — Sidney Hillman.

CIO pociągnęła za sobą i AFofL. I ta centrala weszła do wielkiej koalicji z Demokratami. Ale właściwa inicjatywa i akcja były głównie w rękach CIO i wielkich związków przemysłowych.

Wszystko to wymagało rewizji tradycyjnej filozofii neutralizmu politycznego. Rewizja taka nie była rzeczą ani prostą ani łatwą. I nie poszła ona zbyt daleko : miejsce dawnego lawirowania między obu partiami zajął sojusz z jedną z nich. W żadnym zaś razie nie mogło być mowy o tworzeniu jakiejś nadbudówki politycznej nad ruchem zawodowym, w rodzaju angielskiej Labour Party, zwłaszcza we wczesnym okresie jej dziejów. Tego nikt nie chciał — ani robotnicy, ani administracja i Demokraci. I tego bali się przywódcy związków. Jak zresztą można było mówić o jakiejś ogólno-robotniczej nadbudówce politycznej, skoro ruch zawodowy był rozbity?

Prawda że CIO — a później i AFofL — tworzyły pewne specjalne organy dla prowadzenia akcji politycznej (Political Action Committee CIO itp.). Głównym jednak ich celem było działanie przedwyborcze, mobilizowanie członków do udziału w wyborach. I choć CIO i w tym wykazywał więcej inicjatywy, był śmielszy i bystrzejszy w swych pomysłach niż AFofL, to i on nie odchodził od zasadniczej linii, jakiej w Ameryce trzyma się każda polityczna czy politykująca „pressure group".

Jeżeli więc między obu centralami zachodziły różnice polityczne, to były one bardziej natury taktycznej niż głęboko-ideologicznej. A w każdym razie nie były to różnice tak wielkie, by musiały prowadzić do zasadniczych konfliktów. Największe różnice były nadal natury organizacyjnej — „branżowy" czy „przemysłowy" charakter organizacji. Ale nawet i te różnice w praktyce coraz częściej się zacierały. W AFofL był cały szereg wielkich związków przemysłowych, żeby wymienić tylko górników i krawców damskich. I kierownictwo tej centrali coraz lepiej rozumiało, że przyszłość należy do wielkich związków przemysłowych i że różnice sprzed lat dwudziestu stają się bezsensowne. Na przeciąganiu się rozłamu najwięcej tracił sam robotnik. Obie strony były gotowe do ponownego wstąpienia w związki małżeńskie.

Ale — jak to bywa i w pożyciu małżeńskim — małe spra-

wy nieraz bywają źródłem największych niesnasek i trudności. A w danym wypadku takich małych spraw było dużo, niektóre zaś z nich były szczególnie przykre i irytujące. Że zaś właśnie takie sprawy często bywają najmniej powabne, przeto ta część naszej opowieści będzie miała za temat rzeczy wysoce niebudujące i wysoce nieprzyjemne. Mówiąc o amerykańskim ruchu zawodowym, nie można pominąć tak zwanego ,,union racket'', zwłaszcza że ,,małe sprawy stanowią tu raczej powierzchnię, pod którą kryją się sprawy i zagadnienia znacznie poważniejsze i ogólniejsze.

III

Dla użytku czytelników, mniej obznajmionych z subtelnościami mowy amerykańsko-angielskiej, muszę dać pewne wyjaśnienie językoznawcze. Słowo ,,racket'', które każdy słownik określa jako ,,wrzask'' czy ,,zgiełk'', na terenie amerykańskim przybrało dość specyficzne znaczenie. Mam wrażenie, że słowo ,,granda'' najlepiej wyraża treść słowa ,,racket'' tak jak jest ono używane w Stanach Zjednoczonych. Ma ono co prawda jeszcze parę innych znaczeń (na przykład ,,what is your racket'' w sensie ,,czym się zajmujesz''), ale te możemy tu pominąć. Inaczej — wyrażenia ,,union racket'' i ,,granda związków zawodowych'' będziemy traktować jako równoznaczne.

Dla omówienia owej ,,grandy związków zawodowych'' musimy znów zwrócić się do historii. We wszystkich kapitalistycznych krajach świata początkowy okres uprzemysłowienia się szedł w parze z bardzo zaostrzonymi konfliktami klasowymi. Konflikty te nierzadko przybierały szczególnie brutalne formy. Bodaj jednak nigdzie nie były one tak brutalne jak w Stanach Zjednoczonych. I bodaj nigdzie nie były one tak długotrwałe. Aż do czasów New Deal'u rozwojowi uprzemysłowiania się w Stanach Zjednoczonych towarzyszyły krwawe akty terroru, rozprawy, w których rewolwer był głównym argumentem.

Gwałt był stosowany wszechstronnie. Stosowali go przemysłowcy wobec robotników, stosowali go zresztą i wobec swych konkurentów-przemysłowców. Stosowali go robotnicy wobec przemysłowców, a często i wobec emigrantów i wobec rywalizujących grup robotniczych. Gwałt po jednej stronie rodził gwałt po stronie drugiej. Uważane to zresztą było za normalne. Duch Pogranicza głęboko przeniknął do stosunków w świecie przemysłu amerykańskiego, tworząc atmosferę, która bliższa była ,,Dzikim Polom'' Polski wieku XVII-go, niż przemysłowej Europie wieku XIX.

Sir Arthur Conan Doyle w ,,The Valley of Fear'' starał się dać obraz tych stosunków w amerykańskim osiedlu górniczym w latach osiemdziesiątych zeszłego stulecia. Ale Sir Arthur był w tym daleki od bezstronności. Całą winę przypisuje górnikom, a bohaterem robi detektywa z agencji Pinkertona. W rzeczywi-

stości słynna agencja Pinkertona ma ciemną kartę w annalach dziejów amerykańskiego rozwoju przemysłowego. Była ona narzędziem terroru, jaki przemysłowcy stosowali wobec robotników. Jeszcze na początku XX wieku wiele potężnych przedsiębiorstw miało swoje bojówki, których zadaniem było rozprawianie się z krnąbrnymi robotnikami, ich organizacjami i przywódcami. Stary Ford celował pod tym względem i nie cofał się przed użyciem najbardziej brutalnych środków dla złamania swych robotników. A Ford nie był ani wyjątkiem, ani najbrutalniejszym z wielkich businessmanów tego okresu.

Robotnicy ze swej strony odpowiadali terrorem. Agencji Pinkertona i fabrycznym „policjom" przeciwstawiali własne bojówki. Trudno odpowiedzieć na pytanie, kto tu zaczynał i co było akcją, a co reakcją. Atmosfera była taka, że bez względu kto zaczynał pierwszy, bomby, rewolwery i pałki gumowe były puszczane w ruch.

W rzeczywistości w tym walkach bojówek ofiarami po obu stronach byli robotnicy. Bojówki organizacji robotniczych walczyły z łamistrajkami, z „policjantami" fabrycznymi (a i to przecież byli robotnicy!), często z bojówkami rywalizujących organizacji zawodowych. Niewesołą w tym wszystkim rolę odgrywali nowi emigranci, łapiący się każdego zarobku, wrogo usposobieni do związków (które ze swej strony okropnie odnosiły się do nich) i obojętni wobec żądań robotniczych. Były to czasy zaostrzonego antagonizmu między „autochtonicznymi" robotnikami amerykańskimi a napływającymi masami emigracyjnymi. To, że ten „autochtonizm" był bardzo świeżej daty, nie miało znaczenia.

Gdzie panują takie stosunki, tam zaciera się granica między tym, co da się określić jako ideowość, a tym, co jest zwykłym bandytyzmem. Dzieje organizacji bojowej PPS po roku 1905 dostarczają tu pouczających przykładów. W atmosferze życia amerykańskiego owych czasów wyglądało to znacznie gorzej. I bez walk w przemyśle warunki życia w miastach amerykańskich sprzyjały rozwojowi przestępczości. Walki przemysłowe związały szereg — zwłaszcza mniejszych — organizacji zawodowych z bandytyzmem.

A bandytyzm wiązał się z lokalnym politykierstwem, z korupcją policji, z nadużyciami wszelkiego gatunku. Nawet dziś w wielu miastach amerykańskich liczne nici łączą lokalną politykę i miejscową policję ze światem przestępczym. A cóż dopiero lat temu kilkadziesiąt, gdy Lincoln Steffens piętnował „hańbę miast amerykańskich"! Demoralizacja sięgała daleko i głęboko.

Wzmogła się w czasach Prohibicji, gdy nowa fala korupcji i bezprawia zalała całe życie Stanów Zjednoczonych. Wielu bojówkarzy po obu stronach zabrało się do bardziej intratnej profesji „bootleggerstwa". A to też nie pozostawiało na stronie niektórych lokalnych związków i ich przywódców. Słowem,

z każdej strony pewne związki ocierały się o zwykły bandytyzm. Jeżeli kiedyś znajdzie się historyk, który podejmie się opracowania dziejów słynnego Lepke Buchaltera, założyciela i kierownika ,,firmy bandyckiej'' Murder Inc. (skończył na krześle elektrycznym, ale tradycja jego jest wciąż żywa w pewnych dzielnicach Brooklynu), to można będzie otrzymać pasjonujące studium, oświetlające niejedną stronę życia amerykańskiego pewnej epoki.

To jednak była tylko jedna strona ,,grandy związków zawodowych''. A drugą stroną był klikowy charakter wielu związków i związeczków. Małe organizacje, zazdrośnie strzegące swego monopolu w danej specjalności (jakże często arcyspecjalnej!), łatwo przeobrażały się w kliki, rządzone przez ,,bossów'' najgorszego rodzaju. ,,Bossizm'' — ta jedna z plag amerykańskiego życia publicznego — kwitł (a i wciąż kwitnie) w wielu związkach. Wytworzyła się sytuacja, w której dla kandydata dostanie się do pewnych zawodów jest rzeczą niemożliwą czy prawie niemożliwą. Nie dostanie pracy bez wstąpienia do związku, a związek nie przyjmuje nowych kandydatów. W wielu wypadkach wymagane są bardzo wysokie opłaty wstępne, w innych wypadkach przyjęcie do związku zależy wyłącznie od woli ,,bossa'', od tego, czy w ten albo inny sposób uda się pozyskać jego życzliwość.

Prasa amerykańska wciąż pisze o tym, co dzieje się w związkach tragarzy portowych New Yorku i wielu innych miast wschodniego wybrzeża. Są to rzeczy fantastyczne. Bandytyzm i korupcja tworzą tam zgodną parę. I mimo wszelkie wysiłki wciąż nie dają się wytępić. A kariery wielu bossów! I o nich prasa dużo pisze. Jak choćby o tym, który w ,,swoim'' związku ma *statutowo* zapewnioną dożywotnią prezesurę z pensją, o której marzyłby najznakomitszy profesor amerykański. Najgorsze formy patronalizmu przyjęły się na terenie niejednego amerykańskiego związku zawodowego.

Byłoby wielką niesprawiedliwością przerzucać na robotnika amerykańskiego całą odpowiedzialność za wytworzenie się takich stosunków. Anomalie w amerykańskim ruchu zawodowym są poszczególnym przypadkiem szerszych anomalii, charakteryzujących cały rozwój społeczeństwa Stanów Zjednoczonych. Pogranicze i jego wpływy, metody eksploatacji kolosalnego kontynentu, gorączkowy i chaotyczny rozwój wielkich miast, emigracja i migracje wewnętrzne, swoiste warunki rozwijania się systemu partyjnego — wszystko to miało swój wpływ na anomalie amerykańskiego rozwoju historycznego. Była to jedna z cen, jakie Ameryka musiała płacić za rozwój swych demokratycznych instytucji. Były to anomalie plebejskiej demokracji. Stąd jednak wcale nie wynika, by anomalie systemów niedemokratycznych były bardziej niewinne i przyjemniej pachnące! Tak z pewnością nie jest. A demokracja w każdym razie zostawia szerokie możliwości dla inicjatywy społecznej w walce ze swy-

mi anomaliami. I walkę taką demokracja amerykańska prowadzi.

Trzeba przyznać, że „granda związków zawodowych" na terenie AFofL przedstawiała się zacznie gorzej niż na terenie CIO. Nie oznacza to, by ta ostatnia centrala we wszystkich wypadkach zachowywała biel gronostaja. Ale skandale, jeżeli i tam się trafiały, były stosunkowo nieliczne, spotykały się z ostrą reakcją kierownictwa i członków, były tępione. CIO już przez sam swój charakter organizacyjny, przez „przemysłowość" i masowość swych związków, był lepiej zabezpieczony przed „racketem", niż jego rywalka. Poza tym większość związków CIO powstała stosunkowo niedawno, w czasach, w których formy walki klasowej zaczęły gruntownie się zmieniać. I wreszcie ludzie, którzy stali na czele CIO, reprezentowali nowy typ działaczów związkowych — bardziej ideowych, o szerszych horyzontach myślowych, o dużej uczciwości osobistej.

Naturalnie i w obrębie AFofL nie brakło sił, które starały się położyć kres „racketowi". Dubinsky pod tym względem ma bardzo ładną kartę. Ale nie była to sprawa łatwa. „Granda" miała tak wielkie rozgałęzienia, sięgała tak głęboko, że wytępić ją z korzeniami było czymś nieprawdopodobnie trudnym. I to było ważnym czynnikiem, utrudniającym porozumienie między AFofL i CIO.

Rozejście się obu grup było na gruncie organizacyjnym. Prawda, że w tej materii zasadnicze rozbieżności dawały się usunąć. Jeżeli jednak w zasadzie było to proste, to w praktyce trudniej było z pozornie drobnymi sprawami kompetencyjnymi. Wielkim związkom nieraz więcej kłopotu, niż samemu przedsiębiorcy, sprawiały małe związki branżowe, działające na terenie danego przedsiębiorstwa, prowadzące własną politykę, paraliżujące poczynania większych organizacji. Te spory kompetencyjne stały się istotną plagą życia amerykańskich związków zawodowych i bez usunięcia tej plagi trudno było mówić o istotnym połączeniu i prawdziwym współdziałaniu.

A wreszcie była sprawa „grandy związków zawodowych". Dla CIO była to sprawa zasadnicza. Przywódcy Kongresu chcieli połączenia, domagali się jednak, by partnerzy „oczyścili swój dom". CIO powoływał się na to, że usunął związki komunizujące (związki takie zresztą były i w AFofL) i wszystkich, którzy byli podejrzani o „racket". CIO niewątpliwie „oczyścił swój dom". Dom ten zresztą nie był specjalnie brudny i sprzątnąć go nie wymagało nadmiernych wysiłków.

Inaczej było w AFofL. Zwykłe sprzątanie nie mogło tu wystarczyć. Korupcja sięgała bardzo głęboko i miała rozległe rozgałęzienia. Trzeba było usuwać całe związki i usuwać bossów. Trzeba było odcinać pewne organizacje i pewnych ludzi od powiązań z brzydko pachnącymi aferami pozazwiązkowymi. I trzeba było zrobić jakiś porządek w zakresie spraw kompetencyjnych.

To nam tłumaczy, dlaczego tyle czasu musiało upłynąć zanim obie centrale ponownie wstąpiły w związki małżeńskie, zerwane przed dwudziestu laty. AFofL oczyściła swój dom. Jak dalece to się jej powiodło, o tym powie nam przyszłość. W każdym razie proces czyszczenia posunął się naprzód na tyle, że CIO uznał, iż może przystąpić do fuzji.

W ten sposób powstała nowa centrala, licząca łącznie 15 milionów członków (około 2 milionów zorganizowanych robotników amerykańskich jest wciąż poza obrębem centrali). W obrębie nowej centrali związki przemysłowe będą stanowiły grupę autonomiczną, na której czele stanął Walter Reuther, dotychczasowy przewodniczący CIO.

Piętnaście milionów jest grupą bardzo potężną. Co prawda jest to wciąż mniejszość w amerykańskim świecie pracy, który liczy się na około 60 milionów zatrudnionych. Ale połączenie powinno stworzyć nowe możliwości organizacyjne, powinno wzmóc szanse przenikania związków zawodowych w nowe tereny, dotąd słabo lub wcale nie zorganizowane.

Jakie mogą być dalsze perspektywy tej fuzji AFofL i CIO? Nie łatwe to pytanie. I aby na nie odpowiedzieć, wypadnie nam postawić inne — bodaj jeszcze trudniejsze pytanie: czym jest robotnik amerykański? O tym teraz pomówimy.

IV

W roku 1940 znany ,,magazyn'' ,,Fortune'' przeprowadził rozległe badanie terenowe, którego zadaniem było ustalenie, do jakiej kategorii społeczno-majątkowej zaliczają siebie obywatele Stanów Zjednoczonych. Równocześnie odpowiedzi osób badanych były konfrontowane z ich *obiektywną* sytuacją życiową. Badanie, które objęło wszelkie środowiska i klasy społeczne Stanów Zjednoczonych, było później ponawiane, co jednak nie przyniosło zmian zasadniczych w stosunku do wyników z roku 1940.

A były to wyniki bardzo interesujące. Stwierdzały one, że prawie 80 procent osób badanych zaliczyło siebie do ,,średniej'' klasy majątkowej. O swym majątkowym ,,średniactwie'' mówili ludzie obiektywnie ubodzy (bezrobotni, niewykwalifikowani robotnicy rolni), mówili i ludzie bezspornie zamożni, nawet — bogaci. Wśród osób, które w świetle danych obiektywnych należało by zaliczyć do kategorii ,,zamożnych'', aż 74,7 procent nazwało się ,,średnimi''. Wśród osób, które obiektywnie znajdowały się u spodu drabiny majątkowej, 4.5 procent zaliczyło siebie do klasy ,,wyższej'', a 70,3 procent do klasy ,,średniej''.

Gdy chodzi o ludzi obiektywnie biednych, można by tu było mówić o typowym optymizmie Amerykanina. Cóż z tego, że dziś nie mam pieniędzy — jutro mieć je będę. Mogę więc już dziś zaliczyć siebie do wyższej kategorii majątkowej. Ale nie da

się to powiedzieć o ludziach zamożnych, którzy siebie zaliczyli do „średniaków". Czyżby w danym wypadku działał tu pesymizm? — Z pewnością — nie! I w wypadku ludzi obiektywnie ubogich i obiektywnie zamożnych działały tu inne czynniki, niezmiernie ważne dla całego oblicza cywilizacji amerykańskiej.

Pytania „Fortune" tyczyły się sytuacji majątkowej osób badanych. Samo jednak pytanie było sformułowane nieco inaczej: pytano się o „klasę", do której dana osoba siebie zalicza. W tym miejscu pewne wyjaśnienia są niezbędne.

W Stanach Zjednoczonych z pojęciem klasy wiązane są inne treści niż w Starej Europie. W Ameryce „klasa" to klasa majątkowa, to sprawa przynależności do grupy o tym samym czy zbliżonym dochodzie czy majątku. W Europie z pojęciem klasy łączą się określone treści *społeczne*, łączy się obraz pozycji osobnika w całym układzie społecznym danego narodu. Dla Amerykanina miernikiem udziału osobnika w danej klasie jest jego dochód czy majątek. Europejczyk wprowadza tu jeszcze szereg innych rozróżnień. Inaczej, dla Europejczyków dochód i majątek same przez nie są jeszcze miernikami przynależności klasowej. Do nich muszą się jeszcze dołączyć i inne mierniki. Dla marksizmu zasadniczym takim miernikiem jest rola w procesie produkcji i, wynikający z niej, *typ* sytuacji własnościowej.

Ma to szczególne znaczenie gdy chodzi o robotników — w Europie i w Ameryce. Europejski proletariat przemysłowy rodził się w ramach społeczeństwa o żywych tradycjach feudalnych, społeczeństwa, w którym utrzymywały się warstwice społeczne, każda o określonym charakterze społeczno-kulturalnym, o określonych funkcjach gospodarczych, o określonych zadaniach i rolach w całokształcie życia zbiorowego. Niewątpliwie rewolucja przemysłowa burzyła ten system. Ale — zwłaszcza w początkowych swych stadiach — odbywała się w jego ramach, a i w czasach późniejszych wiele z niego zachowała.

Inaczej było w Ameryce. Taki system warstwicowy tu się nie rozwinął. Rewolucja przemysłowa odbywała się w ramach społeczeństwa plebejskiego, społeczeństwa o wielkiej ruchliwości społecznej i topograficznej, wysoce demokratycznego, obcego tym systemom wartościowań społecznych, jakie od tysiącleci istniały w Europie.

Zilustrujmy to przy pomocy prostych przykładów. Wyobraźmy sobie, że w Polsce przedwojennej (nie wiem, jak to wygląda w Polsce obecnej, ale nie sądzę, by zaszły tam pod tym względem istotne zmiany) nauczyciel gimnazjalny rzucił swój zawód i został na przykład szoferem auta ciężarowego. Przy czym motywem jego postępowania byłoby to, że szoferka jest znacznie lepiej płatna od nauczycielstwa. Nie ulega dla mnie wątpliwości, że decyzja taka spotkałaby się z powszechną dezaprobatą. Człowiek, który rzucił nauczycielstwo dla szoferki, byłby uznany za *zdeklasowanego*. Pociągnęłoby to za sobą dla niego daleko idące konsekwencje społeczne i towarzyskie. Znajomi by się od

niego odsunęli, byłby traktowany jako wykolejeniec, jako człowiek, który stracił swe dawne miejsce w społeczeństwie.

Przykład ten nie został wybrany dowolnie. Szkolnictwo amerykańskie przeżywa dziś ostry kryzys. Jednym z jego aspektów jest masowa ucieczka nauczycieli do lepiej płatnych zawodów, zwłaszcza do szoferstwa ciężarowego. Prasa woła, że nauczycielom trzeba dać lepsze warunki materialne, bo sytuacja zaczyna być groźna. Nikogo jednak nie dziwi fakt zamieniania nauczania na prowadzenie ciężarówki. To jest w zupełności uzasadnione, skoro szoferka daje lepsze wyniki materialne. Były nauczyciel-szofer nie jest uważany za człowieka zdeklasowanego, który stracił swe miejsce społeczne. Przeciwnie — skoro zarabia lepiej, osiągnął awans społeczny. Wartościowanie, tak typowe dla Europy, dla Amerykanina jest niezrozumiałe.

Jak tysiące studentów amerykańskich, syn moich przyjaciół pracował latem jako kelner w restauracji miejscowości uzdrowiskowej. Matka jego napisała o tym swej dawnej służącej w Polsce. Reakcja była następująca: ,,Spłakałam się ze zmartwienia. Jak Jaśnie Pani mogła dopuścić, żeby nasz Panicz miał po kim zbierać brudne talerze!'' Nie wiem, czy ta polska proletariuszka jest członkiem Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej. Zapewne jest członkiem jakiegoś związku zawodowego w Polsce. Ale reakcja jej na wiadomość o kelnerstwie panicza najlepiej mówi o różnicach między dwiema mentalnościami i dwiema cywilizacjami — jednej starego świata i drugiej świata nowego...

Jak 80 procent obywateli Stanów Zjednoczonych, robotnik amerykański uważa siebie za członka klasy ,,średniej''. To ,,średniactwo'' wyraża ideał Amerykanina — być takim jak i wszyscy inni, być jednym w masie ludzkiej, nie spadającym poniżej poziomu, ani nie wybijającym się nad poziom. Tylko demokracja plebejska mogła stworzyć taki ideał i przyswoić go milionom ludzi. Robotnik amerykański jest kością kości i krwią krwi demokracji plebejskiej.

Robotnikowi temu obce jest to, co w innych częściach świata określane jest jako ,,świadomość klasowa proletariatu''. Nie uważa siebie za ,,proletariusza'', albowiem nie widzi siebie jako członka specyficznej grupy ludzkiej, społecznie wydzielonej spośród grup innych i upośledzonej.

Nie wynika z tego, by robotnik amerykański w jakiś sposób nie definiował swej sytuacji w społeczeństwie jako członka określonej gromady ludzkiej. Zalicza siebie do ,,świata pracy'' (American labor), traktuje to jednak jako *konsekwencję wykonywania określonego zawodu* (job), nie zaś jako określoną *sytuację klasową* w sensie europejskim. Jeżeli dobrze zarabia, praca, którą wykonywuje, daje mu wyróżnienie otoczenia, daje mu prestiż. Jak każde zajęcie, które przynosi powodzenie materialne. Dobrze zarobkujący szofer jest w Ameryce wyżej ceniony niż źle zarobkujący nauczyciel. Fakt, że długoletni boom dał robot-

nikom amerykańskim, szczególnie wysokokwalifikowanym, wyjątkową zamożność, przyczynił się wybitnie do wzmocnienia się w tych robotnikach poczucia swego stanowiska społecznego i autorytetu. Tu też jedna z ważnych przyczyn rozwoju związków zawodowych : robotnik amerykański słusznie łączy swój sukces materialny i tym samym wzrost swego prestiżu społecznego z działalnością związków zawodowych. Związki te okazały się sukcesem, albowiem każdemu ze swych członków zapewniły sukces w jego życiu indywidualnym. Za to robotnik jest im wdzięczny i w swej przynależności do nich widzi źródło swej siły i dumy.

Fakt dominowania kryterium powodzenia materialnego ułatwia też życiowe kontakty robotnika amerykańskiego z innymi kategoriami socjalnymi i sprawia, że robotnik nie czuje się członkiem jakiejś zamkniętej klasy czy warstwy. Nie oznacza to, by nawet najlepiej zarabiający mechanik fabryki automobilów był przyjmowany w każdym domu swych sąsiadów i miał dostęp do każdego środowiska społecznego. Ale skala jego kontaktów towarzyskich w obrębie klasy ,,średniej'' jest nieskończenie rozleglejsza niż jego europejskiego towarzysza. A ludzie, z którymi się styka towarzysko, bez względu na swój zawód nie różnią się od niego ani pod względem stylu życia, ani pod względem ideałów, zainteresowań czy wykształcenia. Poza tym w żadnym chyba kraju na świecie nie panuje taka łatwość w przechodzeniu z zawodu do zawodu, od kondycji socjalnej do kondycji socjalnej, jak to ma miejsce w Ameryce. Dzisiejszy robotnik jutro, jeżeli mu się powiedzie, może przejść do businessu albo do polityki i, jeżeli znów tu mu się powiedzie, może zająć czołowe miejsce w hierarchii społecznej. A cóż dopiero mówić o dzieciach jego, jeżeli zdobędą odpowiednie wykształcenie czy inne kwalifikacje, dające wysokie zarobki. W Ameryce pochodzenie ma nieskończenie mniejsze znaczenie (chyba że się jest Murzynem!), niż zeznanie podatkowe — ten widomy sprawdzian sukcesu. Toteż nikt nie usiłuje zacierać śladów swych skromnych początków, przeciwnie — są one nieraz podkreślane i to z dumą, gdyż skala wzniesienia się na drabinie społecznej świadczy o zdolnościach i energii jednostki, świadczy o rozmiarach sukcesu.

To wszystko nam tłumaczy, dlaczego wszystkie próby tworzenia w Stanach Zjednoczonych robotniczych partii politycznych kończyły się zupełnym niepowodzeniem. Pomijając świeżo przybyłych z Europy, masy robotników amerykańskich nie tylko nie odczuwały potrzeby zakładania takich partii, ale i do samej ich idei odnosiły się nieufnie. Związki zawodowe — tak, ale nie partie polityczne ! Robotnik amerykański ceni związek zawodowy jako skuteczne narzędzie osiągania celów bezpośrednich i doraźnych — zabezpieczenia pracy już posiadanej, zdobycia lepszych warunków. O to walczy, jak o to samo walczy *każdy* Amerykanin bez względu na to, jaka jest jego sytuacja majątkowa i społeczna. Do tego jednak osobna partia robotnicza nie

jest potrzebna. Przeciwnie, partia taka podkreślałaby tylko odrębność robotnika, odsuwałaby go od innych Amerykanów, od innych ludzi ,,średnich".

I dlatego to marksizm nie mógł do niego przemówić. Nie przemówił jako marksizm partii socjalistycznej i nie przemówił jako marksizm komunistyczny. Amerykańska Partia Socjalistyczna mogła przynajmniej liczyć na robotników świeżo przybyłych z Europy, którzy ze Starego Świata przynieśli dawne tradycje i stare więzi partyjne. Partia komunistyczna — produkt czasów późniejszych — i na to liczyć nie mogła. Naiwna doktryna, że proletariat jest wszędzie proletariatem, uniemożliwiła jej zrozumienie postaw i filozofii robotniczych mas amerykańskich. I masy te nigdy za komunizmem nie szły.

V

Coś podobnego mogło mieć miejsce tylko w Stanach Zjednoczonych. Robotnik amerykański mógł być produktem Ameryki i tylko Ameryki. Jego doświadczenia nie dadzą się przenieść na teren żadnego innego kraju świata.

Cztery fakty miały tu znaczenie decydujące :

Ameryka nie jest krajem, ale wielkim kontynentem.

Kontynent ten wciąż jest bardzo słabo zaludniony.

Kontynent ten jest zaopatrzony w prawie wszystkie zasoby naturalne i z natury fantastycznie bogaty.

Rozwój historyczny narodu amerykańskiego był zupełnie specyficzny. Był to rozwój demokracji plebejskiej, wolnej od instytucji feudalnych i tradycji feudalizmu.

W ramach tych czterech zasadniczych faktów odbywała się amerykańska rewolucja przemysłowa, nie mająca na swej drodze tych przeszkód prawno-obyczajowych, jakie musiały pokonywać rewolucje przemysłowe w Starym Świecie. Jedyną przeszkodą była niewolniczo-plantatorska gospodarka na Południu. Wojna Domowa i tę przeszkodę usunęła.

Rewolucja ta była finansowana przez inwestycje kapitałów europejskich i przez napływ taniej siły roboczej ze Starego Świata. Jedno i drugie wyznaczyło oblicze wczesnego okresu industrializacji Stanów Zjednoczonych. Był to zarazem okres najostrzejszych tarć klasowych i okres największego wyzysku mas pracujących. ,,Union racket" zrodził się w tych czasach. Okres ten zakończył się po pierwszej wojnie światowej, a Wielki Kryzys roku 1929 przyniósł początek nowej ery.

Pierwsza wojna światowa odwróciła stosunek gospodarczy Ameryki i Europy. Stany Zjednoczone z wielkiego dłużnika Europy stały się jej wierzycielem. Z kraju, w którym się inwestowało, stały się krajem, który inwestował gdzie indziej. Przede wszystkim jednak inwestował u siebie.

Nowe ustawodawstwo emigracyjne zamknęło okres napływu taniej siły roboczej. Proces amerykanizacyjny emigrantów mógł

się teraz odbywać swobodnie, a związki zawodowe mogły przestać obawiać się konkurencji świeżych przybyszów. Dało to im silne podstawy i — gdyby nie Wielki Kryzys — otwierało nowe perspektywy.

Wielki Kryzys był kolosalnym wstrząsem ekonomicznym i moralnym. Roosevelt był tym, który Amerykę z niego wyprowadził. New Deal doprowadził do społecznej modernizacji życia gospodarczego. A równocześnie New Deal powołał związki zawodowe do aktywnego udziału w kierowaniu gospodarką i losami narodu.

Druga wojna światowa możliwości te rozwinęła jeszcze bardziej. Rozpoczął się długi okres boomu, dającego Ameryce dobrobyt, jaki nie miał sobie równych w jej historii. Nigdy bowiem w dziejach Stanów Zjednoczonych przez tyle lat nie było tak pełnego zatrudnienia i tak wysokich zarobków.

Od czasów New Deal'u sytuacja prawna robotnika uległa zasadniczej zmianie. Niewątpliwie słynny Taft-Hartley Act wniósł ograniczenia ze szkodą dla interesów robotniczych. Ale podstawowe zdobycze naruszone nie były. Boom zaś dał ekonomiczne uzasadnienie dla kolosalnych zdobyczy w zakresie podniesienia stopy życiowej i zabezpieczenia przyszłości. Fakt, że w chwili obecnej na czoło żądań robotniczych wysunął się postulat rocznej gwarancji płacy, najlepiej mówi o rozmiarach zdobyczy amerykańskiego świata pracy w dobie wielkiego boomu. W niektórych umowach zbiorowych postulat ten został już wprowadzony jako norma obowiązująca. A niewątpliwie na nim nie skończą się dalsze osiągnięcia, jakie w przyszłości będą sobie stawiać za cel amerykańskie związki zawodowe.

Oczywiście każda z tych zdobyczy przychodzi nie od razu i nie łatwo. Przedsiębiorcy stawiają opór, ale opór ten w większości wypadków jest bardziej sprawą nawyków niż prawdziwych zasad i rzeczywistej konieczności. Szczególnie młodsza generacja wodzów amerykańskiego wielkiego businessu pogodziła się z faktem, że nie można iść przeciwko związkom zawodowym, że robotnik stał się de facto partnerem w wielkim procesie produkcji, że w interesie businessu jest mieć go po swojej stronie, zainteresowanego w dalszym rozwoju wielkich gigantów przemysłowych. Nie jest rzeczą przypadkową, że niejeden z przywódców wielkiego businessu nie krył swej dezaprobaty dla aktu Tafta-Hartleya. Ustawa ta była zwycięstwem — zresztą dość wątpliwym zwycięstwem — konserwatywnych grup businessu, liczniej reprezentowanych przez średnie i mniejsze przedsiębiorstwa niż przez wielkie giganty.

Ten fantastycznie bogaty i wciąż jeszcze bardzo słabo zaludniony kontynent daje wyjątkowe możliwości dla rozwinięcia się takich stosunków. Kolosalne zdobycze technologiczne ułatwiają doskonałe wyzyskanie warunków naturalnych. A z pomocą przyszły wypadki historyczne ostatniej doby, wypadki, które Ameryka z tak wielką dla siebie korzyścią umiała wyzyskać.

Społeczeństwo amerykańskie ma więc do podziału potężny bochen chleba. Pewnie, że podział tego bochna nie jest równomierny, że znaczna jego część przypada w udziale stosunkowo nielicznym. Ale to, co pozostaje, jest tak wielkie, że w zupełności wystarcza na obdzielenie milionowych mas ludzkich. A przede wszystkim — mas robotników przemysłowych. Ten bochen nie zmniejsza się. Przeciwnie — w dobie boomu stale rośnie, a wraz z tym powiększają się i te pajdy, które przypadają w udziale robotnikom amerykańskim.

Czy i nadal będzie się on powiększał? Czy obecny boom będzie zjawiskiem trwałym? Istnieje zawsze możliwość kryzysu w gospodarce amerykańskiej. Wydaje się jednak rzeczą wysoce nieprawdopodobną, by przyszły kryzys mógł być w jakiejkolwiek mierze kopią roku 1929. Od tych czasów zaszły w Ameryce zmiany kolosalne i utrwalił się aparat przeciwdziałania gospodarczym i społecznym następstwom ewentualnego kryzysu. New Deal dał tu punkt wyjściowy i od tego czasu Ameryka niejednego się nauczyła. Rozwój związków zawodowych odgrywa w tym bardzo ważną rolę.

Przyszły kryzys gospodarczy mógłby być naprawdę groźny tylko w tym wypadku, gdyby Stany Zjednoczone poniosły kolosalną klęskę *polityczną*, usuwającą je z tego miejsca, jakie dziś zajmują w systemie światowym. Ale — choć w historii wszystko jest możliwe — prawdopodobieństwo takiej klęski zdaje się dziś być niewielkie i bardzo odległe.

W świetle tych ogólnych rozważań pozwolę sobie na ryzyko pewnych prognoz odnośnie dalszych losów amerykańskiego świata pracy. Przy robieniu takich prognoz trzeba zawsze zachowywać jak największą ostrożność. Przyszłość jest wypadkową niezliczonej ilości czynników, z których najważniejsze są nieznane twórcom hipotez i przewidywań.

W każdym razie wszystko przemawia za tym, że nowa centrala zawodowa, powstała z fuzji AFofL i CIO, odegra wybitną rolę w życiu zbiorowym narodu Stanów Zjednoczonych. Jeszcze przed połączeniem amerykański świat pracy był jednym z najważniejszych składników tego życia. Był wielkim partnerem w procesach gospodarczych i w działaniach politycznych. Business musiał pogodzić się z tym, że wbrew interesom robotniczym daleko dojść nie można. A siły polityczne pilnie zabiegały o poparcie głosów robotniczych.

Wszystko to powinno wzmóc się jeszcze bardziej po powstaniu nowej centrali. Nie ulega wątpliwości, że formalnie trzymać się ona będzie tradycyjnej doktryny neutralności politycznej ruchu zawodowego. George Meany, przewodniczący nowej centrali, oświadczył, że związki zawodowe nie będą wywierać nacisku na sprawę kandydatur prezydenckich w roku 1956. Zachowają ścisłą neutralność. Jest to jednak bardziej z formy niż z treści zgodne z tradycją gompersowską. Neutralność neutralnością, ale sojusz, jaki za czasów Roosevelta wytworzył się mię-

dzy ruchem robotniczym a Demokratami, na pewno utrzyma się i nadal. I trudno sobie wyobrazić, by w Stanach Zjednoczonych znalazła się administracja, która by ośmieliła się pójść na wojnę ze związkami.

Wydaje się rzeczą wysoce nieprawdopodobną, by w Ameryce — przynajmniej w granicach dającej się przewidzieć przyszłości — mogło dojść do powstania samodzielnej partii robotniczej i by nowa centrala w jakiejś mierze do tego się miała przyczynić. Nie chodzi tu tylko o zgodność z testamentem Gompersa. Ważniejsze są twarde reguły rzeczywistości amerykańskiej. A one nie sprzyjają powstaniu takiej partii.

Przede wszystkm nie sprzyjają temu postawy samych robotników, owo ,,średniactwo'', o którym była mowa poprzednio. Związek zawodowy jako narzędzie osiągania bezpośrednich zdobyczy ekonomicznych — to robotnik amerykański dziś przyjmuje bez zastrzeżeń. Ale — nie partia polityczna, której klasowość nie miałaby najmniejszego oparcia w masach. Robotnik amerykański, jak każdy Amerykanin, chce być takim, jak wszyscy inni. Nie chce się wydzielać klasowo.

W Europie często zapomina się i o tym, że amerykański system partyjny jest czymś wysoce specyficznym i mającym bardzo mało wspólnego z systemami partyjnymi Starego Świata. Amerykańska partia polityczna jest szeroką koalicją techniczną zostawiającą rozległe pole dla gry różnych interesów grupowych i regionalnych, nieraz najbardziej sprzecznych. Tylko w Stanach Zjednoczonych możliwe jest połączenie w jednej partii skrajnych reakcjonistów południowych z północnymi radykałami. Ideowo nic ich ze sobą nie łączy. Ale amerykańskie stronnictwo polityczne nie jest zespołem ideologicznym i nikt nie szuka w nim jedności ideologiczno-programowej. Jest ono zespołem technicznym, jest luźną koalicją, zrodzoną przez historię i względy praktyczne. Próby rozbijania takich koalicji — a było ich nie mało — zawsze kończyły się fatalnie dla dysydentów. Robotnicy i ich przywódcy doskonale o tym wiedzą i rozumieją, że dysydenctwo może przynieść im tylko i wyłącznie szkody. A poza tym istniejące stronnictwo polityczne zostawia tyle możliwości taktycznych, daje takie pole dla przeprowadzenia zasadniczych postulatów życiowych ! Po cóż to niszczyć, po cóż szukać nowych i jakże niepewnych dróg.

Mówi się nieraz o tym, że Partia Demokratyczna niejako drogą ewolucji przeobraża się w partię robotniczą typu brytyjskiej Labour Party. Nie sądzę, by analogia z Labour Party była tu na miejscu. Można przyjąć, że w Partii Demokratycznej istnieje tendencja w kierunku, który z braku lepszego słowa nazwiemy ,,lewicowym''. I niewątpliwie znaczenie głosów robotniczych będzie stale się powiększać w koalicji demokratycznej (tu dodam nawiasowo, że pewna część robotników stale głosuje na Republikanów). Jest prawdopodobne, że pewne skrajnie reakcyjne elementy południowe opuszczą Demokratów i przejdą do Re-

publikanów. Przy czym dodam, że nie sądzę, by były to elementy bardzo liczne. Wszystko to przyjmując, nie wierzę, by Partia Demokratyczna utracić miała swe oblicze szerokiej koalicji, ogarniającej różne siły wielkiej Republiki. I to samo da się powiedzieć i o Partii Republikańskiej. Choć ta ostatnia, będąc partią mniejszości, jest w znacznie trudniejszej sytuacji i z troską musi patrzeć w przyszłość.

Nie myślę więc, by, w granicach dającej się przewidzieć przyszłości, w amerykańskiej strukturze organizacyjno-politycznej mogły zajść istotne zmiany. Nie widzę, w jaki sposób połączenie się robotniczego ruchu zawodowego mogłoby wpłynąć na zasadnicze przemiany w sferze organizacyjno-partyjnej.

Wpłynie ono jednak na nurty polityczne w obrębie obu partii (szczególnie wśród Demokratów) i na charakter przemian w ekonomice amerykańskiej. A ekonomika ta i tak zmienia się zasadniczo, choć rodzaj tych przeobrażeń nie zawsze jest uświadamiany przez ogół. Ba, większość ich w ogóle nie jest dostrzegana. Są to zasadnicze przemiany w treściach kapitalizmu amerykańskiego. Już dziś wydaje mi się rzeczą wątpliwą, czy ustrój gospodarczy Stanów Zjednoczonych da się określić ściśle jako kapitalizm. Na pewno nie jest on nim w sensie tradycyjnych, podręcznikowych definicji kapitalizmu. Zachowując formy kapitalistyczne, głosząc doktryny kapitalistyczne, traktując je z największą powagą, amerykański świat gospodarczy idzie po drodze, która coraz bardziej odchodzi od kapitalizmu. W niewielu dziedzinach sprzeczność między oficjalną ideologią a rzeczywistością jest tak uderzająca, jak właśnie w sferze ekonomiki amerykańskiej.

Nie tu miejsce na rozważanie tych skomplikowanych problematów. Mam wrażenie, że w Stanach Zjednoczonych wytwarza się nowy ustrój gospodarczy. Proces jego powstawania będzie długi i niełatwy. I nie da się przewidzieć, w jakiej postaci się on zakończy. To, że Stany Zjednoczone posiadają tak wyjątkowe i nie mające nigdzie analogii warunki obiektywne, nadaje temu procesowi specyficzne amerykańskie zabarwienie i sprawia, że nie może on być traktowany jako wzór, dający się skopiować przez inne narody.

Jedną z podstawowych sił motorycznych tego procesu jest amerykański świat pracy. I to otwiera wielkie perspektywy przed nową centralą. Czy potrafi ona spełnić swe zadania — to jest sprawa zupełnie inna. Ma wielkie możliwości — to pewna. Ale jak każde przedsięwzięcie człowieka, jest zależna od słabości człowieka. A słabości tej w dziejach amerykańskiego ruchu robotniczego było bardzo dużo. Jeżeli połączone AFofL i CIO potrafią uwolnić się od obciążeń przeszłości, będą mogły stać się potężnym narzędziem wielkiego procesu, jaki zdaje się przeobrażać oblicze Stanów Zjednoczonych.

Aleksander HERTZ

Notatnik nieśpiesznego przechodnia

TEORIA BIERNOŚCI

Od półtora roku znajdujemy w czasopismach krajowych częste aluzje do ,,wychylania się'' czyli wypowiadania sądów lub robienia zwierzeń odbiegających — na pozór przynajmniej — od ,,linii'' przepisanej przez dobroczynny rząd i jego organy wykonawcze. Z aluzji tych można wnosić, że w opinii ich autorów wychylanie się jest dopuszczalne, być może nawet użyteczne, lecz niewdzięczne i nie zawsze bezpieczne. Niechęć do wychylania się, zrozumiała pod rządami dyktatorialnymi, nie jest wszakże w Polsce rzeczą nową. Za żadnych czasów Polacy nie mieli skłonności do herezji i wychyleń. ,,Kupą, panowie, kupą!'' wołali nasi przodkowie. Nieliczni wychylający się robili to najczęściej w mylnym przypuszczeniu, że wypowiadają zdanie większości lub opinię mającą za sobą błogosławieństwo Matki Boskiej Częstochowskiej. Niechęć Polaków do odchylania się od ustalonych, chociażby przypadkowo pojęć i postaw jest tak powszechna, że nawet na emigracji — podzielonej już na wielką liczbę grup i kapliczek — wychylanie się jest niemal równie niewdzięczne jak w kraju.

Doświadczyła tego redakcja ,,Kultury'' która, zapraszając do Maisons-Laffitte 48-miu sygnatariuszy znanej odezwy, ściągnęła na siebie anatemy, napomnienia i pouczenia ze strony części prasy i instytucji emigracyjnych. Stało się to zanim jeszcze zaproszenie wydało jakiekolwiek skutki. Inicjatywa redakcji ,,Kultury'' może oczywiście mieć różne następstwa, nie wyłączając takich, z których sami inicjatorzy mogliby być słusznie niezadowoleni. Jest to ryzyko wszelkiej inicjatywy; tylko bierny widz nie ryzykuje nic. Nikt jednak z krytyków nie uznał za stosowne zaczekać aż dalszy bieg wypadków dostarczy mu argumentów ex eventu. W braku takich argumentów krytyka

może jedynie dotyczyć domniemanych przesłanek i sformułowania samego zaproszenia.

Za główną czy nawet, jak niektórzy chcą, karygodną omyłkę redakcji ,,Kultury'', krytycy uważają traktowanie, w tekście zaproszenia, 48-miu jako ,,czynnika społecznego''. W ustroju komunistycznym, powiadają, żadnej samodzielnej inicjatywy społecznej nie ma i być nie może. To znaczy czynniki społeczne są tylko marionetkami, wysuwanymi w miarę potrzeby dla wprowadzenia w błąd obcych, i tylko w Maisons-Laffitte zachowali się naiwni, którzy tego nie wiedzą. Są to oczywiście efekty oratorskie. ,,Kultura'' poświęciła sprawom krajowym więcej miejsca niż jakiekolwiek inne pismo emigracyjne, i uczyć jej nie ma potrzeby.

O co więc w tym całym krasomówstwie chodzi? Zatrzymajmy się przez chwilę na okolicznościach, w jakich redakcja ,,Kultury'' wysłała swe zaproszenie.

Grupa 48-miu nie została pasowana na ,,czynnik społeczny'' przez redaktora ,,Kultury'', lecz wystąpiła sama w tym charakterze. Pewna, chociażby tylko formalna niezależność tej grupy była oczywistą przyczyną, dla której rząd warszawski uznał za stosowne użyć jej pośrednictwa dla swoich celów. Wezwanie 48-miu do emigrantów pozostało bez skutku. Emigranci nie wrócili. Było to z góry wiadome i trudno sobie wyobrazić, aby sami autorzy odezwy, kładąc na niej swe podpisy, mogli mieć co do tego jakieś złudzenia. Nikogo więc nie wprowadzali w błąd, i obawy o to krytyków ,,Kultury'' są co najwyżej figurą retoryczną.

Bezskuteczna jeżeli chodzi o powrót emigrantów, odezwa 48-miu posiada także inne aspekty. Do niedawna na przykład emigranci byli w kraju oficjalnym przedmiotem zgrozy i obrzydzenia : zdrajcami zaprzedanymi neo-hitleryzmu lub w najlepszym wypadku kapitalistom Zachodu. Odezwa 48-miu przedstawiła ich jako rodaków oddalonych od kraju przez wypadki i oczekiwanych z otwartymi rękami przez całe społeczeństwo. Stworzyło to dla emigrantów pewien nowy klimat w kraju, otwarło niewielką lukę w sławnej żelaznej zasłonie. Do niedawna mało kto w kraju znał autorów emigracyjnych; nikt się do tego nie przyznawał. Od pewnego czasu autorzy ci są wymieniani i przytaczani w czasopismach krajowych, jak gdyby wszyscy ich znali. Kraj więc nas czyta. Dotąd nie braliśmy tego pod uwagę. Czas zastanowić się co mu mamy do powiedzenia.

Nikt, nawet w odległym od wielkiego świata Maisons-Laffitte, nie przypuszcza, aby wezwanie emigrantów do powrotu było samorzutną inicjatywą 48-miu. Udział ich ograniczył się być może tylko do zredagowania samej odezwy, której tekst odbiega korzystnie od wzorów prozy oficjalnej. W tych okolicznościach trudno jest odróżnić zamierzone od mimowolnych skutków odezwy. Znając dziś ich całość, można bez wahania powiedzieć, że — przyczyniając się do wzajemnego zbliżenia i zrozu-



okres od . . . . *do*

dla

....

Należność w kwocie

przekazuję jednocześnie (czek, międzynarodowy przekaz pocztowy) *na adres :*

(Redakcja lub przedstawicielstwo)

(podpis)

— Dom Redakcji " Kultury " w Maisons-Laffitte, Seine-et-Oise (France) —
— The house of " Kultura ", Polish monthly review in exile, drawing by J. Czapsk

mienia Polaków po obu stronach linii demarkacyjnej — były na ogół pomyślne, i że rola 48-miu, w zakreślonych im granicach, była tu właśnie taka, jaka przypada czynnikowi społecznemu w czasach wielkich konfliktów i rozterek. Istniały więc obiektywne powody, dla których redakcja ,,Kultury'' mogła odnieść się do 48-miu z zaufaniem i zaprosić ich na przyjacielską rozmowę do Maisons-Laffitte.

Niestety od początku już można było się obawiać, że pojawienie się grupy 48-miu będzie efemeryczne, i że zaproszenie jej pozostanie bez skutku. Już w listopadzie Mołotow oświadczył w Genewie, że Związek sowiecki nie życzy sobie stosunków kulturalnych z Zachodem, rządy zaś zależne od Kremla nie posiadają dość samodzielności, aby po takim oświadczeniu móc sobie pozwalać na tolerowanie kontaktów swych obywateli z emigrantami. Sam zresztą rząd warszawski, zniechęcony bezskutecznością kampanii powrotowej, mógł był przestać się bawić. Grupa 48-miu była wreszcie powołana tylko do podpisania znanej odezwy. Ewentualne przedłużenie jej mandatu mogło nastąpić chyba tylko w razie jej przyjazdu do Maisons-Laffitte, ten ostatni zaś wydawał się od początku niepewny. Zaproszeni mogli nie otrzymać pozwolenia na wyjazd lub nie skorzystać zeń ze względu na obciążające to pozwolenie warunki.

Niesłuszny jest zarzut jakoby redakcja ,,Kultury'' wciągała w swą inicjatywę całą emigrację. Zaproszenie podpisane zostało nawet nie przez bardziej nieokreślony ,,zespół'', lecz tylko przez redakcję ,,Kultury'', która w widoczny sposób nie życzyła sobie dzielić odpowiedzialności nawet z stałymi współpracownikami pisma.

Nie mylę się też zapewne przypuszczając, że nawet najzapalczywsi krytycy ,,Kultury'' nie uchylali się sami od rozmów z przypadkowymi przyjezdnymi z kraju. Skąd więc ich oburzenie, gdy chodzi o próbę wybrania sobie rozmówców?

Z jakiejkolwiek więc strony spojrzeć na sens i przypuszczalne skutki zaproszenia 48-miu, nic w nim na pozór nie dawało powodu do zasadniczych wystąpień różnych odłamów emigracji, a zwłaszcza do wystąpień pozbawionych zmysłu proporcji. Padając w próżnię, głosy te przybierały na retoryce i histerii.

Pierwsza wychyliła się grupa paryskich dziennikarzy oświadczając — zanim ktokolwiek zdążył powziąć takie podejrzenie — że żaden współpracownik ,,Kultury'' nie należy do ich kółka. ,,Tu żaden współpracownik ,,Kultury'' nie mieszka''. Przypomina to włoskie: *Ca nessuno è fesso*. Notujemy to odezwanie się jako dające miarę rozdrażnienia, zamraczającego nawet najświetniejsze na emigracji umysły.

Jeden z najpoważniejszych krytyków ,,Kultury'' pisał, że ta ostatnia nie mogłaby prowadzić z 48 mioma żadnych rozmów merytorycznych w braku wspólnych przesłanek, niezbędnych do tego rodzaju rozmów. Jest to okropne, na szczęście zupełnie nieuzasadnione przypuszczenie. Myśl, że między nami i pozostałymi

w kraju kolegami i przyjaciółmi brak wspólnych przesłanek do rozmów, nie mogła urodzić się z doświadczenia. Tego nawet prześwietny rząd warszawski nie przypuszcza, bo nie wydając 48-miu paszportów obawia się widocznie, że mogliby zbyt łatwo znaleźć wspólny język z emigrantami. Nie mając podstaw w doświadczeniu, przypuszczenie całkowitej obcości między krajem i emigracją musi chyba opierać się na jakiejś mniej lub więcej metafizycznej, nie wymagającej dowodów doktrynie.

Główne zarysy tej doktryny wyłaniają się dość wyraźnie z argumentów krytyków ,,Kultury''. Żadnych czynników społecznych, chociażby koniunkturalnych i efemerycznych, zdaniem ich, w kraju nie ma i być nie może. Wszystko co się tam dzieje jest dziełem opiekuńczego rządu, działającego według planów opracowanych na Kremlu.

Taka koncepcja historii ma za sobą sławne wzory. Historia rozwijająca się według planu Opatrzności, wybierającej sobie za narzędzie te lub inne ludy, znana jest z *Gesta Dei per Francos* i innych historii wczesnego średniowiecza. U dzisiejszych teoretyków emigracyjnych Kreml zastąpił Opatrzność, wybierając sobie te lub inne ludy na wykonawców swych dalekosiężnych planów, i — parafrazując słowa św Augustyna — nawet indywidualne posunięcia poszczególnych obywateli demokracji ludowych przewidziane są z góry w księgowości planu pięcioletniego.

Uproszczona w ten sposób wizja historii współczesnej zdaje się znajdować pewne uzasadnienie w ,,immobilizmie'' Zachodu, nie zdobywającego się na żadną własną inicjatywę i reagującego jedynie z pewnym opóźnieniem na inicjatywy Kremla. Wizja taka znajduje zresztą pewne usprawiedliwienie w katastrofizmie emigrantów, którzy po tylu klęskach i odwrotach zatrzymali się wreszcie na brzegu przepaści i pragnęliby przez chwilę jeszcze korzystać z dobrodziejstw spokoju.

Wydaje się mało prawdopodobne, aby urzędnicy radiostacji ,,Kraj'' czy autorytatywni publicyści krajowi zaczęli zwalczać koncepcję historii współczesnej, implikującej wszechmoc Kremla. Milczenie drugiej strony pomoże więc zapewne utrwaleniu się tej koncepcji na emigracji.

Inicjatywa redakcji ,,Kultury'' potrąciła przypadkiem tę metafizykę bierności z której, jak z pustej beczki, dał się słyszeć przeciągły huk.

Piszący te słowa daleki jest od niedoceniania opisanej wyżej koncepcji historii. Ostatni świadkowie rozpadania się imperium rzymskiego znaleźli pewne pocieszenie w wizji historii planowanej przez Najwyższą Instancję. Na prywatny użytek może to być dobre i dziś. Gdybyśmy jednak zaczęli, na przykład, rozwijać tę metafizykę przed zgromadzoną w Maisons-Laffitte grupą 48-miu, mogłoby istotnie przyjść między krajem i emigracją do poczucia wzajemnej obcości.

PORTRET MŁODEGO PANURGA

Kółko spinozistów

Wojny oczekiwano w Europie przez tak długi czas, że w 1914 przyszła niemal niespodzianie. Nikt nie był do niej przygotowany. Na alpejskim skrzyżowaniu dróg zamknięcie granic zatrzymało tysiące osób, zdążających w różnych kierunkach. Niespokojny tłum obcych pojawił się w cichych miasteczkach szwajcarskich.

Od czasów hugenotów i Woltera w Genewie nie brakło nigdy cudzoziemców. Kolejne fale różnych emigracji osiadały tam jak muszle na plaży. Gdziekolwiek zdarzyły się przewroty polityczne, w kilka tygodni później nowi podróżni wysiadali z skromnymi walizkami na Gare de Cornavin, pytając o drogę na rue de Carouge. Była to tak zwana Karużka, uboga dzielnica zaludniona częściowo przez emigrantów.

Wstrząs 1914 był głębszy i bliższy. Fala ludzka rzucona przezeń na brzeg Lemanu miała też inny charakter. Byli tam i ludzie zamożni, mający interesy w różnych krajach wojujących, i dostojnie zbolali Europejczycy uciekający od widoku starej cywilizacji, rozpadającej się jak Jerycho przy dźwiękach muzyki wojskowej, bogaci dezerterzy, agenci wywiadów i kontrwywiadów, wreszcie ludzie różnej kondycji, którym wojna pokrzyżowała plany lub odcięła od poprzednich miejsc pobytu. Cała ta różnobarwna rzesza wypełniła hotele i kawiarnie śródmieścia. Jedni płakali na marmurowe stoliki, inni tracili cierpliwość, inni wreszcie poszukiwali rozrywek.

Byłem wówczas młodym studentem, przygotowującym tezę z historii starożytnej. Wojna pokrzyżowała moje plany i oderwała od miejsc, do których nie miałem już wrócić. Chaos zmieniającego się szybko świata obudził we mnie potrzebę ciągłości i dyscypliny. Z tej przyczyny, jakkolwiek nie chodziło to w ramy mego programu, zacząłem chodzić na miejscowy uniwersytet.

Uniwersytety wykazują na ogół więcej stałości od innych instytucji. W czasach zmian i przewrotów zdają się pozostawać o całe pokolenia w tyle za wypadkami. Życie wraca jednak później do brzegów, i po pewnym czasie szkoły wyższe odnajdują się znów na dawnym miejscu. Tak było i z uniwersytetem na rue de Candolle. Wielu studentów, zmobilizowanych w różnych krajach, nie wróciło na początek semestru zimowego 1914-1915, ale w starym budynku wszystko toczyło się zwykłym trybem. Rano więc z niewielką grupą studentów czytałem pod kierunkiem profesora Bakchylidesa i Senekę, po południu zaś, z jeszcze mniejszą grupą, spędzałem dwa razy na tydzień parę godzin w kółku spinozistów. Łacińska *Etyka* Spinozy jest jednym z najtrudniejszych i mało czytanych tekstów filozoficznych. Na szanujących się uniwersytetach jeden z profesorów filozofii zbiera co

kilka lat paru słuchaczy dla wspólnej lektury tego sławnego lecz w istocie niewdzięcznego utworu.

Młody Panurg

Wśród spinozistów zwróciłem uwagę na studenta, który wydawał się starszy od innych. Wysoki, nieco zgarbiony, na astenicznym tułowiu nosił niewielką i okrągłą głowę z rzadkimi, jasnymi włosami. Twarz miał zmiętą, żółtawą, o wyrazie jaki widuje się rano w dzień Nowego Roku u ludzi zamroczonych jeszcze sylwestrowymi libacjami lecz robiących szczery wysiłek w celu trzeźwej oceny nadchodzącego okresu czasu. Po francusku mówił raczej łatwo niż poprawnie, z osobliwym akcentem, nie dającym klucza jego pochodzenia. Siadając koło mnie położył na stole elementarny podręcznik angielski ekonomii, na którym dostrzegłem podpis : Ely Culbertson (1).

Jakkolwiek w równym z nimi wieku, Ely wydawał się starszy od pozostałych spinozistów, z których większość oglądała się jeszcze na tatę i mamę i musiała obchodzić się oszczędnie z przysyłanymi z domu pieniędzmi. Ely natomiast — jak można było wnosić z jego żółtawej cery i zaczerwienionych oczu — spędzał noce na grze w karty i innych rozrywkach zastrzeżonych dla dorosłych. Jak Panurge Rabelego, znał 36.000 sposobów zdobywania pieniędzy i tyleż sposobów ich trwonienia. Na zapytanie, co właściwie robi w kółku spinozistów, mógłby odpowiedzieć słowami Protosa z ,,Lochów Watykanu'' : *Je prend mon élan* — nabieram rozpędu.

Weszliśmy byli właśnie w jeden z okresów wojennych, podczas których prymitywne sądy wartościujące, oparte na przynależności do grupy społecznej lub miejsca, plenią się jak bujne chwasty, zamraczając nawet najbardziej wyszkolone umysły. Ely zdawał się wolny od tych powiązań. Nie ciążyła na nim żadna sprawa prócz jego własnej. Introspekcja nie stawiała mu również żadnych nierozwiązalnych lub absorbujących zagadnień. Stał więc obu nogami na ziemi, gotów do wszystkiego, przyglądając się ciekawie otaczającemu go światu. Mówił łatwo i prosto jak człowiek pozbawiony kompleksów i zahamowań. Jego swoboda niepokoiła innych spinozistów, obciążonych wymaganiami odziedziczonych i dobrowolnie przyjętych dyscyplin.

Przygoda jako metoda wychowawcza

W 1914 Ely miał lat 23, ale cały okres formowania się miał już za sobą. Jego ojciec, starszy pan o godnym wyglądzie, którego widywałem w niedzielę zdążającego z Biblią w ręku do

(1) Ely Culbertson, autor znanych podręczników do gry w brydża, zmarł 28 grudnia 1955 w Stanach Zjednoczonych.

angielskiego kościoła, rozpoczął swą karierę w Stanach Zjednoczonych jako robotnik przy budowie jednej z tamtejszych kolei transkontynentalnych. Trudności finansowe przerywały nieraz roboty, zmuszając zatrudnionych przy nich do dawania sobie rady na własną rękę. Podczas jednego z takich okresów bezrobocia starszy p. Culbertson wejść miał w jakiś zatarg z miejscowym szeryfem, wskutek czego ziemia amerykańska zaczęła mu palić stopy. Wyjechał do Europy, pracował w Niemczech i, sprzykrzywszy sobie także ten kraj, posunął eksplorację starego kontynentu aż do podnóży Kaukazu, gdzie przystał do Kozaków. Z doświadczeń w Rocky Mountains wyniósł był sztukę nieomylnego strzelania z rewolweru. Nawet jako starszy pan umiał strzelać naraz z dwuch rewolwerów, trafiając o 20 metrów kula koło kuli. Kozacy ocenili umiejętności obcego przybysza, który ożenił się z córką jednego z nich i otrzymał w stanicy nadział gruntu.

Na południe od stanicy rozciągał się słony step będący terenem rządowym, sprzedawanym chętnym po 20 kopiejek za hektar. Amerykański przybysz odbył kilka długich wędrówek po słonych pustkowiach, przyglądając się uważnie rdzawym źródłom, jakie widział był przedtem po drugiej stronie oceanu. Zadłużając się, kupił szmat stepu, na którym później znaleziono naftę. Culbertson senior nie dał się wykwitować przedsiębiorcom naftowym i został bogatym człowiekiem. W nowej postaci wrócił do Ameryki z żoną i trzema synami. Najstarszy z nich, Eugene, miał w sobie coś postnego i wyglądał na zarządzającego niewielkiego browaru, Ely był drugim z kolei, najmłodszy zaś Sasha, był skrzypkiem i przygotowywał się do kariery wirtuoza.

Młody potomek Kozaków po kądzieli asymilował się w Stanach w innym porządku niż ogół immigrantów. Zamiast nosić cegły lub sprzedawać gazety, został studentem sławnego Yale University w New Haven. Nowy dlań mechanizm robienia pieniędzy z książeczki czekowej stał się przyczyną nieporozumień z rodziną. Wziąwszy raz czek z książeczki ojca, Ely położył na nim zamaszysty podpis i kupił motocykl, na którym z hukiem wyjechał z garażu. Pierwszy spotkany policjant zauważył, że motocykl nie miał numeru. Ely nie miał jednak ochoty do tłumaczenia się i dał pełny gaz. Dwuch równie zmotoryzowanych policjantów dopędziło go na skraju miasta i, gdy zepchnęli go na brzeg szosy, Ely wjechał na drzewo i złamał nogę. W parę dni potem ojciec jego otrzymał rachunek za motocykl, karę za jazdę bez numeru i rachunek ze szpitala. Nie był to zapewne pierwszy figiel jego średniego syna, bo Culbertson senior okazał się nieubłagany; wypędził syna z domu i przestał mu przysyłać pieniądze. Ely przystał do trampów i objechał bez biletu znaczną część Stanów. Na wikt zarabiał wzruszającym serca opowiadaniem o swych prawdziwych i urojonych przygodach w różnych krajach. Zdolność barwnego i zajmującego opowiadania przygód Ely zachował i później. Jej to zawdzięczam część

przytoczonych tu szczegółów biograficznych. O jego najwcześniejszych przygodach u gruzińskiej księżniczki dowiedziałem się dopiero z nekrologów, wnoszę więc, że były późniejszym tworem jego talentu fabulacyjnego.

Ely był ulubionym synem swej matki, która umierając wyjednała dlań przebaczenie ojcowskie. Odtąd Culbertson senior przysyłał synowi 125 dolarów miesięcznie, nie interesując się bliżej jego losem. Do 1915 była to suma pozwalająca kawalerowi żyć bez trosk i odbywać kształcące podróże. Po okresie cygańskiej swobody u trampów Ely nie wrócił od razu do dyscypliny uniwersyteckiej i bawił przez pewien czas w Mazatlanie. Meksyk znajdował się w stanie odnawiającej się wciąż wojny domowej. Ilekroć jeden z rządów rewolucyjnych zdawał się dochodzić do wykonywania władzy, zagraniczni koncesjonariusze naftowi, w przypuszczeniu że każdy rząd dążyłby do ograniczenia ich uprawnień, zasilali nowymi środkami zbrojną opozycję.

Widząc bystrego a niezatrudnionego młodzieńca, miejscowy konsul amerykański powierzył mu misję nawiązania przerwanej przez siły rządowe łączności między generałami Villa i Zapata. Ely nauczył się na pamięć listu, Villa zaś dał mu do ręki kartkę ze słowami: *Lo que dice este hombre es verdad, Villa* — to co mówi ten człowiek jest prawdą. Ukrywszy ten dokument w bucie, Ely ruszył w drogę i kiedy po trzech dniach marszu przez pustkowia znalazł się w obrębie działania Zapaty, zatrzymał go głos: ,,Ręce do góry''. Z krzaków wyszło kilku ludzi Zapaty. Jeden z nich niósł powróz, na którym chciał natychmiast powiesić podejrzanego podróżnika. Nie pomogła kartka Villi, bo żaden z *bandidos* nie umiał czytać. Dopiero po długim wahaniu potoki wymowy przerażonego emisariusza nakłoniły ich do odwołania się do starszego rangą partyzanta, który również nie był pewien jak należy postąpić. Minęło sporo czasu zanim Ely został dopuszczony przed oblicze groźnego Zapaty.

Krytyka przygody wolnej

Rzadko zastanawiamy się nad wartością wychowawczą przygód tego rodzaju. A jednak nie mogę się oprzeć wrażeniu, że fatalna kartka ze słowami: *Lo que dice este hombre...*, do której Ely często powracał w swych opowiadaniach, była zwrotnym punktem w jego rozwoju.

Ely nie znał społeczeństw hierarchicznych, w których klasyczną ambicją jest utrzymanie swej rangi i należnych jej honorów, równoznaczne z pozostawaniem wiernym sobie, o którym Hamlet mówi: *This above all.* Stepy północnego Kaukazu i Ameryka nie dostarczały tego rodzaju wzorów. Napoleon, gdy mu kogoś polecano, pytał krótko: *,,Qu'a-t-il fait?''* Od tej oceny człowieka, jedynie ważnej w krajach nie mających za sobą dłuższej historii, zaczyna się era nowożytna.

Znane mu wzory mówiły o tym, o czym w krajach hierarchicznych mówią tylko bajki : jak Iwan duraczok staje się Iwanem carewiczem, jak kozak staje się właścicielem kopalni nafty. Poza wszelką wątpliwością możliwości te stały i przed nim otworem. Znane mu z najbliższego doświadczenia recepty postępowania były jednak zupełnie nieprzydatne. Opowiadając o sobie zatrzymywał się zazwyczaj na przygodach nie prowadzących do niczego. Było dlań jasne, że kariera bezrobotnego kolejarza, kozaka czy trampa nie jest warta niucha tabaki, że nie należy posługiwać się nierozważnie czekami ani nosić listów do Zapaty. Miał świadomość, że wolność od przesądów i wynikająca stąd swoboda działania dają mu pewną przewagę nad ludźmi pozbawionymi takiej swobody, lecz nie prowadzą same przez się do powodzenia. To ostatnie wymagało pewnej dyscypliny. Przed powzięciem inicjatywy należało rozpoznać *principia media*, prawa natury rządzące danym zakresem zjawisk; wyciągając z nich wnioski należało działać systematycznie, nie zostawiając nic przypadkowi.

Ely był empirykiem nie pogardzającym żadnym doświadczeniem. Zamiast wstydzić się swych błędów, wyciągał z nich użyteczne wnioski. Z opowiadań jego zapamiętałem szczegół, który nie pozostał zapewne bez wpływu na jego późniejszą karierę. W jakimś mieście portowym w Stanach dał się mianowicie namówić do gry z nieznajomymi, którzy okazali się groźnymi przeciwnikami. Po niewczasie zrozumiał, że zostanie ograny do nitki, a w razie oporu zbity na kwaśne jabłko i porzucony na ulicy. Rozglądając się dokoła i obliczając szanse, w pewnej chwili zgasił lampę i chwyciwszy garść leżących na stole banknotów wyskoczył z pierwszego piętra przez okno. Nikt z partnerów nie odważył się go naśladować. Ely częściowo się odegrał, ale wyniósł przekonanie, że taki sposób odegrywania się nie jest wart zachodu.

Przygoda ta musiała utkwić mocno w jego pamięci, bo uparcie badał prawa rządzące zjawiskami gry i próbował różnych sposobów ograniczenia w nich roli przypadku. W 1914 próby te znajdowały się jeszcze w stadium początkowym. Jako nienajgorszego brydżystę Ely zaprosił mnie raz do Café du Nord, gdzie czekali już nas jego brat Eugene i p. N., starszy już właściciel znanego przedsiębiorstwa transportowego. Siadłszy z nimi do zielonego stolika wkrótce zrozumiałem, że każdy z nas musi w sposób nieunikniony przegrać robra z p. N., będącym już od dawna stałym źródłem dochodu swych partnerów. Uznałem oczywiście za mój obowiązek wygranie z nim i wysiliłem w tym kierunku moją pomysłowość, lecz mój partner nie okazał się na wysokości zadania. Być może zresztą uważał przegraną za rodzaj honorarium za naukę.

Ely był przede wszystkim umysłem systematycznym. Nawet do czynności, będących dla innych tylko pospolitą rozrywką, wnosił pewną metodę i dyscyplinę.

Wielki system

W Genewie Ely zajęty był głównie doskonaleniem swego systemu pożyczania pieniędzy.

— Większość śmiertelników — mówił — myśli o pożyczaniu dopiero po roztrwonieniu własnych pieniędzy, w chwili braku gotówki na obiad. Kto pożycza w tak przymusowej sytuacji popełnia zazwyczaj wszystkie możliwe błędy: jest bez wyobraźni, niecierpliwy, niezręczny, naraża się na odmowy rujnujące jego kredyt i pożycza ile się da, nie biorąc pod uwagę środków i charakteru pożyczkodawcy.

— Pożyczać należy zawczasu, dopóki się ma pieniądze i możność postępowania metodycznego, bez pośpiechu, biorąc się do tego od rana. Przyjeżdżając do nowego miasta zatrzymuję się w dobrym hotelu i nawiązuję stosunki z ludźmi towarzyskimi, z których każdy jest kluczem do serii dalszych znajomości. Po kilku tygodniach układam pierwszy plan działania. Pożyczanie zaczynam od najdalszego członu każdej serii, a kończę na człowieku będącego do niej kluczem. Po wykończeniu serii biorę się do następnej.

— Ważne jest właściwe otaksowanie pożyczkodawców. Od każdego ściągam sumę dostosowaną do jego środków i usposobienia, aby nie ślubował mi potem zemsty i nie ścigał po całym świecie. Dla wyrównania pożyczam natomiast od każdego: od żebraka nawet jeden grosz. Z wykonaniem planu należy się śpieszyć, aby być gotowym zanim klienci spostrzegą się i zaczną mówić.

— A potem?

— Potem wyjeżdżam do innego miasta.

Wielki system powstał drogą empiryczną. Ely zaczął pożyczać metodycznie jeszcze w Rosji, będącej wówczas dla tego rodzaju praktyk krajem nieograniczonych możliwości. Brakło mu jednak wówczas stosownego doświadczenia. W 1914 sądził, że z miast średnich, jak Turyn lub Genewa, można ściągnąć do 100.000 franków.

Granice systemów

Nie wszystkie dziedziny życia dadzą się w równym stopniu zracjonalizować. Ely posiadał na przykład wielką łatwość zdobywania kobiet, które zajmowały mu niemało czasu. Żadnej wprawdzie nie udało się odroczyć, chociażby o jeden dzień jego wyjazdu ani odwrócić jego uwagi od codziennej pracy nad wykonaniem „wielkiego planu". Postępował zresztą z nimi z brakiem ceremonii, którego nie mogłem pochwalać. Raz doszło między nami z tego powodu do żywej wymiany zdań, podczas której rzuciłem mu w głowę ciężką butelkę. Ely uchylił się

i butelka uszkodziła ścianę, której naprawa kosztowała mnie pięć franków.

Ciągłą zmianę kobiet Ely uważał za stan tymczasowy i — jak Panurge Rabelego — myślał o uporządkowaniu tego odcinka swej działalności przez monogamię. I tu również chciał postępować metodycznie, nie zostawiając nic przypadkowi. Sądził mianowicie, że towarzyszki życia należy szukać w Bułgarii, gdzie kobiety są zdrowe i nie zepsute. W bułgarskich szkołach żeńskich, mówił, łatwiej niż gdziekolwiek indziej znaleźć dziewczynę inteligentną, marzącą tajnie o Paryżu, którą można by wychować na wierną partnerkę ,,wielkiej gry''. Bułgaria była jednak trudno dostępna i na razie Ely musiał liczyć się z irracjonalnymi impulsami i reakcjami spotykanych kobiet. Najdotkliwsze jednak ograniczenia ,,wielkiego systemu'' zdawały się pochodzić z pewnych niejasności jego najogólniejszych założeń.

Nie doszliśmy jeszcze w kółku spinozistów do ostatnich słów ,,Etyki'': *sed omnia praeclara tam difficia quam rara sunt,* kiedy Ely wykończył transzę genewską ,,wielkiego planu'' i kiedy wyjazd jego do Turynu stał się sprawą pilną. Na dwa dni przedtem Ely, którego widywałem wówczas rzadziej, umówił się ze mną w kawiarni. Było to wiosną 1915. Na spotkanie przyszedł w towarzystwie uroczej dziewczyny, z którą żył już od paru miesięcy i która zdawała się posiadać wszystkie talenty kwalifikujące ją na partnerkę ,,wielkiej gry''. Wierny bułgarskiej teorii czy też zajęty czym innym, Ely tego na pozór nie dostrzegał.

Rozmowa potoczyła się wesoło. Bliskie rozstanie wytworzyło jednak między autorem ,,wielkiego systemu'' i jego towarzyszką wiele rzeczy subtelnych i niewypowiedzianych. Ely śmiał się i żartował więcej niż zwykle, wreszcie powiedział, że ostatniego dnia zamierza zaprosić wszystkich wierzycieli na herbatę. Goście zejdą się w jego mieszkaniu właśnie w chwili, gdy pociąg jego będzie odchodził z Gare de Cornavin. Wiadomość ta sprawiła mi pewną ulgę. Z tym zakończeniem ,,wielki plan'' tracił swój rygor geometryczny i przybierał odcień farsowy, który był mi bardziej sympatyczny.

W dwa dni później, dla uniknięcia zbytecznych spotkań i rozmów, Ely ze swą towarzyszką przyszli do mnie wczesnym popołudniem i ode mnie pojechaliśmy na dworzec. W drodze Ely jak gdyby żałując swego wychylenia się z ram racjonalizmu, prosił mnie o wytłumaczenie wierzycielom, że stał się ofiarą przewrotnej kobiety, która popchnęła go na drogę rozrzutności i długów. Między mężczyznami, powiedział, argument ten jest najbardziej przekonywujący.

Pożegnanie odbyło się lekko. Laura nie płakała, była prosta i serdeczna. Z dworca odwiozłem ją do domu i pośpieszyłem do mieszkania Elego. Zastałem tam dziwną scenę. W dwuch pokojach, z których przed południem wyniesiono pożyczone meble, stało kilkudziesięciu mężczyzn milczących lub porozumie-

wających się półgłosem. Poznałem wśród nich profesora, z którym czytaliśmy Spinozę, krawca, właściciela sklepu tytoniowego. Reszta była mi nieznana. Wciąż napływali nowi goście, nikt nie wychodził.

Widok ten uświadomił mi misterność systemu i zręczność jego autora. Jakkolwiek nie miałem w tych sprawach większego doświadczenia, wydawało mi się, że widok nieumeblowanego mieszkania pełnego wierzycieli wyjaśnia wszystko i nie wymaga komentarzy. Nikt jednak nie dawał wiary faktom, wszyscy zdawali się czekać na jakieś wyjaśnienie. Po kilku minutach wróciłem do domu. Ostatniego polecenia Elego oczywiście nie spełniłem.

Współzawodnictwo z diabłem

Ely był spóźnionym, kozacko-amerykańskim wariantem człowieka Renesansu. Była w nim ta sama świeża i romantyczna *sceleratezza*, jaką pamiętamy z rozważań i komedii Machiavellego, ta sama niepokojąca swoboda działania i potrzeba porządkowania w myśli zrodzonego z tej swobody chaosu. Ten ostatni graniczył zarówno z farsą jak z piekłem. Astrolodzy, alchemicy i czarnoksiężnicy owych czasów mieli wszyscy jakieś konszachty z diabłem.

Stosunki z potęgą piekieł wynikały z ówczesnych pojęć o podziale władzy. Bóg był wszechmocny, w jego rękach leżała władza cudów. Jako anioł upadły, diabeł nie był władny robić cudów. Jego groźna potęga zamknięta była w kręgu praw natury. Te same granice zakreślone były także działalności człowieka. Co zatem potrafi diabeł, człowiek potrafi też. Wolna od przesądów i skrupułów swoboda działania i rozszerzająca się wciąż znajomość praw natury zbliżyła człowieka do diabła, pozwoliła rywalizować z nim i niemal być na ty.

Współzawodnictwo z diabłem jest pełne niebezpieczeństw, już chociażby z racji pychy i nieumiaru właściwych upadłemu aniołowi. Swoboda działania nie znającego przesądów i skrupułów jest już z natury rzeczy wystawiona na pokusę nieumiaru. W naszych czasach zagadnienie to rozważał André Gide w swych „Lochach Watykanu". W powieści tej młody Lafcadio, dla przekonania siebie że jest naprawdę zdolny do wszystkiego, wyrzuca z okna wagonu nieznajomego pasażera, ale zostawia w kieszeni pozostałej po nim marynarki większą sumę pieniędzy. Jego równie wolny towarzysz, Protos, pyta go potem dlaczego nie wziął tych banknotów. Lafcadio milczy pogardliwie, a na to Protos zimno:

— *Avec moi, vous savez, il ne s'agit pas de faire le fanfaron ni l'imbécile.*

Tych kilka słów o nieco cudzoziemskim brzmieniu — diabeł jest wszędzie cudzoziemcem — oddaje wiernie pychę nieumiaru.

Przed 40-tu laty Ely pożegnał mnie na Gare de Cornavin i nigdy więcej go nie widziałem. Przez długie lata nie wiedziałem co się z nim dzieje. Wiedziałem, że będzie się strzegł przygód pospolitych, myślałem jednak, że najgroźniejszą dlań przygodą byłaby pokusa nieumiaru, spotkanie z człowiekiem przemawiającym słowami Protosa.

Nie wiem kiedy i jak Ely przeszedł tę próbę, ale wyszedł z niej zwycięsko. Prócz młodzieńczego „wielkiego systemu" wynalazł jeszcze parę innych, uwieńczonych większym powodzeniem. Wszystkie jednak jego inwencje i sama nawet jego renesansowa *sceleratezza* zachowały pewną figlarność, nie wyszły poza granice tego co Niemcy nazywają *Spiel- und Scherzwaren*. Dla umysłu szkolonego w filozofii jest to trudne i rzadkie osiągnięcie.

Paweł HOSTOWIEC

Apollo Nałęcz Korzeniowski

Ponieważ ojciec Józefa Conrada był pisarzem i tworzą razem dynastyczne następstwo pokoleń, ciekawe byłoby zbadać czy w ich losach i ich dziele nie pojawia się ciągłość przynajmniej tonu uczuciowego, jeżeli nie filozoficznej postawy. Nie wielu biografów Conrada sięgało tak daleko wstecz; obcych powstrzymywały trudności językowe. Nie tylko zresztą, bo kiedy dotknie się przygód tej rodziny, przenika się w powikłania historyczne mało znanej części Europy, z mnóstwem dat, grupujących się dokoła okresu wojny krymskiej. Celem tego szkicu jest dokonać wyboru szczegółów, które by zbliżyły postać pisarza-ojca.

W ciągu całego wieku XIX-go Cesarstwo Rosyjskie zajęte było asymilowaniem terytoriów, które przypadły mu w udziale po rozbiorach polskiej Res Publica. Największą z tych prowincji była Ukraina prawobrzeżna, która ze względu na żyzność gleby i złe warunki dla rolnictwa w reszcie państwa, stała się najcenniejszym nabytkiem korony. W dekretach urzędowych nowe obszary nosiły początkowo nazwę ,,ziem przyłączonych'', następnie ,,ziem odzyskanych'' wreszcie ,,ziem rdzennie rosyjskich'', co było popierane wywodami uczonych, uznających ukraiński język tylko za dialekt chłopski. Wywody te nie były witane z zadowoleniem przez Ukraińców i przyczynić się miały później do śmiertelnych nienawiści pomiędzy dwoma słowiańskimi narodami.

Ukraina miała też znaczny procent ludności polskiej. Struktura klasowa oparta była tam na pochodzeniu i na religii. Polak był synonimem szlachcica i katolika. Właściciel ziemski, dzierżawca, oficjalista, lekarz, adwokat w miasteczku należeli do tej samej grupy społecznej, zróżnicowanej wewnątrz na panów i ich protegowanych. Łączyła ich wspólnota miejsca nadrzędnego w stosunku do niepiśmiennych i prawosławnych mas chłopskich, a także kodeks obyczaju, który stopniowo tylko tracił moc z nadejściem ,,nowych czasów'', które przyniosły spekulację, rozwój

cukrownictwa i zwiększone możliwości eksportu zboża przez port Odessy.

Zamieszkały na Ukrainie Teodor Korzeniowski był szlachcicem i, wierny tradycji, żołnierzem. W jego młodości Polacy nadzieje na odsunięcie Rosji do jej dawnych granic łączyli z osobą Napoleona i Korzeniowski spełniał swój obowiązek patriotyczny: odznaczony krzyżem walecznych po bitwie pod Raszynem otrzymuje stopień oficera. Służy w wojsku polskim pod rozkazami Napoleona do 1812 roku włącznie i po wielu latach bierze udział w powstaniu 1830 roku, zostając znów parokrotnie odznaczony za męstwo. Wyprawy wojenne nie wyczerpują jednak tej biografii. Trzeba go zobaczyć również jako gospodarza objeżdżającego swoje pola konno czy tarantasem i jako pater familias. Świadectwa współczesnych mówią, że kapitan Korzeniowski miał skłonność do łgarstwa i samochwalstwa, co mu uchodziło ze względu na pamięć jego rzeczywistych przewag. W domu sprawował rządy tyrana, był skłonny do wybuchów niepohamowanego gniewu. Starym obyczajem synowie musieli całować go w rękę. Z tych trzech synów był niesłychanie dumny i kiedy na przykład jeden z nich, Apollo, wyjechał na studia języków wschodnich, kapitan zapewniał wkrótce sąsiadów, że otrzymał od niego list po arabsku. Bogactwo szlachty polskiej na Ukrainie bywa często przesadzane. Korzeniowski miał żyłkę spekulancką i próbował dojść do majątku, ale ze skutkiem wręcz odwrotnym. „Straciwszy posagową wioskę żony (w powiecie winnickim), administrował z ramienia rządu wielką wieś Korytnę, skonfiskowaną po Jagiełłowiczu a pomimo że wieś była śliczna i dochód z niej wyprowadzony nizki, pomimo że był wcale pracowitym i umiejętnym gospodarzem — oddając się iluzyom i wedle nich żyjąc, resztki funduszu tam posadził" (1).

Przy końcu życia zaznał tragedii, która wtedy dotknęła wielu: wskutek polskiego „ruchu" skierowanego przeciwko Cesarstwu, dwaj jego synowie zostali deportowani — jeden, najmłodszy, na Syberię, drugi, średni, na północ Rosji, trzeci, najstarszy, zginął w nowym powstaniu. Kiedy kapitan umarł, dowódca miejscowego garnizonu posłał orkiestrę wojskową na pogrzeb wroga — i ojca wrogów.

Interesuje nas drugi z rzędu syn, Apollo. Urodził się 21 lutego (9 lutego starego stylu) 1820 roku w Honoratce na Podolu (powiat bracławski). Do szkół chodził w różnych miasteczkach Ukrainy: Kamieńcu, Niemirowie, Winnicy, Żytomierzu. Stale go ze szkoły wyrzucano *za wolnomyślność*. Oznaczało to nie tyle tendencje wolteriańskie ile całkowity brak społecznego i politycznego konformizmu i wrodzoną gwałtowność, mającą później cechować jego pisma. Złe mniemanie władz o jego stanie ducha przeszkodziło mu, po skończeniu szkoły, uzyskać paszport na wyjazd do Berlina — miejsca pielgrzymek ówczesnej

(1) Tadeusz Bobrowski, „Pamiętniki".

młodzieży. W 1840 roku wstąpił na uniwersytet w Petersburgu; studiował tam języki wschodnie i prawo. Jednak listy pisane po arabsku należą do legend jego ojca. Nie zdobył żadnego dyplomu i prawdopodobnie w ciągu czterech czy pięciu lat, dzielonych pomiędzy zimę w Petersburgu i wakacje na Ukrainie, zajmował się wszystkim tylko nie nauką. Wszystko oznaczało głównie literaturę i sprawy serca.

,,I on miał Beatrycze swoją — pisze współczesny mu krytyk (2). Tą była pełna uroczych wdzięków, głębokiego rozumu, wytwornego wykształcenia i anielskiego serca ukraińska dziewica; naprzód przewodna gwiazda naszego poety, źródło jej natchnień, później narzeczona, w końcu żona i matka jedynego syna''.

Beatrycze nazywała się Ewelina Bobrowska. Jej brat miał stać się autorem pamiętników cennych dla historyka wieku XIX i opiekunem Józefa Conrada. Stwierdza on, że Apollo Korzeniowski ,,miał ustaloną reputację bardzo brzydkiego i nieznośnie złośliwego''. Uzupełnia tę uwagę spostrzeżeniem, że nieubłagany w piśmie i w mowie był tylko dla bogatych, natomiast pobłażliwy dla maluczkich i łagodny w życiu codziennym, ,,dla równowagi''. Zgadza się to ze zdaniem innego biografa (2), który tak go określa: ,,Wszystko co zacne, co piękne unosiło go i wprowadzało w rodzaj ekstazy. Gdy mówił wtedy, łzami błyszczały oczy a twarz jego, zwykle ponura i oznaczająca się nieregularnością rysów, przybierała w chwilach rozrzewnienia albo zachwytu dziwnej jakiejś piękności i nieskazitelnego ducha wyraz''.

Ten ponury i wrażliwy młodzieniec przedstawiał dla rodziny panny zalety towarzyskie ale nie jako konkurent: bez zawodu, bez grosza, na utrzymaniu ojca, którego sytuacja finansowa też oceniana była jako nieświetna, nie dostarczał żadnych gwarancji. Wyświadczano mu więc przyjacielskie usługi, chcąc go wyswatać w sąsiedztwie; zawsze jednak umiał się tak urządzić, że używając swego złośliwego języka, zrażał w porę domy, do których go wożono. Zdołał wreszcie przezwyciężyć opór starszego pokolenia i doprowadzić, choć dopiero w 1856 roku, do małżeństwa z Eweliną. Jednak z jego utworów można wnioskować, że długoletnie tortury ubogiego idealisty zostawiły trwały ślad, kształtując jego stosunek do kasty.

Większa część jego życia upłynęła na Ukrainie, gdzie administrował majątkami — dzierżawca w Łuczyńcu, następnie rządca i pełnomocnik Sobańskich w Derebczynce. Ta zewnętrzna szacowność służyła za parawan dla zajęć literackich. Był więc jednym z ostatnich pisarzy-ziemian, praktykujących swoją sztukę w wiejskim kącie. Co bynajmniej nie pomagało osiągnąć rów-

---

(2) Stefan Buszczyński, ,,Mało znany poeta — jego stanowisko przed ostatniem powstaniem, wygnanie i śmierć'', ,,Czas'' 1870.

nowagi. Rozdwojenie jest widoczne. Temat maski, którą się nosi w towarzystwie, pozornie ulegając obowiązującym opiniom, powtarza się w jego sztukach teatralnych.

Apollo Korzeniowski był człowiekiem zrewoltowanym. Nie jedynym w ówczesnej Europie i Cesarstwie rosyjskim. Oscylował pomiędzy szyderstwem i rozpaczą, kiedy „życie świn", jakie obserwował w swoim otoczeniu, zdawało się wynikać z samej struktury wszechświata. Czytając jego wiersze podzielilibyśmy ludzkość na „czujących" i „świnie" — podział romantyczny, który leży u podstawy ruchów rewolucyjnych, tworzonych przez intelektualistów. Szukał wsparcia u „czujących", do nich należeli: Ewelina i paru przyjaciół-poetów. Ceniony jako tłumacz zwracał się do pisarzy pokrewnych mu w odrazie do porządku rzeczy. W pierwszej swojej komedii naśladował Gribojedowa. Przełożył na polski „Chattertona" Vigny, fragmenty „Legendy wieków" i prawie wszystkie dramaty Victora Hugo. Część tylko tych przekładów została ogłoszona drukiem. Wiemy, że wracał do tej pracy w momentach dla niego najtrudniejszych — tak więc w ostatnich latach swego życia, w Czernihowie, tłumaczył „Komedię pomyłek" Szekspira i „Ciężkie czasy" Dickensa.

Zasadniczym środkiem jego wypowiedzi był wiersz. Jako poetę zalicza się go do „drugiej fali" romantyków i ta wtórność, a więc pewna niezdolność do bezpośredniego czerpania obrazów z rzeczywistości, sprawia, że jego poematy są dzisiaj interesujące tylko jako przyczynek do ducha epoki. Niektóre z nich zdobyły ogromną popularność u współczesnych. „Słowa z Krzyża" napisane po upadku nadziei rewolucyjnych 1848 roku krążyły w odpisach anonimowo i aż po wiek XX-ty przypisywano je, dość paradoksalnie, Krasińskiemu. „Najznakomitsza część jego poezji — powiada Buszczyński — spoczywa w rękopismach. Obiegają one niemal cały kraj w licznych egzemplarzach, przechodząc z rąk do rąk, chciwie przepisywane, często przekręcone, a zawsze pod innym imieniem, które im dowolnie nieświadomość narzuca". Buszczyński dodaje: „wszystkie zaś rękopisma jego znajdują się u autora tego artykułu i szukają nakładcy". To w 1870 roku. Co się z nimi dzieje w 1956?

Cykl „Strofy oderwane" (3) jest zaopatrzony w motto: „Ubi crux ibi poesia". Na to motto Apollo Korzeniowski powołuje się później nieraz. Poezja jest więc dla niego funkcją cierpienia. „Crux" ma znaczenie podwójne, osobiste i zbiorowe. Dusza ludzka, podobna do gwiazdy strąconej w błoto, oddzielona na sfery czystości nadziemskiej, była konwencją okresu, i szwaczka na poddaszu, biorąc takie wiersze w palce pokłute igłą, czuła, że wyrażają one jej marzenie o szczęściu niedostępnym. U Korzeniowskiego akcent rozpaczy jest szczery: zupełna samotność wśród ludzi zajętych sprzedawaniem i kupo-

(3) Wydany ze sztuką „Komedia" w Wilnie, 1856.

waniem, idiotyczną zabawą, rozrywkami pozycji i snobizmu. Powstaje przypuszczenie, że jego nieszczęśliwa miłość do Eweliny (której miał wzajemność ale nie rękę) stanowi ukryty szyfr wielu jego strof. Jego poematy są modlitwami o siłę wytrwania — bo gdyby nie wiara religijna jedynym wyjściem byłoby samobójstwo. Ale ,,crux'' oznacza również los zbiorowy : naród polski, według wyrażenia wprowadzonego przez jego poetów, był ukrzyżowany, jego sytuacja stanowiła dowód skażenia Europy, obojętnej na wartości. Przez tortury, jakim był poddany, oczyszczał siebie i innych, był więc w swojej istocie narodem poezji, a ,,świnie'' obojętne na sprawę zaprzeczały jego powołaniu. Korzeniowski wyrzuca sobie, że późno to zrozumiał :

O jak długo, jak nikczemnie
Życie moje zamykałem
Przed natchnieniem i zapałem !

. . . .

W samolubnym zapomnieniu
Pośród śmierci i żałoby,
Pośród jęków i konania,
Gdy młodości mej zarania
Oświecały tylko groby,
Ja nie miałem w oku łzy !
Łkanie łona mi nie rwało,
Serce młode nie bolało,
Boże, Boże, przebacz mi !

Nie jako autor wierszy, ale jako pisarz dramatyczny utrwalił swoje imię Korzeniowski, wtedy, kiedy wskutek swego ,,zaangażowania'' zaczął pokazywać w sztukach wierszem znane sobie okazy ludzkie. Sięgamy do ,,Historii literatury polskiej'' wydanej w roku 1877 (4) i znajdujemy w niej taki o nim sąd :

,,Apollo Korzeniowski zajmuje nader wydatne stanowisko na polu poezji dramatycznej w naszej literaturze. Tematem wszystkich prac jego jest idea społeczna, przełamana przez pryzmat poetyckiej fantazji i osobistego charakteru autora. W utworach swoich napada on przede wszystkim na zdemoralizowaną sobkostwem i bezwładnością cząstkę społeczności szlacheckiej. Lekkie przywary towarzyskie nie obchodzą go wcale ; najchętniej wybiera on najczarniejsze plamy ducha ludzkiego : szalbierstwo, wiarołomstwo, podstępność, zdradę — i wymierza im sprawiedliwość z uniesieniem namiętnem i posjonującą wymową. Dowcip jego gryzie do kości, ironija zabija. Śmiech jego podobny jest do warczenia, po którem następuje ukąszenie głębokie''.

Pierwsza ze sztuk, ,,Komedia'', została uznana przez ów-

(4) Wykłady Zdanowicza, opracowanie Sowińskiego.

czesnych krytyków za przeróbkę. ,,Gorie ot uma'' Gribojedowa, przeciwko czemu Korzeniowski się bronił. Krytycy czuli się urażeni brutalnością z jaką traktowane jest w niej ,,dobre towarzystwo'' i niewątpliwie rewolucyjną jej tendencją. Wydana drukiem w roku 1856 (w Wilnie), na scenę dostała się dopiero w roku 1952, kiedy to z okazji pra-premiery nazwano ją ,,najbardziej postępowym, najdrapieżniejszym i najzjadliwszym utworem literatury lat pięćdziesiątych ubiegłego wieku'' (5). Następna sztuka, ,,Dla miłego grosza'', wydana w roku 1859 (w Petersburgu), była grana z powodzeniem za życia autora przez teatry polskie w Żytomierzu i Kijowie. Obie łączy postać bohatera. Jest nim Henryk, czysty, ,,czujący'' i całkowicie obcy środowisku właścicieli ziemskich, bo ,,proletariusz'' to jest bez majątku. Przedmiotem nienawiści autora jest korrumpująca siła pieniądza. Schemat akcji w obu dramatach jest podobny : małżeństwo nie dochodzi do skutku z powodu intryg, jakich ofiarą pada szlachetność. Trudno właściwie zrozumieć dlaczego Henryk w ,,Komedii' odtrąca rękę ukochanej, kiedy już działania wrogów ich obojga zostają zdemaskowane : częściowo dlatego, że nie ma już zaufania do niczego w tym środowisku i ,,otrząsa pył ze stóp'', częściowo dlatego tylko, że szczęśliwe zakończenie byłoby przeciwne pesymizmowi autora. W ,,Dla miłego grosza'' Henryk, o dziesięć lat starszy, nie jest już młodym entuzjastą i spiskowcem przeciwko porządkowi społecznemu. Zaadaptował się, nosi maskę i ceniony jest nawet za swój dowcip — który kryje wstręt i pogardę. Nie jego już małżeństwo stanowi wątek sztuki. Jego przyjaciel, Józef, rewolucjonista, wraca z sześcioletniego zesłania i zakochuje się w pannie z ,,dobrego domu''. Henryk waha się pomiędzy chęcią udzielenia pomocy przyjacielowi i odwrócenia niebezpieczeństwa bo wie, że panna udaje uczucia wobec każdego o kim mówią, że jest bogaty. Józef, wbrew jej przypuszczeniom, nie posiada nic. Akcja obu sztuk rozgrywa się w stolicach zbożowych Ukrainy : w Odessie i w Kijowie.

Wartość tych dramatów (w przebraniu komedii) polega na gwałtowności inwektywy w wierszu i na dialogach idących ostrze na ostrze (np. Henryk - Anna w ,,Dla miłego grosza''). Henryk próbuje wyleczyć swego przyjaciela ze złudzeń :

,,Wierzysz? wierzysz? Ty wierzysz? to czysty idiota!
A gdy cię Anna zdradzi? uwierzysz że cnota
We mnie mieszka. Ja zdradzę — ty uwierzysz w kota!
Kot zdradzi — w psa uwierzysz! pies zdradzi — ty wiarę
Włożysz w stół, w krzesło, w biórko, w cybuch, w bóty stare,
W kalendarze, w nagrobki! — Ty w mroźne zawieje
Bez futra możesz jeździć — bo cię wiara grzeje!''

(5) Jan Kott, cyt. Roman Taborski ,,Dwa ostatnie dramaty romantyczne'', ,,Twórczość'', sierpień 1955.

Panowie zjeżdżający się na kontrakty kijowskie ze swoich dworów czy doglądający swoich interesów w Odessie nie przejmowali się zbytnio sprawą narodową i nawet mieli powody, żeby sobie winszować korzyści, jakie im dawała przynależność do rosyjskiej korony. Dla tych co ,,wierzyli'', ta płaska egzystencja była nie do zniesienia. ,,Dla miłego grosza'' ukazała się z białymi plamami, które w niej wyrąbał ołówek cenzora. Rozmowa w salonie jest jakby powtórzeniem ,,salonu warszawskiego'' w ,,Dziadach''. Aluzje polityczne są wyraźne :

Będziem wiecznie w cieniu
W ciszy, jakby za piecem; możemy handlować,
Iść po drodze postępu, sprzedawać, kupować,
I tak spędzić to życie, że w skonania chwili
Nikomu myśl nie przyjdzie, żeśmy nawet żyli.

Cóż znajdzie tutaj Józef (pokolenie 1848 roku) wracający ze zsyłki? Jego miłość do Anny okazuje się nieporozumieniem :

A byłem szalony
By o ten grób robactwa, chociaż wyzłocony
Który jest dla nich światem fałszu i próżności
Roztrzaskać resztki wiary, nadziei, miłości!
O ten świat, w którym każdy ku nowej kolchidzie
Po złote runo bieży, lub pełznie, lub idzie!
Na drodze serce — depcze! Uczucie — potrąci!
Poświęcenie — wyśmieje! Wiara — fałszem zmąci,
Cnota — oplwa! I rad swej zmyślności zwierzęcej,
Śmieje się głupim śmiechem — bo ma rubla więcej!''

Świat bez honoru. Balzak oswoił nas z perfidią i znieprawieniem, jakie wytwarzała władza złota. Jednak takich kobiet-monstrów jak u Korzeniowskiego nie spodziewalibyśmy się znaleźć w sztukach pisanych wierszem w połowie XIX-go wieku. Monstra są piękne, pełne powabu i inteligentne. Nie cofają się jednak przed niczym tam, gdzie chodzi o zapewnienie sobie wygody przez kontrakt ślubny: ulegalizowana prostytucja. W ,,Komedii'' taka wdzięczna istota fałszuje list, żeby uchronić posag i zrujnować szczęście swojej serdecznej przyjaciółki. W walce przeciwko niej Henryk znajduje sojusznika w prawdziwym proletariuszu : sekretarzu. Ten nędzny buchalterzyna, co drży o swoją miesięczną pensję i dla niej bierze udział we wszystkich nieczystych sprawach Prezesa, w pewnej chwili buntuje się i rzuca wyzwanie swoim chlebodawcom. Gra pełną stawkę to znaczy ryzyko śmierci głodowej. Jedyny to wypadek kiedy u Korzeniowskiego występuje postać spoza kręgu ludzi o dobrych manierach, akceptowanych (pomimo ich ubóstwa jak na przykład Henryk czy Józef) przez kastę.

Pomiędzy drugą i trzecią, ostatnią, sztuką Korzeniowskiego (pomijamy tutaj kilka jego obrazków scenicznych dla dzieci) leży okres, w którym posunął o stopień dalej swoje poczucie obowiązku i przystąpił do akcji konspiracyjnej, co doprowadziło do jego uwięzienia. Ta trzecia sztuka ukazała się kiedy już chory na suchoty zdołał wyjechać z granic Cesarstwa rosyjskiego i mieszkał w Galicji Habsburgów. Nazywa się ona ,,Akt pierwszy'' (6). Grano ją w obecności autora we Lwowie. Przedmowa zawiera podziękowanie dla aktorów tamtejszego teatru i wykład poglądów na rolę literatury. Korzeniowski usprawiedliwia się, że jego pisma nie osiągają tej doskonałości, jakiej sam mógłby od nich oczekiwać.

,,Widocznym jest bowiem z innej strony — pisze — że są położenia społeczeństw, w których porządku, miary, zaokrągleń wymagać nie można od żadnego objawu życia, tem bardziej od Sztuki. — W takiem położeniu od lat stu my znajdujemy się. — Część nas jest społeczeństwem helotów — i to najlepszego, czy najgorszego gatunku — którzy utylitarnie zgodzili się na przymusowe położenie aby tylko spokojnie mogli ogryzać rzucane im z łaski kości... Wyrwać się z takiego położenia, opamiętać tych, co je w spokojnej, haftowanej i galonowanej hańbie znoszą, stało się naturalnie zadaniem drugiej połowy społeczeństwa. — Takie dwa różne, sprzeczne sobie, a bojujące z sobą kierunki odbiły swe odrębne cechy na potęgach społecznych : — na życiu rodzinnym — na Nauce — na Sztuce, to jest na dobrze, prawdzie i pięknie codziennego życia''.

I dalej, wyznanie o literaturze będącej tylko surogatem czynu : ,,Widzimy całe pokolenie pisarzy i poetów trzymających pióro jako oręż : miecz to ciągle odporny, często zaczepny. Trudno mieć za złe to uzbrojenie wieczyste ludziom którzy nic nie mają — a wszystko odzyskać powinni. Przed zadaniami życia na bok nieraz idą ścisłe sztuki zadania. Ztąd częste usterki przeciw wiecznej pogodzie obojętnych błękitów estetyki. — Nikt z literatów z pod hasła ,,Sztuka dla Sztuki'' na taką zasadę się nie zgodzi. — To też Bóg z nimi. — My sami, — i wielu innych do mienia literatów nie rościmy pretensji. Jednak dawno już pióro i niebezczynnie trzymamy w ręku. — Powtórzymy słowa włoskiego patryoty i poety : ,Piszę dla tego tylko — że działać obecnie nie mogę' ''.

,,Akt pierwszy'' jest krótką tragedią. Nazwa wskazuje na zamiar ułożenia cyklu luźno być może ze sobą powiązanych takich scen w których pojawia się Fatum. Spokojna rodzina szlachecka, radość, pomyślność — i cios który spada w najmniej oczekiwanej chwili a dlatego, że żona pochodzi z rodu skażonego kolaboracją (Targowicą). Zdradza męża z człowiekiem pochodzącym z równie skażonego rodu. Można więc wywniosko-

(6) Akt pierwszy. Biblioteka teatralna lwowska. Zeszyt IV. Lwów, 1869.

wać, że służba wrogom, to jest Rosjanom, jest zawsze objawem jakiegoś osłabienia instynktu moralnego i że ta cecha psychosomatyczna przekazuje się dziedzicznie. Jeżeli w wielu znanych nam tragediach Fatum działa poprzez dziedziczną predylekcję do morderstwa czy kazirodztwa, nie widać dlaczego nie mogłoby się ujawnić i w ten sposób, jeżeli założymy, co nie jest pewne, że wszelka kolaboracja wynika zawsze z tych samych przyczyn to jest słabych nerwów i przywiązania do materialnych korzyści. W rodzinie Korzeniowskich przejawił się natomiast wręcz odwrotny atawizm: wierności za wszelką cenę.



Poeta który tak namiętnie odnosił się do problemów swego kraju nie mógł pozostać obojętny na aktualne wówczas spory i wolno nam zapytać jaka była jego myśl polityczna. Jak się zdaje, w jego osobie zagnieździł się paradoks właściwy polskim prądom rewolucyjnym XIX wieku. Zrewoltowany Rosjanin, jeżeli chciał uratować siebie od pesymizmu i bezsilnej ironii, musiał obrócić się przeciwko tronowi, a co za tym idzie niszczyć mit patriotyczny złączony ściśle z tronem i prawosławiem; nie było to łatwe, jak wskazują choćby wahania Puszkina, carosławna faza Gogola czy powściągliwy liberalizm Turgieniewa. Zrewoltowany Polak nie miał takich utrudnień. Zło zdawało się przychodzić tylko z zewnątrz, następowała więc całkowita identyfikacja walki o niepodległość i o nowe oblicze ziemi. Jednakże, ponieważ poczucie biologicznego zagrożenia ze strony „olbrzyma północy" było silne, ponieważ chodziło o przeciwstawienie się mu jako zbiorowość, walka wyzwoleńcza zyskiwała pierwszeństwo, a na Rosję przerzucało się odpowiedzialność za wszelką nieprawość, na przykład za tępe bytowanie szlachty, przedstawiając nieraz jako upodlenie niewolą to, co było w istocie wynikiem struktury społeczej i postępów kapitalizmu. Znaczyło to, że chwila odzyskania wolności odgrywała w umysłach większości zrewoltowanych Polaków tę samą rolę co później chwila Rewolucji dla marksistów: absolutnego początku, całkowitego rozwiązania. Stąd projekty radykalnych reform bronione były jako środek który służył nadrzędnemu celowi, to jest mobilizacji mas do akcji zbrojnej. Czynni uczestnicy walki odsuwali je w przyszłość, zadawalając się czysto uczuciową sympatią do upośledzonych; dlatego też tak łatwo stępiało się ostrze społeczne „ruchów". Psychologia Korzeniowskiego wskazuje, że u podstawy jego działań tkwiła niezgoda na egzystencję w ogóle, na samo „życie bez celu", od czego dokonywało się przeskoku w ziemski absolut mający twarz Ojczyzny. W innych warunkach przybrałby on może twarz Ludu czy Sztuki. Atak Korzeniowskiego na sztukę jest wymowny: nie służy się dwum bogom. Słowo Ojczyzna jednak, żeby zachować idealną czystość, musiało oznaczać miłość wzajemną wszystkich i cno-

tę. A przecież w roku 1846 zaszły wypadki które dowiodły, że istnieją w Polsce potężne konflikty klasowe. Rzeź galicyjską Korzeniowski oceniał nie jako ostrzeżenie, ale jako wybuch dzikości, zagrażający solidaryzmowi narodowemu:

A z wrogiem walczcie!... o! walczcie bez końca —
Poświęceń siłą, łez krwawych goryczą;
Nie żadną pychą k a s t y albo r o d u
Co wiecznym wrzodem biednego Narodu,
Nie żadną rzezią bratnią... rozbójniczą,
Co czeka nocy a lęka się słońca —
Przebaczcie sobie —

Dwie postacie pozwalają nam wniknąć w dziwaczne rozłożenie akcentów w ówczesnych poglądach. Są to Apollo Korzeniowski i brat jego ukochanej żony, Tadeusz Bobrowski. Ten nie miał w sobie nic z romantyka i rewolucjonisty. W zgodzie ze swoim otoczeniem, trzeźwy, przyznawał się z humorem w swoich pamiętnikach do niewrażliwości na zbyt wzniosłe sfery ducha i patrzył na zrewoltowanych typu Apolla z pobłażliwym sceptycyzmem. I, rzecz zastanawiająca, ten liberalny konserwatysta wykazywał lepsze niż Apollo zrozumienie dla kwestii domagających się pilnego rozwiązania. Poświęcał im wiele swego czasu, biorąc udział w zjazdach, naradach i petycjach do władz.

Kluczowym problemem tego okresu była sprawa uwłaszczenia chłopów. Szlachta Ukrainy i Litwy zajmowała tu stanowisko bardziej postępowe niż szlachta rosyjska z jednej strony, szlachta Królestwa, z drugiej. W istocie od niej szła w Cesarstwie inicjatywa zmian, co stanowiło dowód dobrej obrony przez nią jej własnych interesów: rozumiejąc, że proces jest nieunikniony, starała się nadać mu charakter możliwie bezbolesny. Bobrowski był szczególnie aktywny przy układaniu coraz to nowych memoriałów poprzedzanych zawiłą grą dyplomatyczną na zebraniach sąsiedzkich. To tłumaczy odcień przyjaznej ironii z jakim pisze o Korzeniowskim:

„Chociaż miał siebie za demokratę szczerego, a inni mieli go za „ultrasa" i za „czerwonego", było w nim sto razy więcej „żyłek szlacheckich" — jak mu to nieraz dowodziłem — jak we mnie, którego ani on, ani inni o demokratyczne przekonania nie posądzali".

„Nigdy nie mogłem dojść ostatecznego składu jego przekonań politycznych i społecznych, oprócz mglistego pociągu do Rzeczypospolitej jako formy, a w niej coś równie mglistego per modum praw zagwarantowanych Konstytucją 3 maja, co na nasze czasy już było za mało. W kwestii włościańskiej na przykład wahał się co do uwłaszczenia; sympatyzował (z moją myślą w tej kwestii, jeszcze w 1854 wypowiedzianą), ale obawiał się i twierdził, że wypowiedzieć ją chyba mogą ci, którzy posiadają ziemię. Nie dziwię się wcale, a tylko konstatuję fakt,

że w ogóle poeci, ludzie wyobraźni i ideałów, nie są w możności sformułowania jasno konkretnych postulatów życia, i najlepiej też zrobią, jeżeli się do tego nie mieszają, zostawiając tę robotę może mniej czystym i idealnym duszom, ale świadomym walk i potrzeb doczesnego żywota".

Nie znaczy to, że Korzeniowski lekceważył Lud; szukał w nim jednak przede wszystkim zdolności do porywów narodowych. Co do chłopów w jego okolicach, stwierdzał duże pogorszenie się ich losów od czasu jak przeszli pod władzę Rosji: dawniej nie musieli dawać rekruta i przynajmniej administracja była uczciwa — dlatego spodziewał się, że łatwo byłoby ich porwać do walki. Wojna krymska wprowadziła go w stan niesłychanego podniecenia. Nie zapominajmy, że toczyła się ona u wrót Ukrainy, że emigracja polska w Paryżu gorączkowo zabiegała w kancelariach dyplomatycznych, że w Konstantynopolu tworzył się Legion polski przy armii tureckiej, pomysł mniej szaleńczy, niż się to wydaje dzisiaj, skoro się zważy, że przez długi okres Polska i Turcja miały wspólną granicę. Korzeniowski w roku 1855 żył myślą ludowego powstania, które by w połączeniu z naciskiem militarnym Aliantów, zadało cios decydujący Rosji. I właśnie wtedy zdarzyło się coś, co zdawało się potwierdzać jego nadzieje: prawdziwa chłopska insurekcja.

Relacje o tym fakcie podają zarówno Korzeniowski jak Bobrowski. Zgodni są w jego ocenie, różnią się nieco w interpretacji. Chłopi ukraińscy z wielu wiosek gubernii kijowskiej pewnego dnia zebrali się w gromady i opieczętowali karczmy („szczoby ne skazały, szczo horyłka w nas howorit' i w nas oruduje", następnie szli do dworów i domagali się „woli" proponując układ: 1/3 zbiorów dla nich, 2/3 dla panów. Popów i urzędników pławiono w stawach. Nie zabito jednak ani zraniono nikogo. Przez 12 dni, kiedy cała władza była w rękach chłopów, wyznaczone przez nich warty pilnowały porządku, pracowano na polach. Lokalna administracja rosyjska wpadła w panikę. Przedstawiała ona bunt jako dzieło polskich emisariuszy-socjalistów z Paryża — co było fałszem, bo ruchawka wybuchła spontanicznie. Równocześnie zastosowano chwyt klasyczny: w Białej Cerkwi stacjonował wtedy kontyngent rekrutów z Królestwa. Rekruci ci nie umieli po ukraińsku. Rozpuszczono więc wieści, że jest to drobna szlachta przebrana w mundury przez panów, która ma być użyta do ekspedycji karnej. Próba przerzucenia odpowiedzialności za to co nastąpiło na Polaków miała szanse powodzenia, bo właściciele dworów uciekli, chowając się za plecy rosyjskiej armii; z oburzeniem wspominają o tym Korzeniowski i Bobrowski.

Wojsko, wsparte przez armaty, strzelając salwami do tłumów stosujących tylko bierny opór położyło kres powstaniu. Przywódca został skazany na 3.000 pałek, inni na 2.000 - 500 pałek, wszyscy zesłani na Sybir.

Dla Korzeniowskiego to wydarzenie 1855 roku było potęż-

nym wstrząsem. Mówiąc w trzeciej osobie opowiada, że pomimo pośpiechu znalazł się na miejscu buntu za późno: „Ten, co śpieszył wziąć w nim udział mógł tylko sercem odczuć, zapłakać i tyle wynieść z tego ruchu, aby go kiedyś przed sumieniem Polski i ludzkości zaświadczyć" (7). Świadczy więc, że chłopi wzywali panów, żeby stanęli na ich czele i uderzyli na Rosjan. Że na śledztwie przywódca powiedział: „Nyma czoho ukrywaty. W trydciat perszom hodu my buły durni, szczo z panami ne stały; a teper pany durni, szczo z nami ne derżały". Że ostatnimi słowami przywódcy gnanego na kaźnię było wezwanie do „ludi dobrych" aby nie wierzyli w pogłoski o szlachcie czynszowej przebranej w mundury. Wszystkiego tego sam nie mógł słyszeć i nikt już dzisiaj nie sprawdzi tej wersji dowodzącej w każdym razie, że po wypadkach została legenda.

Konserwatysta Bobrowski daje oświetlenie czysto klasowe: bunt wybuchł ponieważ wśród chłopów rozeszła się wiadomość, że istnieje ukaz cara, przyznający im prawa „wolnych kozaków". Jeżeli pławili popów to dlatego, że oskarżali ich, iż są przekupieni przez panów i dlatego trzymają ukaz w tajemnicy. Więc „dobry car" i „źli biurokraci". O żadnych narodowych tendencjach nie wspomina.

Trudno się oprzeć wrażeniu, wspartemu o sztuki teatralne Korzeniowskiego, że miał on nostalgię do czasów patriarchalnych, do stosunków pomiędzy panem i chłopem opartych na pojednaniu we wzajemnych obowiązkach bardziej niż w prawach. Nostalgia szekspirowska. Przeszłość przybierała barwy utraconych cnót. I chcąc przyłączyć się do chłopskiego buntu, uważał, być może, że jest wierny zarówno tym cnotom, jak swojej wierze w odsiecz od strony Morza Czarnego.

Od lat wojny krymskiej przybiera na sile nowa fala polskiego ruchu antyrosyjskiego, który doprowadzi do powstania 1863 roku. Tutaj drogi Korzeniowskiego i Bobrowskiego się rozchodzą. Pierwszy poświęca się całkowicie działalności konspiracyjnej, przenosi się wkrótce do Warszawy i jest tam założycielem Komitetu Centralnego, który przekształci się w rząd rewolucyjny. Drugi odnosi się do „ruchu" zdecydowanie wrogo, uważając, że nie ma on żadnych obiektywnych danych powodzenia. Gwałtownie też występuje przeciwko rozszerzeniu planowanego powstania na Litwę i Ukrainę. Skarży się później w swoich pamiętnikach, kiedy słuszność jego przewidywań została tragicznie potwierdzona:

„Postanowiono dla wysokich względów politycznych „krwią zaznaczyć granice" — co było podwójnem szaleństwem, bo najprzód wykazywało obszerność rewindykacji wobec nowych historycznych i politycznych haseł nieuzasadnionych, następnie musiało wykryć nieodwołalnie sekret naszej słabości liczebnej w obu prowincjach".

(7) „Polska i Rosja".

Powstanie 1863 roku było zjawiskiem złożonym — i miało złożone następstwa. Spowodowało ono szał szowinizmu w Rosji i nieliczna grupa rewolucyjnych demokratów rosyjskich, której poglądy wyrażał w Londynie „Kołokoł” Hercena, była odosobniona w swoim solidaryzowaniu się z Polakami. Carat, jak zawsze kiedy należało trzymać Polaków w ręku, szukał zbliżenia do Prus. Wobec objętego „miatieżą” terytorium stosował natomiast pewne wypróbowane chwyty wynikające ze zrozumienia roli propagandy, bez której terror jest nieskuteczny. Zrobił więc użytek ze sprawy chłopskiej. W roku 1861 Aleksander II ogłosił był manifest o uwłaszczeniu chłopów. Moc tego manifestu rozciągała się na Litwę i Ukrainę, ale nie na autonomiczną prowincję: Polskę, gdzie status chłopa nie uległ zmianie. „Ruch” miał charakter narodowy a więc jego przywódcy, zgodni w dążeniu do niepodległości, byli zwolennikami różnych, nieraz całkowicie sprzecznych rozwiązań tego podstawowego zadania, utrudnionego przez opór stronnictwa „Białych”, w którym głos decydujący mieli wielcy właściciele ziemscy. Postać Korzeniowskiego, jako jednego z najbardziej aktywnych konspiratorów, pozwala zresztą odpowiedzieć na pytanie dlaczego oświadczenia rządu rewolucyjnego o wolności ekonomicznej dla chłopów przyszły z opóźnieniem: tych bojowników pożerał absolut Ojczyzny, ku niemu kierowała się przede wszystkim ich uwaga i ku pomocy z Francji, która nadejść nie mogła. Decyzja rewolty zapadła poza tym w chwili nieprzewidzianej, jako retorsja na ogłoszoną przez władze brankę rekruta — dziś porównalibyśmy to z wywózką na roboty. Chociaż oddziały powstańcze składały się w większości z ludzi niskiej kondycji, izolowanie ich od wiosek udało się urzędnikom cara w dużym stopniu z chwilą, kiedy przedstawili oni powstanie jako bunt szlachty, broniącej swoich przywilejów, a tron jako dobroczyńcę chłopów. Regularne wojska miażdżyły w lasach powstańców uzbrojonych w dubeltówki i nie wielu żołnierzy przeciągnęło na przegrywającą stronę hasło: „Za naszą i waszą wolność”. Po czym chłopi dostali uwłaszczenie z rąk monarchy i zaczęły się organizowane przez administrację bizantyńskie orgie wdzięczności z kadzeniem przed portretami Cara. Równocześnie cały kraj pokrył się szubienicami a tysiące skazanych odbywało drogę na Sybir.

Raport urzędowy umieszczony w „Wilenskom Wiestnikie” (8) daje pojęcie o atmosferze, jaką urzędnicy cesarscy starali się wprowadzić w dziękczynne zgromadzenia po wsiach (na Wileńszczyźnie nazywało się to „wyzwoleniem z polskiego jarzma”). „Była to chwila — powiada raport — najuroczystsza, najprzyjemniejsza... Od zbytku uczucia wszyscy rozpłakali się. My — nie myśleliśmy, że to tylko portret ubóstwionego Cara-Ojca. Nam się zdawało, że *Sam On, Najmiłosierniejszy* objawił się

(8) Cytuje „Ojczyzna”, dziennik wydawany przez Agatona Gillera w Lipsku, z dnia 17 czerwca 1864 roku.

nam osobiście, ażeby widzieć naszą radość. My — nie wiedzieliśmy co robić, każdy z nas wyprzedzając się śpieszył przylgnąć swojemi ustami choć do krawędzi ramy portretu''.

W tym samym duchu była aranżowana akcja propagandowa na terenie międzynarodowym. Nic dziwnego, że wprowadzała ona patriotów stawianych przez nią pod pręgierz w rodzaj osłupienia. Artykuł wstępny z 27 maja 1864 roku w emigracyjnej ,,Ojczyźnie'' tak dobrze to osłupienie ilustruje, że warto wziąć z niego obszerniejsze cytaty.

,,Gdyby tylko uwierzyć na słowo moskiewskiej dyplomacji, to nie ma na świecie rządu, który by goręcej miłował sprawę cywilizacji i społecznego postępu, — który by troskliwiej czuwał nad najdroższemi interesami ludzkości, — który by nakoniec z taką macierzyńską miłością zajmował się losem podwładnych mu ludów — jak rząd carski.

,,Wzniosłe pojęcie potrzeb społecznych, szlachetne poczucie posłannictwa, jakie Moskwa ma spełnić ku uszczęśliwieniu rodu ludzkiego, obrona porządku i zdrowego postępu — słowem najidealniejsza filantropia są jedynemi pobudkami wszystkich działań moskiewskiego rządu. Ukazy carskie oddychają dziwną jakąś, serdeczną dobrodusznością i słodyczą — noty dyplomatów carskich zdolne są rozrzewnić najtrwardsze serca...

,,Wszystko nazewnątrz piękne i ponętnie wygląda, w tych olbrzymich, na łatwowierność ludzką zastawionych żelazach, które świat cesarstwem rosyjskiem nazywa; wszystko obrachowane na efekt, zarządzone misternie jak teatralna dekoracja, świetne i błyszczące z pozoru...

,,Urzędowe dzienniki carskie, mianowicie dla Europy redagowane, umiejętność maskowania wszelkich działań moskiewskiego rządu doprowadziły prawdziwie do doskonałości. Najnikczemniejsze czyny, najbardziej krzyczące nadużycia umieją one rozłożyć w pryzmacie moskiewskiego ducha na najszlachetniejsze kolory. Jest to prawdziwa fantazmagoria, czarnoksięski aparat, w którym morderca przemienia się w anioła pokoju; zbrodnia pozuje w niepokalanej szacie cnoty; ucisk, despotyzm, barbarzyństwo zdają się być trzema gracjami miłości, słodyczy i ludzkości; w którym krew ofiary przybiera na się postać czułych łez jej zabójcy, — a cały świat i wszystkie zasady prawdy i moralności, w tak dziwne a coraz inne mienią się kolory, że zawrót ogarnia głowę, a w duchu taki powstaje zamęt, iż traci się nawet jasne pojęcie złego i dobrego...''

....

,,W dziennikach moskiewskich redagowanych na Europę, cały szereg okrucieństw spełnionych w Polsce, przedstawionym jest, jako jedno nieprzerwane pasmo dobrodziejstw. Car tam z ojcowską radością dowiaduje się o uśmierzeniu powstania, dziękuje serdecznie wiernym sługom swoim, że tak dobrze pojęli

wspaniałomyślne jego dla Polaków zamiary i trafnie dzieło uspokojenia spełnili; cieszy się, że nakoniec Polacy jego poddani zaczną używać znowu pokoju i błogiego szczęścia... Mało na tem: z wysokości tronu zstępuje, aby się przybliżyć do najmilszych mu włościan polskich, o których szczęście bardziej niż o moskiewskich się troszczy, przemawia do nich jak ojciec do dzieci swoich, częstuje w swoim pałacu — i wznosi toast za braterstwo dwóch nierozdzielnych, a równo ukochanych mu ludów, Polaków i Moskali..."

Powstanie 1863 roku zostało na ogół surowo ocenione przez polskich historyków. Trudno jednak znaleźć ostrzejsze słowa pod jego adresem niż w pamiętnikach Tadeusza Bobrowskiego. Wolno sąd jego uznać za przejaw obrachunków po klęsce, zbliżyć go do szkoły krakowskiej — tak samo myślał Bobrzyński. Ale nie trzeba zlekceważyć obserwacji zawsze trzeźwego człowieka. Bobrowski wykazuje beznadziejność powstania, w które rzucił przywódców automatyczny rozwój nastrojów, jakie rozhuśtali sami. „Posługiwano się więc" — zauważa — „fałszem jako udatnym narzędziem: jedni, świadomie dla celów rzekomo wyższych, wyższym umysłom dozwolonych, drudzy bezwiednie, przez lekkomyślne powtarzanie i szerzenie wieści, przebiegających w obie strony z Paryża do kraju, z kraju do Paryża. Posługiwano się fałszem bez skrupułu, od sekretarza gabinetu Napoleona III i księcia Plon-Plona, przez wszystkie sfery i stanowiska społeczności polskiej, aż do skromnego alkierza prowentowego pisarza wiejskiego, którego znowu fałszywym przedstawieniem potęgi sił, mających przybyć z zagranicy, pociągano i wciągano do ruchu. Bez przesady twierdzić wolno, że ruch 1861-1863 roku poczęty w fałszu — bo jest nim każda choćby najszlachetniejsza iluzya — stał fałszem, szerzył się w fałszu, i upadł w fałszu..." Zauważmy raz jeszcze dla ścisłości, że Bobrowski (którego brat odgrywał w powstaniu wybitną rolę) był anty-rewolucjonistą, a więc z zasady przeciwnikiem wszelkich „iluzyi".

Oczywiście nie da się sprowadzić skomplikowanej gry sił społecznych do takiego czy innego schematu. Warszawa, dokąd Apollo Korzeniowski przeniósł się w 1861 roku, była areną bojów pomiędzy konspiracyjnymi grupami i frakcjami. Zajmował stanowisko zbliżone do lewicy „czerwonych", ale nie wiele o jego poglądach na ówczesne rozgrywki wiemy. Wiemy tylko, że kiedy zakładał pismo i zabiegał nad utworzeniem Komitetu Centralnego, cudem niemal uniknął śmierci z rąk „partii sztyletników". Wkrótce potem, w październiku 1861 roku, aresztowany, został osadzony w Cytadeli. Policja nie znalazła w czasie rewizji żadnych kompromitujących dokumentów, w śledztwie nie wydobyła z niego żadnych zeznań. W ciągu 9-ciu miesięcy spędzonych w Cytadeli, Korzeniowski cierpiał na reumatyzm i szkorbut. Napisał tam książkę modlitw i pieśni pod tytułem: „W do-

mu i w świątyni", z mottem: ,,Morituri vos salutant". W kwietniu 1862 roku zapadł wyrok: deportacja, stosownie do jego życzenia do Perma, gdzie jego dawny kolega szkolny był gubernatorem — ten, jak się później okazało, przestraszył się kłopotliwego więźnia i wskutek jego zabiegów skierowano Korzeniowskiego do Wołogdy. Koledzy z konspiracji proponowali wykradzenie — Korzeniowski odmówił, bo jego zdaniem nie powinni byli narażać życia dla jednostki.

Podróż na północ Rosji odbywała się końmi, pod konwojem. Towarzyszyła w niej Apollonowi dobrowolnie żona z pięcioletnim Konradem, późniejszym powieściopisarzem angielskim (9). Dzieci i kobiety źle znosiły tygodnie jazdy bez odpoczynku. Zbliżano się do Moskwy, kiedy Konrad zachorował niebezpiecznie. Żandarmi nie chcieli słyszeć o zatrzymaniu się — ale w Moskwie przeprzęgano konie i matka, stanąwszy w oknie stacji pocztowej, zaczęła wołać: ,,Ratujcie moje dziecko". Znalazł się ktoś z mieszkańców miasta, kto udzielił pomocy i sprowadził lekarza-Polaka, którego Korzeniowski znał w latach młodzieńczych w Winnicy. Lekarz stwierdził u dziecka zapalenie mózgu, interweniował u władz i zdołał uratować pacjenta. Z kolei zachorowała Ewelina. Pod Niżnim Nowgorodem stan jej był tak ciężki, że żandarmi wynosili ją do powozu na prześcieradłach. Apollo rzucił się wtedy na nich i determinacja jego musiała być rozpaczliwa, jeżeli w bójce jednego przeciwko wielu złamano dyszel powozu. Przejeżdżający oficer rosyjski zwymyślał żandarmów i wyrobił rodzinie pozwolenie zostania w Niżnim Nowgorodzie przez dziesięć dni.

O wybuchu powstania Korzeniowski dowiedział się w Wołogdzie. O tym, że nie było ono przewidywane w tej formie przez najbardziej aktywnych przywódców ,,ruchu", że wymknęło się im ono z rąk, świadczy jego okrzyk: ,,Nie tą drogą! Nie tą drogą! Zawsze tak u nas! Albo zbyt późno, albo za wcześnie! Ale Bóg wielki!"



Kiedy przyjaciel Józefa Conrada, Robert Cunninghame Graham, zaprosił go w roku 1899 na meeting pacyfistyczny w Londynie, Conrad odpowiedział, że widzi ,,przyszłość w głębi bardzo ciemnej przeszłości" i że chce zachować ,,wierność sprawie beznadziejnie przegranej, idei bez jutra". Odmawiał przyjęcia zaproszenia: ,,Otóż na tym meetingu będą *Rosjanie. Niemożliwe!* Nie mogę uznać idei braterstwa, nie dlatego, że uważam ją za nie do zrealizowania, ale z powodu jej propagandy (jedynego naprawdę uchwytnego jej elementu), która zdolna jest osłabić poczucie narodowe, a właśnie zachować je jest

(9) Ojciec-poeta nadał to imię synowi, jak wolno nam się domyślać, na cześć Konrada Wallenroda i Konrada z ,,Dziadów".

przedmiotem mojej troski" (10). Wiadomo jakim gniewem uniósł się Conrad, kiedy krytyk amerykański H.L. Mencken dopatrzył się w jego dziele cech słowiańskich. Jest w jego proteście cały zaciekły anty-panslawizm Polaków. Z literaturą rosyjską nie chce mieć nic wspólnego i stwierdza, że jeżeli czytał kilka powieści rosyjskich to w tłumaczeniu. „Ich mentalność i ich uczuciowość zawsze były dla mnie odrażające, ze względu na dziedziczną skłonność i moje osobiste usposobienie". Ta idiosynkrazja musiałaby być uznana za coś chorobliwego, gdyby wyjaśnienia nie dostarczały niektóre z prac jego ojca.

Na zesłaniu w Wołogdzie Apollo Korzeniowski napisał traktat-pamiętnik „Polska i Rosja" i zdołał przesłać go za granicę. Dziełko jego ukazało się anonimowo w odcinku emigracyjnego dziennika „Ojczyzna" w 1864 roku. Lektura jego prowadzi do wniosku, że nie wyczerpie się kwestii, nazywając jego autora nacjonalistą. Zagadnienie nie sprowadza się tutaj do stosunków pomiędzy dwoma krajami, dotyczy zagrożenia Europy. Korzeniowski przemawia jako „człowiek z pogranicza" świadomy stałego powolnego pochodu Cesarstwa na zachód. Cel swego życia: walkę przeciwko molochowi — uzasadnia zbliżającą się zagładą cywilizacji europejskiej, której dotychczas świadomi są jedynie mieszkańcy pochłoniętych obszarów. Krytyka tego wschodniego organizmu przypomina krytykę przeprowadzoną w tym samym mniej więcej czasie przez Karola Marksa w jego rozprawie o historii dyplomacji rosyjskiej. Istnieją zresztą dane które wskazują, że Marks przejął wiele sądów od emigrantów polskich. Korzeniowski właściwie powtarza to, co wypowiedział również Mickiewicz w kursie literatur słowiańskich. Tylko ton jego jest, jak zawsze, namiętniejszy niż u innych. Oto w skrócie jego wywód:

Tatarskie jarzmo uformowało Moskwę. Jest ona nadal hordą. Wszystko należy do cara, każdy poddany z dnia na dzień może być wydźwignięty na szczyty, albo strącony ze szczytów. Formą rządów są mordy i spiski pałacowe. Car jednoczy w swojej osobie funkcje wodza, prawodawcy i kapłana. Religia jest państwowa i bałwochwalcza, szerzy ona fatalizm i fanatyzm. Rosjanie nie są zdolni do wolności, czują że „od wolności ognia pójdą w dym jak sucha mierzwa" i jako państwo przestaną istnieć.

„Taką jaką jest Moskwa" — pisze Korzeniowski — „pod strachem własnego unicestwienia musi walczyć na zewnątrz. Jakkolwiek Europa długo walki uniknąć może, przyjdzie czas, w którym niepodobna będzie od niej się usunąć; tylko czas ten będzie zarazem wybranym przez Moskwę, zatem mniej korzystnym i Europa w nim połowę ze swej siły utraci".

„Raz na zawsze, z powodu powstania polskiego, niech będzie powiedziano i artykułem wiary dla Europy się stanie, że

(10) Cyt. Ujejski.

w stosunkach z Moskwą, kto choć na chwilę uwierzy jej carom, a choć przelotnie Moskali za ludzi zdolnych do wolności uważać będzie, musi być oszukanym — zatym zwyciężonym".

„Tymczasem zgroza pomyśleć, że barbarzyństwo cielskiem swojem zaległo od Lodowatego morza do Czarnego i znowu ciągnie się od Wisły, aż do oceanu Wielkiego; że ciąży nad 60 milionami ludzi, że może milion wojska postawić, ma flotę, a nade wszystko, że jak domowy złodziej, rozsiada się na rządach europejskich. Rzecz to tak potworna, iż gdyby nie istniała, nikt by nie uwierzył jej możebności".

Według Korzeniowskiego strach przed Rosją jest głównym motorem polityki XIX wieku: „Na Kongresie Wiedeńskim już rządy pozbywszy się strachu przed Napoleonem, człowiekiem przeznaczeń, zadrżały trwogą przed Hosudarstwem, tą maszyną zawziętą zniszczenia". Pokój był słowem, które kryło w sobie szczególną treść: „Europa zmęczona dwudziestoletnią walką, rządy jej gotowe szanować wzajemnie w sobie najstraszliwsze gwałty i zbrodnie, byle nie narazić pokoju na szwank. Hasłem ich: „byle pokój!" Ale myślą skrytą i dręczącą — byle odsunąć od siebie Moskwę". „Pokój jest rzeczą piękną, dobrą i prawdziwą, ale przypuść doń Moskala, a wnet ją w szpetność, w fałsz zamieni".

Błąd, który rozstrzygnąć może o upadku Europy został popełniony wskutek angielskiej polityki równowagi podczas wojny krymskiej. Żeby nie wzmocnić zbytnio Francji, zrezygnowano z oderwania od caratu Polski poprzez poparcie buntu zbrojnego: „Uznanie takim czynem praw narodowości, zadałoby Moskwie cios ostateczny: ileby tam za przykładem Polski podniosło się zgniecionych, a źle, bo tylko przemocą spojonych części, to najlepiej wiedzą sami Moskale. Moskwa zaś, gdyby po wydarciu Polski z jej szpon, pozostała cała, to jeszcze nie na raz jeden, ale na wieczne czasy utraciłaby połowę i to najlepszą swych sił wojskowych, połowę i to najpewniejszą, bo z roli płynących zasobów finansowych, a zupełną cechę europejską, która się na niej trzyma tylko posiadaniem Polski". (Przez Polskę rozumiał Korzeniowski całe terytorium zabrane, a więc i Litwę i Ukrainę).

Tak pisał zesłaniec w mroźne wieczory północnego miasteczka, przy świetle lampy naftowej. Zdania przytoczone pozwalają lepiej zrozumieć, czym był jego ziemski absolut, któremu służył. Obraz ojcowskiej ręki posuwającej się po papierze zatarł się być może w pamięci jego syna, ale musiał on czytać później ten traktat, który zaczyna się od wspomnień o uwięzieniu w Cytadeli. Rosja nie była więc dla niego tylko jednym z krajów.



Zesłanie zniszczyło rodzinę Korzeniowskich. Ostry klimat Wołogdy podkopywał zdrowie Eweliny. Po wielu staraniach

przyszła zgoda policji na wyjazd. Jako nowe miejsce zamieszkania wyznaczono im Czernihów. Tam, w roku 1865 Ewelina umarła. Oznaczało to dla Apolla utratę racji istnienia. Klęska wszystkich nadziei narodowych i osobistych, samotność tym razem nieodwołalna. Starał się nie okazywać po sobie, że jest złamany. ,,Kłamstwo pogody w mojem oku i na mej twarzy'' — pisał do przyjaciela w liście — ,,trwogi moje wszystkie we mnie; do tej pory żadna nie wypełzła na oblicze, bo *moja* patrzy na mnie. Cokolwiek się stanie, pewno będzie wiedzieć, że niepodobna abyśmy się rozłączyli — bo inaczej nie miałbym siły nic przenieść'' (11).

Ale wdowcowi pozostał syn. On odtąd jest jedyną jego więzią z życiem. Ten ojciec który zamykał się w sobie, szalał, zdobywał się z wysiłkiem na uśmiech, jakim był dla niego towarzystwem? Konrad miał już dziewięć lat i ojciec o niego tak w liście z 1866 roku się troszczy: ,,Gdybym mógł własną ręką postawić Konrada na ziemi i pośród zacnych, niewielebym więcej pragnął. To żywe ciało i budzącą się duszę spoić z ciałem naszego społeczeństwa i tam — na cmentarzu obcym leżące prochy zawieźć do rodzinnego, pośmiertnego sioła pomników, a samemu dotknąć stopą swej ziemi, odetchnąć jej powietrzem, spojrzeć w oczy ukochanych i zawołać: Teraz Panie puszczaj sługę twego, bom bardzo strudzony''.

Religijność Korzeniowskiego nie była płytka i obrzędowa. Opierała się na zaprzeczeniu racji wierzenia, pewnym stoicyzmie chrześcijańskim. ,,Wszystko co mię tu otacza — pisze z Czernihowa — każe mi wątpić o wszechmocności bożej, a jednak ja w nią całą ufność kładę i los mego malca na jej opiekę zdaję''.

W pierwszą rocznicę śmierci żony Korzeniowski dostał gruźliczego krwotoku. Ten szczątek ludzki przestał być groźny dla caratu. Zwolniony w 1867 roku otrzymuje paszport na wyjazd z granic Rosji. Przez Ukrainę i Podole, gdzie ma prawo zatrzymać się tylko przez kilka dni, jedzie z synem do Galicji — torturując siebie, że popełnia dezercję bo opuszcza grób żony i usprawiedliwiając się tylko obowiązkiem wobec syna. ,,Głównym celem moim jest wychowanie Konradka nie na żadnego *demokratę, arystokratę, demagoga, republikanina, monarchistę*, — albo na jakiegokolwiek sługę i lokaja którejkolwiek z tych partii a tylko na Polaka''.

Rok spędzają we Lwowie. Tutaj ujawnia się zasadnicza nieakceptacja cechująca Korzeniowskiego. Powraca motyw jego młodości, zapał, który natrafia na brak oddźwięku ze strony ludzi-ślimaków. Ich senność go zdumiewa: ,,Czuć zapomnieli — mówić nie umieją — nic nie czytają. Obyczaj, język, religia niczem u nich!'' Obcować z nimi wydaje mu się teraz rzeczą gorszą niż pobyt w więzieniach. Podniecają go tylko plany literackie. Nosi się z zamiarem zbiorowego wydania dramatów

(11) Wszystkie cytaty dotyczące tego okresu z Buszczyńskiego.

Victora Hugo w swoim przekładzie i przemyśla o powieści: ,,W głowie mi wielka powieść polska o zepsuciu, które na nas z Moskwy spłynęło, przez azjatycki przepych, przez honory biurokratyczne, przez niewiarę szczepioną w wychowaniu publicznym, przez błyskotki cywilizowanego, moskiewskiego, wielkiego świata, nareszcie wejście ich do rodzin''. Elektryzuje go wiadomość, że w Krakowie przygotowuje się nowe pismo ,,Kraj''. Bierze udział w jego założeniu, wkrótce przenosi się do Krakowa.

Gdyby Korzeniowski rozporządzał pieniędzmi, zastosowałby się być może do rad lekarzy, zalecających inny, łagodniejszy klimat, choć wydaje się to raczej wątpliwe: zajmowanie się własną osobą było sprzeczne z jego ascetyczną postawą. Jego gruźlica postępuje szybko i wiosną 1869 roku żadne już plany nie wchodzą w grę. W ostatnich tygodniach życia pozbywa się zwykłej sobie ostrości sądów. ,,Przebaczam ludziom — mówi do przyjaciela; chciałbym żeby ludzie mnie przebaczyli. — Byłem zły, gorzki — bo kochałem. Mam zamiar spalić moje poezye... już też nie wszystkie... bez ciebie tego nie zrobiłbym... ale te które dziś niepotrzebne. Za wiele w nich goryczy''. Kiedy po wyspowiadaniu się i przyjęciu Sakramentów wita odwiedzających przyjaciół, uśmiech jego nie pochodzi z narzuconej sobie dyscypliny. Robi wrażenie człowieka szczęśliwego. ,,Skończyłem wszystko... obrachowałem się z tym światem. Już do niego nie należę''. Umarł 23 maja 1869 roku w Krakowie, przy ulicy Poselskiej 6. Dwunastoletni Konrad został sierotą. Pod opieką krewnych skończy gimnazjum św. Anny.

Czy Apollo Korzeniowski zasłużył na pomnik? Zasłużył, za miłość. I kto wie, czy nie powinienby to być pomnik właśnie w Krakowie, przedstawiający mężczyznę z chłopcem, który wiele ojcu zawdzięczał — przede wszystkim ,,dziedziczną skłonność''.



,,On nigdy nie chciał być pocieszonym'' napisano po śmierci Apolla Korzeniowskiego. ,,On nigdy nie chciał być pocieszonym'' można by było napisać po śmierci Conrada. Przez ciemny obszar czasu, napełniony zgiełkiem zabiegów o pieniądz, bezpieczeństwo i uciechy, przeszli obaj nietknięci kompromisem, surowi dla innych i dla siebie. Romantycy — ale o ileż trudniej niż głosić rozdarcie pomiędzy ideałem i rzeczywistością jest uznać nieuleczalny tragizm zamiarów skazanych na porażkę a nie zatrzymać się na granicy, jaką zakreśla ironia i dandyzm.

Ktoś może zarzucić Apollonowi Korzeniowskiemu, że cel jaki znalazł był wąski, za mało powszechny. Czy jednak ci co rozprawiają o ludzkości nie padają ofiarą abstrakcji? Każdemu jest dany tylko krąg jemu najbliższy, dotykalny — jak dla Conrada pokład okrętu. Podejrzenie, że statek ,,Patna'' w ,,Lordzie Jimie'' (jakby zamazane słowo Patria) symbolizuje ojczyz-

nę, ma wiele cech prawdopodobieństwa. Ojciec pozostał na pokładzie do końca. Dla niego jedyne, co mogło nadać wartość ludziom z jego otoczenia, wyrwać ich z pod wpływów pieniądza, to było przejęcie się losami okrętu, obowiązek marynarza.

Postać ojca wyjaśnia, dlaczego jednym z cięższych przeżyć w życiu Conrada był artykuł Orzeszkowej, oskarżający go o zdradę : zdradą było według niej pisać po angielsku, oddawać swój talent obcej literaturze. Conrad nigdy nie skłonił się do rady stryja Tadeusza Bobrowskiego, który w 1881 roku namawiał go w liście do przysyłania korespondencji ze swoich podróży do prasy krajowej. Stryj chwalił jego polski styl i dowodził : ,,Zacieśniłbyś w ten sposób związki z ojczyzną i byłby to akt pietyzmu wobec pamięci twego ojca, który pragnął służyć i służył piórem swemu krajowi". Jednak Conrad pozostał na swój sposób wierny ,,idei bez jutra". Nie dowodzi obojętności jego memoriał w sprawie Polski złożony w roku 1916 w Foreign Office ani jego list do Sir Hugh Clifford w roku 1919, w którym wyraża sarkastycznie radość, że ani jedno życie angielskie czy francuskie nie zostało w wojnie poświęcone sprawie jego kraju : ,,ciężar zobowiązania byłby zbyt duży".

Zarówno Korzeniowski ojciec jak syn byli całkowicie obcy optymizmowi XIX wieku. Bourgeois zajęty pomnażaniem swego bogactwa, ten co umieszczał nędzarzy w zakładanych przez siebie fabrykach i ze swojej złotej dewizki na brzuchu czerpał wiarę w postęp, był im nienawistny. Ulegał on oczywiście ewolucji. W sztuce ,,Komedia" Apolla Korzeniowskiego występował jako dobrotliwy Prezes, który spacerując po ulicach Odessy obmyślał swoje nikczemne posunięcia. W ,,Jądrze ciemności" Conrada — a zaczyna je opis białych gmachów, siedzib sociétés anonymes w Brukseli — przybrał postać oszalałego pół-Niemca, pół-Anglika Kurza, zdobywającego przy pomocy morderstw kość słoniową w Kongo. Tych szanowanych przez współobywateli opryszków i ojciec i syn mierzyli miarą przyzwoitości i honoru, jaka obowiązuje załogę w jej zmaganiach z mrocznym żywiołem. Dla Apolla Korzeniowskiego załoga nazywała się Narodem, Europą, mroczny żywioł — Rosją. Dla Conrada załoga być może oznaczała ludzkość w walce z przeznaczeniem. Conrad odziedziczył po ojcu zdolność do gniewu, który umiał lepiej niż on maskować i stoickie wspieranie się na czymś, co jest tylko postulowane wysiłkiem woli — a bez czego zagroziłby im, zawsze gotowym uznać bezzasadność nadziei, chaos i rozbicie. Obaj byli fanatykami ,,tenue", wytrwania. I jeżeli rzuci się im oskarżenie, że zabłąkani w wiek handlu i przemysłu ciągle odwoływali się do cnót zagubionych, można przypomnieć, że istnieje wielkość właściwa tylko Don Kichotom.

Czesław MIŁOSZ

Wspomnienie o Ojcu

I

Miło jest kochać ojczyznę czemu jednak zmuszać kogokolwiek by dzielił ze mną to uczucie. Tak samo nie należy narzucać komuś miłości do minionych lat lub do dzieł ludzkiej ręki bliskiej sercu.

Piszę o ojcu moim Jacku Malczewskim, o jego malarstwie, przede wszystkim by zostawić wspomnienia po kimś tak świetnym jako człowiek, tak wielkim i dziwnym jako twórca. Pragnę rozruszać piach frazesów, szablon osądów jakimi zostało pokryte dzieło jego życia. Nikomu nie chcę narzucić moich poglądów tym bardziej, że nie mogę zilustrować twórczości Jacka Malczewskiego reprodukcjami jego obrazów, tych właśnie które chciałbym ukazać oczom czytelników. Dodam jeszcze, że wspomnienia o ojcu siłą rzeczy są wspomnieniami moimi, często tak jakbym ja był celem tej opowieści. Nic podobnego.

W ostatnich latach przed drugą wojną światową powstał w Warszawie zamysł urządzenia wystawy obrazów Jacka Malczewskiego w IPSie. Celem jej miało być pokazanie społeczeństwu malarstwa odmiennego od tego, którym karmiono je od lat. Zamierzano wyłamać się z banału spojrzenia i utartych określeń jego twórczości. Jednym z głównych orędowników zamierzonej wystawy był Felicjan Kowarski, malarz tak inny w podejściu do sztuki niż Jacek Malczewski, czuły jednak na wartości plastyki jak aparat Geigera na złoża uranu.

Dzisiaj z odległości wielu lat, w czasie, w którym uległa zniszczeniu tamta Polska, zielona jak główka sałaty, harda i pyskata, biedna i upojona wolnością, można policzyć ludzi, którym sztuka była naprawdę potrzebna do życia. Dwudziestolecie wolności minęło jak z bicza strzelił, sztuka której w Polsce

włożono chomąto socrealizmu, pomimo wielkich słów odchodzi w nicość. Któż może powiedzieć kiedy było lepiej, czy za czasów Matejki czy Tytusa Czyżewskiego? Kiedy bardziej zajmowano się malarstwem, kiedy kupowano więcej obrazów, uwzględniając oczywiście przyrost ludności i powstanie wolnego państwa, kiedy byliśmy bliżsi wielkiej sztuki itd.

Z olbrzymiego dorobku malarstwa Jacka Malczewskiego wyławiam obrazy nigdy niezapomniane. Istniały i może istnieją pejzaże, wyrażające w sposób jedyny polską ziemię, kompozycje z ducha surrealizmu świetniejsze niż to co stworzono w pół wieku później, portrety o sile rzeźby Verocchia. Trzeba je wydobywać z szuflad niepamięci, zakatalogowane błędnie, nigdy właściwie niewidziane. Nie ma kierunków, jest twórca i naśladowcy. Z chwilą gdy Jacek Malczewski wyzwolił się z objęć epoki w której żył, z sieci kierunków i wskazań narodowych, był już ,,opisany'' i spreparowany piórem krytyków i wielbicieli.

Myślę, że nie trzeba być nadprzyrodzenie mądrym oceniając dzieła sztuki, ani też ciągle tak bardzo ,,współczesnym''. Pokrajany trup nie powie nam kim był za życia. Nie zdradzi czy był kretynem czy Einsteinem. Co najwyżej ujrzymy rzeźnicze arcydzieło, biegłość w wypruwaniu nieżywych flaków z czegoś, co niegdyś spływało gorącą krwią. Jest to jednak sprawa gustu. Właściwie można i tak, tylko po co? Nie wyzwoli się w ten sposób tego jedynego przeżycia, jakim jest objawienie które niesie sztuka. Niewyrażalne, niewyczerpane. Nie godzi się odgradzać od niego algebrą słów. Pokolenie za pokoleniem tworzy swoją sztukę, walczy o jej współczesność, oceniając minione etapy odmiennie niż poprzednie, ,,rewolucyjnie'' w jego oczach. Przestawia ustalone wielkości z półki na półkę, to wyżej, to niżej na swoim Olimpie wartości. Strąca dawne bóstwa w nicość. Czynność tak dobra jak i inna, niczym trzepanie dywanów lub otwieranie okien gdy jest upał i tęsknimy za przeciągiem. Sądzę, że nie należy zubożać zasobów sztuki plastycznej teoriami z rodku totalitarnego. Można w ten sposób sporządzić obrożę gorszą od socrealizmu. Nie wypada palić obrazów w imię ,,wielkości'' prawdziwej sztuki. I tak spłoną one w wojnach, a może dla przyszłych pokoleń okazałyby się kiedyś arcydziełami.

Od najmłodszych lat pamiętam obrazy mojego ojca, te które widziałem w pracowni, na wystawach, w galeriach i domach prywatnych. Potem także w reprodukcjach. W ten sposób przewinęło się na pewno parę tysięcy rysunków, akwarel, olejnych obrazów, portretów. Po śmierci Ojca spotykałem je na wystawach zbiorowych, w muzeach itd. A jednak po wielu latach później dopiero odkryłem mojego Ojca, twórczość jego. Chcę pokazać drogi, którymi wędrowałem przez dziesiątki lat by dojść do źródła nieskażonej niczym radości.

Rosnąc w cieniu twórcy myślałem niegdyś, że to dziwo zwane sztuką jest potrzebne do życia wielu istotom zwanym ludźmi. Z czasem rozwiało się to złudzenie. Przeżycie artystyczne jest tak rzadkie jak religijne. Reszta pogłowia ludzkiego trwa w obrządkach z dala od rdzenia sprawy. Nie znam modlitwy, która by spowodowała spłynięcie na nas łaski przeżycia dzieł jako najwyższej rozkoszy, bezinteresownej, która dana jest człowiekowi. Warto jest pomodlić się o to.

II

POZNANIE

Na próżno usiłuję wyhodować z nasionek pierwszego wspomnienia o Ojcu roślinę, która by zakwitła bujnie. Wyrasta zawsze to samo, nieodrosły z podglebia pęd więdnący szybko. Równocześnie zdaje mi się, że wiem tak wiele o wszystkim innym w owym umarłym dawno świecie. Nie wiem tylko czy to działo się właśnie wtedy czy wcześniej jeszcze. Z najgłębszych pokładów wyłowione wspomnienie jest jakby zbyteczne i nieważne, niechciane.

Pokój długi i ciemny, chociaż dzień panuje za oknem. Ojciec chodzi, potem zaraz nie ma go. Nie wiem jak wygląda, wiem tylko że to mój Ojciec. Zdaje mi się że jestem jeszcze w łóżku. O wiele później stwierdziłem, że działo się to w Krakowie na ulicy Szczepańskiej 1, na drugim piętrze w kamienicy mojej babki, Józefy Gralewskiej, a teściowej mojego Ojca. Czy tam mieszkali rodzice, czy tylko ja — nie wiem. Ale jak wspomniałem to się nie liczy bym wtedy poznał mojego Ojca. Właściwie nastąpiło to w Nowym Sączu w domostwie moich pradziadków, jak się to mówi, po kądzieli. Które jednak wspomnienia wyrwane z samego dna poprzedziły owo spotkanie a ile odnosi się do późniejszych czasów, nie wiem. Więc piec kamyczkowy, bielony, stoję przy stole nakrytym obrusem, talerzyk z dwoma czarnymi sznyclami. Zdaje się że płaczę, tak mnie otrząsa przed jedzeniem. Obok moja siostra, też się buntuje. Kto je nam dał, czy były widelce, czy miałem jeść palcami, czy były zimne, nikt już nigdy nie powie... Stoję w oknie i lepię na szybie wycięte z papieru figurki. Przylepiam śliną. Obok wisi firanka, za oknem chodzą ludzie, naprzeciwko kuźnia, koń uwiązany nie wiem do czego, w głębi kuźni czerwony żar i dźwięk kutej młotem podkowy. I nie wiem już czy szereg topól włoskich wzdłuż dróżki, prowadzącej od kuźni w głąb ku domowi pana Buczery, kowala, utkwił mi wówczas w pamięci, czy wiem o nich z obrazu mojego Ojca, który wisiał u pradziadków. Wiem, że rodzice przyjechali. Pewno z Krakowa. Ważne że przez Chabówkę a nie Tarnów. Dlaczego ważne, nie wiem. Rodzice wieźli dla nas klatkę z ptakami. Pośmieciuchy, szczygły,

czyże, makolągwy, sikory. Tak nam powiedziano, bo nigdy nie ujrzeliśmy tych ptaszków. Z jakiegoś powodu otwarły się drzwiczki od klatki i ptaki rozleciały się po przedziale. Ojciec otwarł okno i przegnał je do pola. Podobno siadały na głowach pasażerów, paskudziły koronkowe narzutki z dwugłowym orłem nakrywające czerwony plusz przedziału pierwszej klasy cesarsko-królewskiej kolei żelaznej. Mój Ojciec nie znosił takich niespodzianek zwłaszcza w pociągu. W przeciwieństwie do mnie Ojciec nie lubił kolei żelaznej. Wtedy może nie tak bardzo jeszcze jak później, gdy każdy wyjazd koleją denerwował go piekielnie. Nie miał żadnych tajemnych związków uczuciowych z tym systemem lokomocji, które prześladowały mnie przez całe życie. Wiem, że Ojciec był dłużej, ale gdzie mieszkał nie pamiętam. Czy w kamienicy, czy w złączonym z nią małym domku? Wiem, że miał wąsy i brodę i cieszył się nami bardzo. Czy malował, dlaczego rodzice wówczas przyjechali, może były jakie święta? Potem już nie ma miejsca dla Ojca. Jeździmy z babką (naraz jest także babka) końmi wynajętymi od pana Buczery na spacer. Do Tęgoborzy na Wysokie, do Starego Sącza. Tam właśnie szewc mieszkający przy klasztorze Klarysek bierze mi miarę na trzewiki mysiego koloru. Przed mostem na Popradzie płaci się kopytkowe, kiedyś zboczyliśmy do Dąbrówki, małej wsi gdzie we wspólnym grobowcu spoczną moi pradziadkowie, potem moja babka. Wtedy jednak cały świat żyje, nie wie o śmierci. Zabity kret, leżący w trawie, jest czymś także żywym jak i zdeptany chrabąszcz lub wdeptana w ciepły miał ścieżki mrówka, której nogi poruszają się wolniutko, coraz wolniej. Wiem, że mieszkałem w kamienicy obok domku wyżej wspomnianego. W małym domku mieszkali pradziadkowie. Drzwi były przebite między obiema „posesjami". Ogród położony na tyłach obu domów był dla mnie czymś większym niż dzisiaj Europa. Obsadzony jarzynami i owocowymi drzewami, pełen zielonych gęstwin, ścieżek biegnących w cieniu gąszczów ciemnofiołkowych, śliskich z otworkami obdzierganymi szlaczkiem ziemi wykopanej przez dżdżownice lub mrówki. Ogród biegł ku błękitnej przestrzeni. W pewnej chwili leciał w dół ku linii kolejowej, biegnącej koliście u stóp pogórza, na którym stoi Nowy Sącz. Tam na samym dole był stary parkan i kępy pokrzyw. Zbocze porastały śliwy i czereśniowe drzewa o owocu ciemnym prawie czarnym. Poza linią kolejową ciągnęły się Wólki aż po wikliny Dunajca. Dalej było już niebiesko i ogromnie daleko. W dnie czyste, co tylko obmyte deszczem, wyrastał w głębi poza zwykłym granatowym pogórzem lazurowy parawanik. Były to Tatry, jak mi powiedziano. Bliżej błyszczał blaszany dach kościoła w Podegrodziu. Na zboczu wytryskało źródełko. Woda z tego źródełka spływała rynną obrosłą zieleniną do beczki wkopanej w ziemię. Pradziadek cenił sobie bardzo tę wodę. Miała być lecznicza. Tak samo zresztą woda ze studni w podwórcu posiadała, według moich pradziadków, lecznicze własności. Śmier-

działa siarkowodorem, jak mi później powiedziano, zwłaszcza po zlewach.

Nie wiedziałem że Ojciec mój jest malarzem. A może wiedziałem? Pamiętam na ścianie w saloniku pradziadków małe obrazki malowane olejno. Jeden przedstawiał mojego pradziadka. Siedział na ławce na końcu górnego ogrodu. Panowała pogoda, miał kapelusz na głowie, a może na ławce. Kapelusz był popielaty z jaśniejszą wstążką dookoła. Wielki pies leżał obok stóp pradziadka ubranych w sztyblety do wciągania. Miał laskę, okulary na nosie i w ręku krakowski „Czas". Nad nim rosło drzewo kasztana ale to już raczej wiadomość z doświadczenia ponieważ tam właśnie zbierałem kasztany wyłupane z białych obsłon. Drugi obraz, także malutki, przedstawiał ogród właśnie ten tak zrosły z moim dzieciństwem. Stały słoneczniki, dalej parkan i granatowe góry. Był poranek w obrazku i radość że może być tak świeżo i zielono. Nie było tam Tatr, ale było bardzo głęboko, niedzielnie. Nie zajmowało mnie wtedy skąd się to wzięło. Tak samo portret prababki w czepku, w głębi owe topole i niebo pełne wesołych chmur. Byłem wciąż z dala od Ojca, z dala od jego malarstwa, całą duszą w owym ogrodzie.

Pamiętam jak pradziadek robił ocet z węgla drzewnego. Jak kapało z beczułki stojącej w tamtej drugiej kuchni (nie kamienicznej gdzie ja przynależałem), gdzie był sąsiek pełny mąki. Przezroczysty płyn miał być octem. Poza tym pradziadek miał długą tykę opatrzoną maszynką do zrywania jabłek z drzewa, którego owoce uważał za skarb. Lepiej było nie zbliżać się do tej jabłoni.

Kiedyś wtedy pojawił się w naszym życiu kuc. Był na stajni u pana Buczery z przeciwka. Moja matka jeździła wózeczkiem zaprzężonym w tego kuca. Wiem, że był naszą własnością o czym przekonałem się dokładnie. Czy pojawił się wtedy, kiedy Ojciec nie dowiózł nam owych ptaszków czy później, któż może wiedzieć. Wiem tylko że i on, tak jak i ja, przeniósł się na Zwierzyniec, wieś pod Krakowem, do willi „Pod Matką Boską", którą rodzice zamieszkali kiedy Churchill dostał się do niewoli boerskiej. Kuc był zły, wierzgał i lubił gryźć.

I już więcej nie pamiętam Ojca w Nowym Sączu. Raczej pamiętam lat wiele później, chyba tuż przed pierwszą wojną, kiedy przybył na pogrzeb swojej teściowej. Bywałem w Nowym Sączu często, szczególnie w latach młodości. Znałem ów pejzaż, piękny bardzo, który otaczał wzgórze na którym stało miasto. Nigdy nie pojawił się w tłach kompozycji Jacka Malczewskiego ani w tłach portretów. Istniały tylko pejzaże malowane z natury, portrecisko familijne z nowosądeckim tłem, nigdy jednak w tym co Ojciec uważał za swoją istotną twórczość.

Tymczasem działy się rzeczy dziwne i straszne. Mówiono że przyjechał KAT! Skąd, nikt nie zdradził, albo nie wiedziano, lub może nie wypadało mówić. Chłopi buntowali się w okolicy, mordowali Żydów w powiecie. Mówiono że ksiądz Stojałowski

szerzy anarchię. Nie wiem czy sama bytność kata w mieście miała uspokoić ruchawkę? Czy może zjechał jaki sąd doraźny, wprowadzono sądy wojenne czy jak? A może kat miał wieszać ludzi według swego wyboru i upodobania?...

Nie trudno byłoby dla historyka lub amatora grzebania w bibliotekach znaleźć przyczynki do tego rodzaju wspomnień. Tomy można by pisać o tym. Kiedyś przed przeniesieniem mnie na Zwierzyniec pod Krakowem, ujrzałem w nocy moją matkę z siną i zapuchłą straszliwie twarzą. Późny wieczór, weszła do pokoju, stanęła pod wiszącą naftową lampą. Zbłocona suknia omiatająca szczoteczką podłogę. Pokaleczone ręce. Powiedziano mi potem że powożąc kucem wpadła w przykopę i potłukła się bardzo. Później widziałem ładną fotografię. Siedzę na wózku, trzymam w ręce bat i lejce, boczkiem stoi gruby jak beczka kuc, strzyże uszami. To pewno z tych czasów. Jakiś taki mały byłem nawet w małym wózku. Później, na Zwierzyńcu, Ojciec mój wymalował na metrowej szarej tekturze olejno mnie i kuca, koguta z gołą szyją i dwa psy podwórzowe. Ale to już inny rozdział.

III

WISŁA I BIAŁODRZEWY

Przywieziono mnie na Zwierzyniec z dalekiego Sącza w sposób nieznany. Zapewne odbyło się to koleją, raczej jednak przybyłem latającym dywanikiem by spaść w krainę czarów. Kuc przybył przede mną i stał w stajni. Rodzice mieszkali nad Wisłą w willi „Pod Matką Boską". Tam ich ujrzałem po raz pierwszy naprawdę.

Było wiele przedmieść, wtedy raczej gmin opasujących królewskie miasto Kraków. Wiele o przedziwnych nazwach jak: Pędzichów, Dajwór, Krowodrza, Grzegórzki, Kawiory, Czarna Wieś, Prądnik, Dębniki i najważniejsze w świecie Zwierzyniec. By dojść do Zwierzyńca-wsi z krakowskiego rynku trzeba było pójść ulicą Wiślną, minąć planty i drukarnię Anczyca, Zwierzyniecką, przekroczyć most na Rudawie, minąć rogatkę położoną obok mostu dębnickiego i wejść do fantastycznie nazwanego Półwsia Zwierzynieckiego. Jest to jedyne Półwsie jakie znam na świecie, jeżeli chodzi o oficjalną nazwę. Jakiś geniusz kompromisu (zapewne ze szkoły Stańczyków) wymyślił tę nazwę. Ciągnęło się to wzdłuż lewego brzegu Wisły. Po pewnym czasie ulica zamieniała się w drogę, która omijała na skalistym wybrzeżu rzeki stary klasztor Norbertanek i dochodziła do miejsca gdzie cesarski gościniec poczynał się piąć na wzgórze biegnąc ku wsi Zwierzyniec i dalej ku Przegorzałom, Bielanom, Liszkom i Czernichowu. Na prawo w owym miejscu odchodziła odnoga, dźwigająca się w stronę Kopca Kościuszki, druga — idąca na Wolę Justowską. Gdy gościniec przekroczył najwyższe

wzniesienie (może 10 metrów) i turysta ujrzał Wisłę na nowo, to schodząc cokolwiek niżej zobaczył po prawej ręce na wysokim tarasie piętrową willę, przed którą w ogródku stała biało-niebieska figura Matki Boskiej. Trzy olbrzymie białodrzewy trzymały straż nad domem i ogrodem. Tam właśnie minęło moje oczadziałe szczęściem dzieciństwo. Mój Ojciec zaś przeżył szczytowe lata twórczości, powodzenia i zmagań, i zmagań z samym sobą. Dlatego też pragnę opisać dokładnie jak to wszystko wyglądało.

Opiszę ów świat oglądany oczami dziecka, pomnożony o zjawę zaczerpniętą z obrazów mojego Ojca. Nie wiem doprawdy gdzie kończy się moja dziecinna prawda a wchodzi tamto. Więc krajobrazy znad Wisły i jej brzegów, ogród, białodrzewy, podwórzec, domki sąsiadów, wyspa na rzece, ruń na zoranym polu, ciągnącym się aż do stóp Kopca Kościuszki, klasztor, stada wróbli obsiadujące krzaki. Chcąc wejść na obejście willi „Pod Matką Boską" należało pociągnąć za dzwonek ukryty w jednym ze słupów podtrzymujących żelazną bramę. Zanim ktokolwiek z domowników zbiegł by otworzyć wrota, rwały do bramy dwa psy, czarny seter-Murzyn i niezbyt urodziwy dog-Nero. Wyskakiwały ogarnięte szewską pasją na bramę i szczekały trwożąc przybysza. Potem wracały do budy spełniwszy obowiązek! Gość musiał od razu wspiąć się do góry po wygładzonych kocich łbach by znaleźć się w górnej partii podwórca. Mijało się studnię i po paru schodkach można było wkroczyć do domu. Było parę innych wejść. Na przykład mniej oficjalne przez oszkloną werandę w lecie obrosłą dzikim winem lub tylne, dajmy na to prowadzące do łazienki i oranżerii. Z podwórca można było pójść do ogrodu idąc schodami w górę, przedtem otworzywszy furtkę. Ogród wznosił się terasami wyżej i wyżej aż w pewnym miejscu rozszerzał się znacznie i stawał się prawie płaski. Aż potem znowu biegł w górę, i to ostro, po czym wcinał się w uprawne pola Norbertanek trójkątem podchodzącym prawie do drogi, wysadzanej kasztanami idącej na Kopiec Kościuszki. Ogród — radość, ogród — wieczna pogoda i wiosna. Nabój zapachów wabiących motyle — zmierzchnice, huczące jak odrzutowce. Na małej przestrzeni (dla mnie nieogarnionej) rosły byliny, krzewy, drzewa, co tylko mogło istnieć w takim zwierzynieckim raju. Pachniały bzy (moc odmian) jaśminy, sypał się złoty deszcz, nienazwane krzaki kwitły różowo, nocami kaprifolium wołało głuchą i namiętną wonią cichutko lądujące na kwiatach ćmy, puszyste, białe i ciemne. Wiosną spadały z białodrzewów kotki niczym małe angory. Siadały miękko na młodą trawę, kamienie podwórza, grządki jarzyn, schody, na dach willi, szosę przebiegającą poniżej i rolę buroczerwoną poza płotem ogradzającym posesję. Latem, gdy powiał wiatr i poodwracał ciemnozielone liście naszych opiekunów szumiały jasnym srebrem.

Po naszej stronie szosy stały małe domki zupełnie jeszcze

przedmiejskie chociaż to było na Zwierzyńcu-wsi o czym świadczył niedaleki zamożny folwark, należący do Sióstr Norbertanek. Domki były ubogie, zamieszkałe przez rękodzielników, murarzy (z krakowska mularzy), rybaków, rzezimiechów. W ogóle fajny naród. O jakieś pięćset metrów od nas stała druga willa „Dom Pod Lipkami''. Pod owym starodrzewiem lipowym siadywał Książę Józef Poniatowski, wierny przysiędze, w drodze do Elstery .Willa była taka sobie, ale drzewa nader piękne. Ogród nie równał się z naszym. Zresztą nigdzie na świecie nie było takiego.

W naszym ogrodzie Ojciec uczył mnie poznawać ćmy i motyle, różne żuczki, chrząszcze. Śledziłem jak krety ukazują swe aksamitne ciałka, zielone żaby przepowiadają pogodę siedząc w gąszczu drzew.

Jacek Malczewski kochał przyrodę, widzialny świat, stworzenia boskie i był ciekawy wszystkiego co się w nim dzieje. Oczywiście ogrodnik sadził i ciął kwiaty w ogrodzie, takie które zwabiały owadzi świat z motylami na czele. Bo jeżeli chodziło o kwiaty Ojciec lubił właściwie tylko polne. Lubił ptaki i znał ich zwyczaje, mniej sympatii miał dla czworonogów, ssawców. Dzisiaj wiem, że zamiłowanie do przyrody zaszczepił w Ojcu jego długoletni nauczyciel Adolf Dygasiński, autor „Godów Życia''. Ojciec wspominał go często, namalował jego portrecik z pamięci w roku 1905 : jest zima, ptaszki skaczą po śniegu u stóp byłego nauczyciela.

Aż do końca życia Ojciec nie stracił przyrodniczych zaciekawień. Nawet wtedy gdy Ojcu ciężko było chodzić, wybierał się ze mną nad Dunajec, cieszył się każdą mewką zrywającą się z wiklin nadbrzeżnych, każdym motylem, wylatującym krzywym lotem ponad wody szumiącej rzeki. Toteż w owych zwierzynieckich czasach mnóstwo stworzeń żyło u nas w domu. Kilkadziesiąt naszych pospolitych ptaków zimowało w oranżerii pełnej gałęzi i krzewów tak, by ptakom było wygodnie mieszkać. Przez parę lat gościła u nas sowa, latająca cichutko nocą od pokoju do pokoju, wbite pod szafami spały węże, które zniknęły jesienią i moje poszukiwania za nimi szły na marne. Na strychu, nad wozownią a później nad pracownią Ojca, gnieździło się coraz liczniejsze społeczeństwo gołębi. Sąsiedzi za pomocą sposobów znanych każdemu gołębiarzowi kradli nam gołębie. Często jednak taki porwany purcel czy grzywacz wracał przyprowadzając całą rodzinę tak, że stado rozmnożyło się wspaniale i gdyby nie Murzyn, podwórzowy seter, który wcinał z zapałem gołębie jaja, byłbym się załamał pod ciężarem obowiązków karmienia tych zgryźliwych wątrobiarzy, urodzonych firerków, niesłusznie zwanych gołębiami.

Poprzez całą twórczość Jacka Malczewskiego, na setkach obrazów, będą się pojawiać motyle, pasikoniki, ptaki jak gile, pośmieciuchy, skowronki. (Ostatnia kompozycja Ojca : św. Agnieszka ze skowronkami malowana w roku 1920-1921). Pasiko-

nik w mitologii greckiej oznacza nieśmiertelność, może Ojciec umieszczając to śliczne stworzenie w swoich obrazach miał ów symbol na myśli, może jednak pasja odtworzenia urody tego zielonego nad wyraz skrzypka kierowała wyborem Ojca. Tak samo owe ćmy i motyle, w iluż obrazach cisną się one na pierwszy plan, mają swoje odrębne życie, tajemne, owadzie, uzupełniające czary dziwności całej kompozycji.

Jacek Malczewski nie malował nigdy ryb na talerzu. Parę razy młody Tobiasz niesie rybę, której żółć ma uleczyć jego ojca ze ślepoty. Ciekawe jak często ów temat Tobiasza, aniołów i ryby się powtarza.

W ogrodzie poznałem się z niektórymi modelami Ojca. Z tymi właśnie, którzy przychodzili kraść czereśnie, jesienią gruszki. Była to młodzież zwierzyniecka, żadne tam zawodowe modele jak, do pewnego stopnia, miedzianowłosa, zielonooka dziewczyna z Przegorzał albo Helcia czy Stanisław lub wspaniały Wójcicki, któremu należy się osobny rozdział. Nazywali się Październiki. Nie pamiętam ilu było chłopców, wiem że była jedna dziewczynka, pozowała do tej biedulі siedzącej obok wiadra w jednym czy paru obrazach z serii ,,Zatrutej Studni''.. Byli to mili chłopcy, wyłamywali deskę w parkanie i pojawiali się w ogrodzie. Bawiliśmy się cicho, by nikt z domu nas nie zobaczył. Po czym familia Październików obżerała się owocami wprost z drzewa i hajda z powrotem przez dziurę. Ojciec nie bardzo lubił te czułości, wyłamywania parkanu, niszczenia drzew. Toteż wizyty ustały. Październiki obrażone tłukły się do bramy gdy ja byłem w pobliżu i gdy tylko podbiegłem bliżej, ryczały : Rafał, zielona żabo ! Byłem wściekły, knułem zemstę. Kiedyś, gdy rodziców nie było w domu zwabiłem całą paczkę i zamknąłem, używając jakiegoś chytrego manewru, w ubikacji do wychodzenia na dwór w mieszkaniu. Po czym wyniosłem się na dwór do ogrodu. Październiki ze strachu siedziały cicho. Po paru godzinach, po powrocie rodziców do domu, zaczęła się awantura. Paru Październików służyło za modela do młodego Tobiasza i innych kompozycji malowanych w latach 1900, 1905-1906. Październikówna razem z Wójcickim pozowała do ,,Mojej Pieśni'' malowanej w roku 1904-ym.

W owych szczęśliwych latach dzieciństwa wydywałem sławnych Polaków, przyjeżdżających do Ojca. Mówiono mi potem, że ten mały pan o żółto-zielonej cerze, który przeszedł przez ogród, to Henryk Sienkiewicz. Wiedziałem co to za facet bo właśnie Ojciec czytywał mnie i mojej siostrze skrócone dla młodzieży wydanie Trylogii. Czytywał i rysował sceny i postacie z ,,Ogniem i Mieczem'', Zagłobę, małego rycerza, Wiśniowieckiego, Bohuna, Helenę. Z czasem rysunki te wzięła moja siostra, jej dzieci miały je w swojej biblioteczce. Nie wiem czy przetrwały ostatnie ,,uwolnienie'' Polski.

Pamiętam Paderewskiego jak przyjeżdżał dorożką do pracowni mojego Ojca. Wiem, że Ojciec miał malować wiele obra-

zów dla niego. Skończyło się zakupem tryptyku, który był w Morges do przed-wojny. Pojawiał się Metropolita Szeptycki duży i przyjemny ksiądz i pan. Z czasem, z majątków arcybiskupstwa grecko-katolickiego, zaczęły przychodzić limbowe deski parometrowej powierzchni. Wiem że Ojciec miał malować szereg wielkich kompozycji religijnych dla Szeptyckiego. Została się tylko jedna, wielki Tobiasz z aniołami, który przez lata wisiał w salonie rodziców.

Oczywiście, że nie mogłem widzieć wszystkich, którzy przychodzili do pracowni Ojca. Państwa Reymontów pamiętam doskonale ponieważ zaczęli bywać u rodziców w domu. Pani była ładna, jasna, różowa blondynka, jego mniej pamiętam, chyba takim jaki jest na portrecie, z cwikierem na nosie, za nim krzak w którym hula zgraja wróbli, w tyle stodoły. Nawiasem mówiąc, zdaje mi się że są to zabudowania dworskie, choć Reymont już był autorem ,,Chłopów'' i jako takiego, myślę, że chciał go Ojciec przedstawić. Rzadko jednak Jacek Malczewski malował wieś od strony małorolnego, nawet kmiecia czy jak to się dzisiaj mówi kułaka. Wiejskie chaty pojawiają się co najwyżej blisko już horyzontu w głębiach kompozycji.

Zdarzało się nieraz, że ktoś opuszczał pracownię Ojca i szedł do ogrodu. Było osobne wyjście po schodkach — siadał na ławce, grzał się w słońcu, czekał by ktoś inny załatwił swoją sprawę i się wyniósł. Często modelka okrywszy się czym tam miała szła do ogródka, by ustąpić miejsca jakiemuś gościowi nienawykłemu do golizny. W przedpołudniowych godzinach nie zbliżałem się do owych schodków prowadzących na małe podwórko przed drzwiami pracowni. Ileż kompozycji Ojca powstało na tym podwórku, które było zacienione ścianą pracowni i zielonym dachem białodrzewu. Dwa razy zamieszkiwaliśmy ową willę ,,Pod Matką Boską''. Wyprowadzając się po raz pierwszy byłem na dnie rozpaczy. Zdaje mi się że po półtora roku mieszkania w tym paskudnym mieście zwanym Krakowem wróciliśmy znowu na wieś Zwierzyniec do tej samej willi ,,Pod Matką Boską''. Teraz jednak Ojciec miał świeżo wybudowaną pracownię, przestał być profesorem w Akademii Sztuk Pięknych, kuca zastąpiły konie, wózek powóz. Nastały lepsze czasy w życiu i twórczości mojego Ojca. Lata powodzenia, dużych zarobków, rozwoju coraz bardziej własnej sztuki i wolności o ile taka istnieje dla człowieka o czułym sercu, wrażliwym, wiernym malarskiemu rzemiosłu.

(dokończenie nastąpi)

Rafał MALCZEWSKI

Siódma

Pierwsze podmuchy ciepłego powietrza, jeszcze rzadkie ale już mocne, ulatywały z rozgrzanych w słońcu dachów i spychane ku ziemi płazowaniem wiatru wpadały w ulice. Roztrącały zimowy chłód wypełzający z grubych murów kamienic, wyszarpywały zatęchłe zimno z bram i okienek piwnicznych, rzucały się w ciemne podwórka topiąc tu resztki brudnego lodu. Potem ulatywały w górę, rozhuśtywały nagie gałęzie drzew i tłukły się wzdłuż ścian, bębniły po okiennicach i świstały w dziurawych rynnach. Białe chmury na bladym błękicie nieba porozciągały się w długie i nastroszone pasma. Wiatr głaskał miasto pod włos, uskakiwał za węgły, przyczajał się by za chwilę znowu wyskoczyć i wszystko rozmierzwić.

Karol Sauczey szedł bulwarem i wdychał głęboko każdy z tych powiewów paryskiego przedwiośnia; szedł powoli, tak jak chodzi się zwykle w sobotę popołudniu. Wydaje się wtedy, że niedziela będzie wieczna a poniedziałek nigdy nie nadejdzie. Gdy uderzał silniejszy podmuch, Sauczey przystawał, odchylał lekko głowę w tył i zamykał oczy. Dotykał wiatru powiekami i łapał go na górną wargę badając uważnie temperaturę. Ostrożnie i z namysłem przełykał jedno uderzenie po drugim; mogło się wydawać, że ktoś karmi go łyżeczką a on poddaje się temu z pieszczotliwą uległością.

,,Pachnie wiosną''. Ta myśl przybrała postać pełnych słów i biegła wyraźnie ponad innymi snującymi się bezładnie i bezkształtnie. Było mu dobrze i uczucie błogości dominowało w nim ponad wszystkim. Stan ten był jednym z najlepiej przestudiowanych w jego psychice i wyłączanie się z linij wyższych napięć udawała mu się zwykle najlepiej. On sam określał to w ten sposób i było to jedno z jego ulubionych sformułowań technicznych. Twierdził, że za pomocą przykładów zaczerpniętych z techniki lub mechaniki najłatwiej jest wytłumaczyć pewne zawiłe problemy filozoficzne lub psychologiczne. W dzień urodzin lubił mówić do siebie półgłosem: ,,Tak, tak — życie podlega także

prawu przyspieszenia ziemskiego. Gamma pół razy czas do kwadratu. Czym bliżej śmierci tym szybciej leci".

Teraz nie myślał o tym w ogóle i twierdził, że myśli o śmierci i bawienie się nimi są w gruncie rzeczy wulgarną rozrywką, a niezawodną oznaką ,,chamienia epok" (jak to określał) jest upowszechnienie i lekceważenie tej wielkiej niewiadomej. Śmierć to problem dla wybranych, to tajemnicze równania dla wielkich matematyków. ,,Nie jest dobrze gdy mięso wołowe jest droższe od ludzkiego" — powiedział raz swojemu rzeźnikowi kupując niedzielny, kartkowy kotlet. Rzeźnik, chudy Francuz, śmiał się długo i od dwóch lat witał go zawsze tym jego powiedzonkiem. Sauczey krzywił się pobłażliwie lecz odczuwał przyjemność. Jedna z jego myśli nie poszła na marne. Intelekt, właściwy kąt spojrzenia, są w końcu tym co liczy się zawsze, nawet w tym świecie głupiej wojny. Trzeba je zachować i — jak mawiał — przechować gorące w termosie. Jego termosem był gruby notatnik z wykaligrafowanym na pierwszej stronie napisem ,,Myśli", w którym zapisywał wszystkie spostrzeżenia stylem krótkim i czujnym. Marzył że kiedyś wyda je w małym tomiku.

Idąc zatrzymywał się przed wystawami, oglądał dokładnie rozłożone za szybą przedmioty. Lubił szczególnie skórzaną galanterię ale teraz, w czwartym roku wojny, w sklepach było więcej imitacyj niż prawdziwej skóry. Radioodbiornikom poświęcił dłuższą chwilę i przypatrywał się im ze znawstwem. Amatorstwo dało mu do rąk fach, z którego utrzymywał się pracując jako radiotechnik lecz fach nie zabił w nim zamiłowania do majsterki w wolnych chwilach. Obok muzyki, radio stanowiło jego warownię. Zresztą te dwa zamiłowania łączyły się ściśle ze sobą i dopiero w ich obrębie Sauczey czuł się naprawdę sobą, a nawet więcej : imponował Sauczeyowi powszedniemu, temu co wstawał rano, szedł do pracy i zarabiał na utrzymanie i zachcianki tamtego. Gdy wieczorem rozkładał na pulpicie partyturę jakiejś opery lub symfonii i słuchał jej przy dwunastolampowym odbiorniku własnej konstrukcji dyrygując orkiestrą, przypatrywał się sobie z przyjemnością. Tych dwóch rzeczy strzegł pieczołowicie przed światem.

Pochylając się aby lepiej oglądnąć jakiś nowy model pokojowej anteny powiedział półgłosem do siebie : ,,Jeszcze jedno oszustwo dla naiwnych" i uśmiechnął się sceptycznie. Wiatr dalej przewalał się po bulwarze i obłoki, dotąd nieruchome, ruszyły nagle z miejsca przysłaniając chwilami słońce. Ich cień nasuwał się na kamienice i biegł szybko po pustej jezdni goniony z tyłu przez plamę światła. Gdzieś podleciało kilka papierów i przefrunęło ponad ulicą. Gdy furkot wiatru i trzaskanie okiennic cichły na chwilę, słychać było miarowe bębnienie dolatujące z małego placyku pod jakimś pomnikiem. Sauczey spojrzał w tamtą stronę i zaśmiał się z zadowoleniem. Teraz nie miał już żadnych wątpliwości że wiosna nadchodziła naprawdę. Bębnili o niej uliczni akrobaci otoczeni grupą gapiów.

Podszedł w tamtą stronę i stanął z boku aby nie mieszać się z tłumem. Na asfalcie leżał postrzępiony koc i dwie dziewczyny przeginały się na nim w tył. Przy każdym przegięciu kości biodrowe wyskakiwały z ich chudych ciał na wierzch i rozpychały krótkie spodenki a pod brudnymi koszulkami z trykotu ginęły rozciągnięte piersi. Tylko żebra rysowały się łagodnie jak fałdy na pralce. Ich ojciec bębnił i głośno opowiadał o wyczynach żony i syna, które miały nastąpić po zebraniu odpowiedniej i nieokreślonej sumy rzucanych monet. Mrugał porozumiewawczo do tłumu.

Sauczey obserwował widzów i utwierdzał się w swoich sądach o łatwowierności ludu. Kilka zręcznych słów i białe, aluminiowe monety zaczęły gęsto spadać na koc lub toczyć się po asfalcie. Cała piątka akrobatów przydeptywała je z udaną obojętnością aby nie toczyły się dalej. W ruchach ludzi rzucających je była ta sama udana obojętność i Sauczey zastanawiał się w jakim stopniu były one wyrazem obopólnej pogardy. ,,Nareszcie i oni mogą kimś gardzić, być panami i ciskać pieniądzmi. Rzucają bardziej dla samej przyjemności ciśnięcia monety niż dla tych tam'' — myślał i odsunął się od jakiegoś drelichu śmierdzącego potem, winem i opiłkami żelaza. Nie zrobił tego ze wstrętem bo był na to za dobrze wychowany. Ten drelich był dla niego tym czym resztka łupki w jajku na miękko lub odprysk muszli w otwartej ostrydze: zjawiskiem zrozumiałym i koniecznym w życiu, którego jednak wcale nie musiało się przełykać razem. Ludzie jego pokroju odkładali to dyskretnie na bok.

Sauczey wyciągnął papierosa i pochylił się przysłaniając jedną ręką zapalniczkę ale automat krzesał tylko iskry i nie chciał zapalić. Zniecierpliwiony, postukał w ramię stojącego przed nim człowieka i poprosił o ogień. Zasmolona ręka sięgnęła do kieszeni, wyjęła coś wielkiego, zapaliła na otwartym powietrzu i podała mu wstecz kopcącą pochodnię. Sauczey odpalił i podziękował, tamten nawet nie oglądnął się. ,,Że też te *ich* zapalniczki zawsze działają''. Zauważył to już wielokrotnie i obiecywał sobie przemyśleć kiedyś to zjawisko do głębi. Od dawna podejrzewał, że coś z tego kryje się w niepokojącej sile i popularności bolszewizmu.

Teraz miał nastąpić główny punkt programu. Chłopak, dotąd bezczynny, ustawił cztery butelki od szampana szyjkami w dół i na tym chwiejnym fundamencie umieszczał drewniany taburet. ,,Sześć taburetów na flaszkach i dopiero tam w górze, pod dachami, ten młodzieniec pokaże wam co potrafi'' — ciskał się stary wybijając długie werble na bębnie. Ludzie uśmiechali się z uznaniem. Słońce opadło niżej i kryte blachą dachy zaczęły ostro lśnić. Cień kamienic pokrył placyk i powiało chłodem. Chłopak zbudował wieżę z taburetów i ostrożnie prostował się w górze mrużąc oczy od blasku. Potem pochylił się i wolno stawał na rękach. Wszyscy wpatrywali się teraz w jego wyprężone

i drgające nieznacznie nogi, w ledwo dostrzegalne chybotanie się spiętrzonych taburetów.

Sauczey palił papierosa i obserwował z uwagą i z lubością. Za młodych lat i on stawał świetnie na rękach, ,,wyciągał'' stanie na poręczy balkonu na trzecim piętrze. W drobnym ułamku sekundy przewinęły mu się w głowie jakby symbole wspomnień i zsumowały błyskawicznie. Kiwa się po nich melancholijnie głową. Lwowski ,,Sokół'', matura, terezjańska akademia wojskowa, armia austriacka i wojna, ta prawdziwa na włoskim froncie. Potem wojsko polskie i bolszewicka zabawa w Indian — ,,polnischer Indianerspiel'' jak to zawsze nazywał. Zapatrzony w górę zapomniał o papierosie. Nie odrywał wzroku od postaci chłopca, która już trzeci raz kurczyła się i prostowała z wysiłkiem. Sauczey czuł w rękach i w ramionach prężenie się mięśni, rozkoszował się nim jak wtedy. Widział pod balkonem na Akademickiej jak ludzie gromadzili się, pokazywali palcami i wypatrywał przekrwionymi oczami policjanta. *To* były czasy, *to* była Europa. A potem nagle Polska, niepodległa ojczyzna. Uśmiechnął się wewnątrz z sarkazmem. Pipidówka o pretensjach stolicy, plemię z ambicjami narodu i mocarstwa. W pełni sił przeniesiono go w stan spoczynku bo był ,,z austriackiej armii''. Później obcięli nawet tę nędzną amerytuę, bezprawnie, po złodziejsku. Dusił się w jakimś żydowskim domu bankowym w Krakowie i nie mogąc znieść tubylczego błazeństwa, wyjechał do Francji. Dopiero na ,,Gare du Nord'' poczuł się znowu człowiekiem, rozpoznał dawny zapach Europy. W nędznym pokoiku przy rue de la Roquette zwinął się w kłębek z rozkoszą i żył. Żył tak od trzynastu lat.

Rodzina akrobatów trzepała i zwijała koc, ładowała na ręczny wózek taburety i flaszki. Ojciec z matką liczyli pieniądze ustawiając je na ziemi w jednakowych kupkach i kłócili się zajadle z synem, który żądał od razu swojej części. Ulica znowu opustoszała.

Wyciągnął z kieszeni złoty zegarek, otworzył kopertę, spojrzał i delikatnie zamknął. Miał jeszcze pół godziny. ,,Madame Delphine-Massages'' otwierała o trzeciej. Była to jego godzina. Maude była wypoczęta, lubi być pierwszy i nie śpieszyć się. Szedł znowu wolno sycąc oczy widokiem ulicy, sennym ruchem i ciszą. To był Paryż ale zupełnie inny; Paryż, którym od początku wojny zaczął zachwycać się na nowo nie mając go nigdy dosyć. Ruch i zgiełk odeszły z ulic, odsunęły się jak fala z plaży w czasie odpływu i urok tego jedynego miasta zaczął wydobywać się na powierzchnię z każdego domu, z każdej ściany, z placów i placyków, szerokich bulwarów i wąskich zaułków. Teraz był tylko monotonny szurgot stóp i klekotanie drewnianych sandałów kobiet, rowery terkały jak świerszcze a śmiech dziewcząt było słychać z daleka. W nocy było ciemno, nad wejściami do ,,métro'' paliły się sine lampki i wszystkie odgłosy ulicy stawały się jeszcze silniejsze.

Wszedł w rue Saint-Sulpice. Księgarnie były otwarte i przy każdej wystawie zatrzymywał się na chwilę przeglądając tytuły wystawionych książek. Spojrzał znowu na zegarek i upewnił się że już jest pora. Brama była uchylona, dom czcigodny jak wszystkie domy na tej ulicy. Wszedł rzeźko na drugie piętro i zadzwonił trzy razy. Otworzyła mu pokojówka i poprzez ciemny przedpokój wprowadziła go do małego saloniku. Usiadł w miękkim fotelu. Na stoliku i na etażerce porozkładane były książki, ta specjalna literatura saloników tych domów. Zawsze było to samo, znał to doskonale, a pomimo to zawsze odczuwał rozkoszny dreszczyk nowości, podniecającą ciekawość nieznanego. Maude wielokrotnie mówiła mu, że może przyjść do niego ale on wolał tutaj. Tkwiło w tym coś z rytuału świątyni i nie chciał nic z niego utracić. Była w tym jakaś wspaniała ciągłość, jakby przedłużenie słonecznej kultury Hellady, powiew wierszyków Archilocha i Alkmana. Zamyślił się. To żydowskie nazwisko już w greckiej poezji nie dawało mu nigdy spokoju i uważał to za bardzo sygnifikatywne. Co się potem dziwić, że tylu było ich w polskiej?

Czerwona portiera uchyliła się z szelestem i weszła Madame Delphine.

— *Bonjour, mon capitaine, comment ça va?*

Była wysoka i postawna i w całej postaci, w utlenionych włosach, w jasno niebieskich oczach i w stroju przechowała coś nieuchwytnie dawnego. Dla Sauczeya była natchnieniem wspomnień, jakby rykoszetem Wiednia. „Kobiety w tym wieku zwykle są już tylko rykoszetem czegoś” — pomyślał. Postanowił to spostrzeżenie zapisać.

— Pan kapitan zawsze wierny swojej Maude. To bardzo uczciwa dziewczyna.

Jakże lubiał tę elegancję i dyskrecję, zacisze prywatnej kliniki. Madame skarżyła się na różne braki, opowiadała mu ile musiała zapłacić ostatnio za mydło i ręczniki (*les prix sont stupéfiants*) ale pocieszała się, że czystość w szanującym się domu nie ma ceny. Mimochodem zapytała go czy nie mógłby kupić jej fałszywych kartek na chleb: „*les Polonais sont si débrouillards*”. Szarmancko wręczył jej połowę własnych prosząc, by przyjęła je bez żadnego skrępowania. „*Mon capitaine, vous-êtes un amour*. Kiedy zapalimy znowu amerykańskiego papierosa i napijemy się whisky?”

— Niedługo, już niedługo, madame — i mrugnął okiem porozumiewawczo.

Wyszła tak samo nagle jak weszła i po chwili zjawiła się Maude. Miała na sobie niebieski, roboczy szłafroczek z krótkimi rękawami. Była niska i pełna, ale pomimo przekroczonej trzydziestki zachowała figurę tak jak tylko Francuzki to potrafią. Sauczey obawiał się całkiem młodych. To młode pokolenie bywało ordynarne i cyniczne. Maude mówiła mu zawsze „*vous*” i była delikatna jak pielęgniarka. Przywitał się z nią i objął.

Lubił wyczuć pod dłonią zagłębienie tworzące się na pulchnym ramieniu pod naciskiem ramiączka biustnika. Było jak obietnica. Poszli jak zwykle do „ich" pokoju.

Maude była taktowna, wzdychała w odpowiednim momencie nie za głośno i bez przesady, prawie naprawdę. Potem nie podśpiewywała, nie starała się naśladować jazz'u i uśmiechała się łagodnie nawiązując spokojną konwersację.

— Poznałam wczoraj jednego Polaka, młody lotnik. Miał poparzony kawałek twarzy i dałam mu pudełko „ocre" żeby się pudrował bo za samą plamę mogliby go złapać. Przyprowadził go jakiś z „résistance". Biedny chłopak. Nie chciałam nic wziąć od niego, ale znalazłam potem w pantoflu tysiąc franków.

Sauczey uśmiechnął się.

— Na pewno fałszywe. Drukują franki w Anglii i dają im zawsze pięć tysięcy na drogę.

— *Tant mieux* — to znaczy że prawdziwsze niż nasze. Schowam na pamiątkę.

Sauczey znowu uśmiechnął się. Pomyleńcy, biją się o Polskę dla Sowietów. Od początku tej wojny nie wierzył w żadną Polskę, a teraz było to bardziej pewne niż kiedykolwiek. Polskie wojsko. W 39-ym chcieli i jego namówić, w „Reginie" był notowany pochlebnie, ale odpowiedział im że w jego wieku ojczyzna ma prawo domagania się życia, nie ma natomiast prawa wymuszania aby on w Bretanii nabawił się dla niej lekkomyślnie zapalenia płuc na cemencie, pod połówką koca. Zawsze wspaniałe improwizacje, naród genialnych improwizatorów — na niemej klawiaturze.

Przeciągnął się i dyskretnie ziewnął. Z kolei zaczął myśleć o wieczorze. Przyrządzi sobie dobrą kolację a potem koncert. Dyryguje w Berlinie von Karajan i niech mu spróbują przeszkadzać. Kosztowało go to trzy miesiące pracy ale teraz ma ich w ręce. „Pubela" i Henri po obu stronach jego pokoju nie byli problemem, eliminowało się ich na sieci; natomiast ta parka z drugiej strony podwórza puszczająca na cały regulator „café au lait au lit" lub „Ici Londres" doczeka się swojego. Nie tylko Niemcy mogą głuszyć — on też potrafi dołożyć swoje.

Ubierał się wolno i z pedanterią. Czuł się naprawdę wspaniale i wiążąc sznurówki przy bucikach podgwizdywał cicho uwerturę z „Zemsty nietoperza". Pożegnał się z Maude umawiając się na przyszłą sobotę. Pogłaskała go po twarzy i powiedziała „*Je vous attendrai, chéri*".

Gdy wyszedł na ulicę, słońce chyliło się ku zachodowi i już czerwone i wielkie opadało powoli nad Polami Elizejskimi. Postanowił przejść się jeszcze i poszedł w stronę Luwru. Bulwar Saint-Germain usiany był plamkami różnokolorowych przyczepek rowerowych. „Vélo-taxi" pomalowane na różne odcienie żywych barw należały teraz do szyku. Jeździły w nich przeważnie utrzymanki i wielkie kokoty przybierając w koszykach najpowabniejsze pozy i reklamując ładne nogi odsłonięte aż do połowy

uda. Czasem przemknął mały powozik na dwóch kołach ciągnięty przez kucyka lub rasowego kłusaka. To były wojenne ,,Rolls Royce'y''. ,,Cierpią'' — pomyślał i zaśmiał się sam do siebie. Bulwar rozpływał mu się w ustach, topił na podniebieniu jak wspaniała czekolada od Fouché.

Przeszedł na drugą stronę Sekwany i zanurzył się w odwiecznym przeciągu Luwru. Ciepłe powietrze nagromadzone w plątaninie uliczek koło Palais Royal i rue de Rivoli, wsysane przez bramę chłodem wnętrza wielkiej podkowy i ogrodu, pędziło w stronę rzeki. I w nim wywąchał już wiosnę. Pomnika Gambetty nie było, z posągu Joanny d'Arc opadła pozłótka i wyglądał on jak wykopalisko. ,,Zaczęło się od Joanny a skończyło na Pétain'ie'' — pomyślał. ,,*Sic transit gloria Galliae*''. Stanął pod pomnikiem i przyglądał mu się z ironicznym uśmiechem. Przyszło mu na myśl, że ta figura, pozłacana co pewien czas, był niezłym symbolem tego kraju. Złocą. Teraz znowu pozłocą i będzie im się wydawało, że cały świat im uwierzy. Już Cezar mówił o ich dzielności w czasie przeszłym porównując z Germanami. Uśmiechnął się z politowaniem. A jednak nie potrafił wyobrazić sobie życia gdzie indziej. ,,A jednak...'' — powiedział półgłosem do siebie. Tym ,,a jednak'' zawracali głowę światu i sobie od wieków ale w końcu i to się skończyło. Zszedł do ,,métro''.

Na rue de la Roquette było ciemno i brudno. Na chodnikach i na jezdni leżały odpadki brukwi, podstawowej jarzyny wszystkich ulicznych targów, w powietrzu unosił się smród kiszonki wydobywający się z przepełnionych pudeł na śmieci poustawianych w sieniach domów. ,,A jednak'' — pomyślał znowu wchodząc do wielkiej kamienicy i wślizgując się w długi i źle oświetlony korytarz. ,,Pubela'' wałęsała się tu jak zwykle, zawsze pijana i czatująca czerwonymi oczkami na wejście każdego lokatora. Gdy przylgnął do drzwi aby otworzyć je i wsunąć się do swojego pokoju uchylając je jak najwęziej, czuł jej wzrok na karku i słyszał chwiejne ruchy poza plecami. Wsunął się bokiem i z ulgą przekręcił klucz w zamku.

Pokój Sauczeya przypominał wnętrze łodzi podwodnej. Poza normalną plątaniną rur wszelkich kalibrów rozpełzniętych po ścianach, które każdy pokój w tym mieście zamieniają bez żadnych dodatków w coś w rodzaju kotłowni, Sauczey wykorzystał każdy decymetr kwadratowy i sześcienny przestrzeni zapełniając ją sprzętem radiowym, akumulatorami, bateriami, odbiornikami i sporym nadajnikiem własnej konstrukcji. To była jego duma, ostatni produkt i rezultat wytężonej pracy. Przy jego pomocy mógł teraz zamącać sąsiadom odbiór i zmusiwszy ich do milczenia, spokojnie słuchać muzyki. Jeszcze w płaszczu podszedł do niego i spojrzał z zadowoleniem. Przyda się na ciepłe miesiące gdy wszystkie okna otwierają się na podwórze i piekielna kakofonia kilkunastu odbiorników zatruwa spokój każdego wieczoru. ,,Dlaczego hołota tak lubi hałas?'' — zastanowił się i postano-

wił kiedyś przemyśleć to zjawisko do głębi. Już sam fakt, że obydwa wyrazy pisały się przez samo ,,h'' nasuwał pewne podejrzenia. Było mu teraz trochę żal że wieczór był jeszcze chłodny i obawa przed ,,congéstion'' trzymała okna zamknięte. Miał ochotę wypróbować. Cieszył się specjalnie na utrącanie tego szanteklera z ,,Ici Londres''; nie znosił jego głosu i tonu, z których wynikało że walczy Francja a inni są tylko jej sprzymierzeńcami.

W pokoju było czysto i nawet w małej kuchence panował wzorowy porządek. Sauczey zdjął płaszcz, powiesił go starannie na wieszadle i zapaliwszy gaz postawił wodę na herbatę. Potem nalał do szklanki czerwonego wina, zdjął z półki z nutami gruby zeszyt i usiadł w fotelu. Przed jedzeniem lubił zawsze poczytać coś ze swoich ,,Myśli''. Ostatnia, zapisana poprzedniego wieczoru, olśniewała go swoją trafnością i napawała dumą. ,,W każdej cywilizacji nie rola dołów jest ważna lecz rola góry. Cywilizacja rozpada się gdy góra zaczyna znajdować smak w rozkładzie, gdy sam proces rozkładu zaczyna być identyfikowany z cywilizacją''. Zamyślił się. Odkręcił pióro i dopisał u dołu w nawiasie: ,,Francja?''. Był pewny że znak zapytania dodał temu ciężaru intelektualnego. Prawdziwy intelektualizm sprowadza się zawsze do pytania, odpowiedzi może się nie bać tylko prostak. Na pytania stawiane przez najgenialniejsze umysły odpowiadało i odpowiada zawsze chamstwo. Teraz Hitler i Stalin. I wynik był bezbłędnie jednakowy. Po nich odpowiedzą Amerykanie. Imbryk z gwizdkiem zaświstał wesoło i Sauczey wstał aby zaparzyć herbatę. Wokoło było cicho i był pewny że uda mu się spokojnie wysłuchać siódmej symfonii Beethoven'a. Od kilku lat obserwował już von Karajana i był pewny, że ten młody dyrygent wybije się bardzo szybko na jedno z pierwszych miejsc.

Nakrył dla siebie na małym stoliku, otworzył puszkę sardynek, obrał kilka zimnych kartofli i pokroiwszy je w talarki, przyrządzał apetyczną sałatkę. Chleb był ciemny i kluskowaty, na pewno z domieszką trocin lub jakiegoś innego świństwa, ale na to nie można było poradzić. Usiadł i wsunąwszy róg czystej serwetki za kołnierzyk, zabrał się do jedzenia. Popijał wino i żałował że nie kupił tuzina ostryg. Już niedługo skończą się razem z miesiącami z ,,r''. Jeszcze ,,Avril'' i potem aż do ,,Septembre'' bez ostryg. Było naprawdę cicho i z przyjemnością wsłuchiwał się w krótkie, urywane dźwięki gdy potrącił widelcem o talerz lub szyjką butelki o krawędź szklanki. W którejś z rur przeleciała z szumem woda. Wstał i wyjąwszy z półki z nutami album sonat Beethoven'a zaczął go przerzucać przy jedzeniu. Wydawało mu się, że jeden motyw z siódmej był w którejś z nich ale nie był pewny. Usłyszał pukanie do drzwi. Spojrzał z niedowierzaniem, odczekał, pukanie powtórzyło się. Wstał, przekręcił klucz i chciał wyglądnąć przez szparę. Pchnęli drzwia-

mi gwałtownie, odepchnęli go nimi prawie na środek pokoju i weszli. Było ich trzech.

Jeden mówił źle po niemiecku, dwaj inni nie zwracali na niego uwagi wymieniając między sobą krótkie słowa po niemiecku, twarde i bezosobowe jak stukot telegrafu. Nie zamknęli drzwi za sobą i rozglądali się po pokoju, podchodzili do aparatów. Z korytarza wpadał przeciąg i kartka w albumie sonat uniosła się, stanęła pionowo, zachwiała się i opadła z powrotem. Drgnęła zasłona w oknie i sucha pelargonia w doniczce przygnieciona na chwilę brudnym kretonem, wyprostowała się sprężyście. Sauczey stał przygarbiony i wszystko widział. Do okna było pięć wzorzystych kwadratów na wydeptanym linoleum, po korytarzu kręciła się bezszelestnie „Pubela" i zaglądała ciekawie do środka, gdzieś smażyli coś na ohydnym tłuszczu wołowym i pokój napełniał się ciężkim zaduchem. Francuski *„flick"* podszedł do niego i przesunął po nim z wprawą rękami. *„Keine Waffe"* — powiedział zwracając się ze służalczym uśmiechem do tamtych. Oglądali z zainteresowaniem nadajnik. Sauczey przyglądał się Francuzowi i nagle nienawiść zamroczyła go. Skośnym spojrzeniem obliczył dystans do drzwi i skoczył zwinnie zatrzaskując je za sobą. Dostrzegł tylko jak „Pubela" rzuciła się wprzód i zaczęła niespodziewanie pewnie biec przed nim. W tych kilku susach, w których doganiał ją, pomyślał że gdy wyskoczą i zaczną strzelać, mogą trafić i ją. Złapał ją za ramiona, zręcznie podbił nogi i zwalił na podłogę. Wyprostował się i biegł dalej. To go zgubiło, strzały dosięgły go tuż przed zbawczym zakrętem na klatkę schodową. Gdy upadał w tył pomyślał tylko, że lepiej tak. Tam w dole, na ulicy, nie mógł oczekiwać pomocy od nikogo, to nie była Warszawa. Żal i tęsknota rozświetlały nadchodzący mrok. Spod przymkniętych powiek dostrzegł nad sobą czerwone oczki „Pubeli".

— *C'est pour...* — zdołał tylko wyszeptać.

Opieczętowali drzwi, znieśli go szybko do samochodu. *„Je l'ai eu quand même, ce salaud"* powiedział głośno Francuz. Odjechali dyskretnie i tylko na korytarzu i na schodach pozostały gwiazdki rozpryśniętej krwi. Mieszkańcy sąsiednich pokojów wychylali się ostrożnie, zbijali w lękliwą grupkę rozmawiając szeptem. Henri obracał brzuchem wokoło i opowiadał dokładnie, ze szczegółami, jakby wszystko widział. „Pubela" podeszła do niego i pokazując z głupim uśmiechem na czerwone plamy, mówiła w kółko: „Powiedział: *c'est pour, c'est pour...*" Henri rozglądnął się przezornie i spojrzawszy na nią wyniośle, podniósł w górę rękę z wytkniętym palcem wskazującym:

— *Pour la Pologne, imbécile!*

Andrzej BOBKOWSKI

Archiwum polityczne

"Modus Vivendi"

Czasem drobiazg rzuca snop światła — i nagle kontury znajomej rzeczywistości dostrzegamy w innym wymiarze. Przed kilku dniami jeden z posłów do Izby Gmin zapytał dlaczego amerykańskie bombowce stacjonowane w Anglii w czasie lotów służbowych mają na pokładach ostrą amunicję.

W jakim świecie taki pan żyje?

Jeżeli potencjalne niebezpieczeństwo nie materializuje się w pewnym okresie czasu ludzie przyzwyczajają się do owego zagrożenia. Owo przyzwyczajenie, poparte ignorancją, wytwarza poczucie bezpieczeństwa. To poczucie bezpieczeństwa jest fałszywe stanowi jednak swoistą formę przystosowania się do sytuacji.

Zapytanie w Izbie Gmin cytowane powyżej jest typowym przykładem poczucia fałszywego bezpieczeństwa, które w odczuciu ludzi jest realne mimo, że jest oparte na całkowicie nierealnych przesłankach.

W rzeczywistości Europa zachodnia z Anglią włącznie jest zagrożona a jej system obronny jest niedostateczny. Ponieważ jednak ten stan rzeczy trwa latami przyzwyczailiśmy się do tej sytuacji. Gdyby Rosjanie ruszyli jutro na całej linii od Bałtyku po Alpy — wszyscy załamaliby ręce i wykrzyknęli zgodnym chórem: ,,Boże, któż mógł to przewidzieć!''

Owego pasa 400 milowego między Bałtykiem a Alpami strzeże w tej chwili niepełnych... 15 dywizji. Jeżeli chodzi o bezpieczeństwo powietrzne rewelacyjny system ostrzegawczy wynaleziony przez Amerykanów (,,Scatter Communication'') znajdzie na tych wyspach praktyczne zastosowanie za dwa lub trzy lata. Do tego czasu — stwierdza ze stoickim spokojem ,,Daily Mail'' — gdyby Rosjanie dokonali niespodziewanego ataku brytyjski system ostrzegawczy mógłby okazać się niedostateczny. Sygnały bowiem mogą być opóźnione lub unicestwione sowiecką akcją radiowego tłumienia (jamming).

Nie interesuje mnie w tej sprawie strona techniczno-wojskowa. Natomiast z politycznego punktu widzenia warto może zauważyć, że istnieją sytuacje, które są de facto ,,niezainkasowaną agresją''.

Gdyby 175 dywizji sowieckich (nie licząc satelickich) ruszyło na całej linii frontu europejskiego — nie jest rzeczą pewną czy dowództwu atlantyckiemu zezwolono by na użycie artylerii atomowej. Gdyby Sowiety podjęły błyskawiczną inwazję typu „konwencjonalnego" — można uznać za pewne, że w kołach politycznych Zachodu nie brakłoby mężów stanu, którzy doradzaliby na „konwencje" odpowiedzieć „konwencją". Poczucie bezpieczeństwa z jakim mieszkaniec Paryża czy Londynu kładzie się co nocy spać jest typowym przykładem tak zwanego bezpieczeństwa statystycznego. Jesteśmy niedostatecznie chronieni tak na lądzie jak i w powietrzu ale ponieważ ów stan zagrożenia trwa już od wielu lat wnioskujemy, że skoro dwa lata temu, rok i pół roku temu nic się nie stało to zapewne jutro, za rok i dwa lata również nic się nie stanie. I każdy następny dzień, który rozpoczyna się nie wyciem syren ale pukaniem do drzwi mleczarza pogłębia w nas owo poczucie fałszywego bezpieczeństwa.

Nie istnieje instytucja „kredytu" historycznego. Walka o czas nie jest walką o kredyt a jedynie o dogodniejszy termin spłaty. Rozgrywka — która nie zawsze przybiera formę konfliktu zbrojnego — zmierza do wyrównania poziomów. Jeszcze ciągle zasadniczym motorem historii politycznej jest równowaga sił. Ideologie, rewolucje, wzloty i upadki narodów znajdują swój wyraz w zmiennej dynamice równowagi sił. Jeżeli w jednym punkcie globu wzrasta potencjał siły — ów potencjał stanowi automatycznie zagrożenie dla „status quo", ponieważ każda realna siła jest zaborcza. Pacyfistyczny jest tylko dobrobyt, który jest siłą skapitalizowaną.

Na Zachodzie błędnie identyfikujemy bogactwo (w najszerszym tego słowa znaczeniu) z aktywną siłą. Bogactwo, wielki przemysł, wysoka stopa życiowa — nie zapewniają bezpieczeństwa. Stopień bezpieczeństwa jest wprost proporcjonalny do potencjału aktywnej siły.

Bomby atomowe i wodorowe, samoloty, czołgi i cały nowoczesny wojenny sprzęt jest sprawą przemysłów i kapitałów. Ale tak problem znalezienia tysięcy pilotów gotowych zrzucić owe bomby na wyznaczone cele jak i moment powzięcia decyzji — leżą poza sferą cyfr, statystyk, i wskaźników produkcji przemysłowej. Ekonomia jest niezmiernej wagi ale o biegu Historii (z ekonomią włącznie) decydują poza-ekonomiczne elementy. Jeżeli marksizm obowiązuje dziś na jednej czwartej powierzchni globu nie jest to żadnym dowodem, że tezy ekonomiczno-społecznego rozwoju głoszone przez Marksa okazały się w praktyce proroczo prawdziwe. Jest to natomiast dowodem, że w kształtowaniu Historii element poza-ekonomiczny jest decydujący. Jeżeli ów element jest dostatecznej mocy można dziesiątkami lat naginać rolnictwo i organizację produkcji przemysłowej, kulturę i naukę do jednego z najbardziej zawikłanych i pełnego oczywistych sprzeczności systemu. Rosjanie mają tyle dynamizmu i woli

kształtowania historii, że gdyby marksizm był niepomiernie bardziej zawikłany i jeszcze mniej praktyczny jak jest — nie daliby za wygraną i nakładem odpowiednio większych ofiar realizowaliby go z żelaznym uporem.

Studium Historii nie uprawnia do twierdzenia, że idee racjonalne i humanitarne były równocześnie tymi prądami, które mobilizowały największą aktywność. Można natomiast stwierdzić, że idee, które spełniały rolę generatorów aktywnej siły uważane były zawsze przez swych wyznawców za wzniosłe i szlachetne.

Powyższe dygresje posłużą nam za tło do analizy zjawiska, które nazwałbym ,,plebiscytem neutralnych''.

W praktyce — jak wiemy — nie istnieje idealnie neutralna... neutralność. Weźmy klasyczny przykład — Szwajcarię. Nie ulega wątpliwości, że tradycyjna neutralność Szwajcarii jest prozachodnia. Wizyta pp. Bułganina i Chruszczowa w Indiach miała między innymi na celu skłonienie Indii do neutralności życzliwej dla Sowietów.

Czego szuka kraj neutralny? Przede wszystkim bezpieczeństwa. W skali międzynarodowej bezpieczeństwo na dziś i na jutro zapewnić może jedynie neutralność przyjazna dla przyszłego zwycięzcy.

Na łamach ,,The Observer'' jeden z wybitnych brytyjskich ekonomistów wysunął nowy projekt pomocy ekonomicznej dla krajów azjatyckich podkreślając z naciskiem, że akcja tego typu musi być ściśle a-polityczna, wolna od jakichkolwiek politycznych powiązań.

Tego typu projekty są szczytem naiwności. W dzisiejszym świecie nie ma kapitału apolitycznego. Przyjmując koce, kakao i biskwity od amerykańskiej instytucji dobroczynnej nieszczęśni azjatyccy powodzianie w ocenie radia moskiewskiego popełnili czyn nieprzyjazny w stosunku do Związku Sowieckiego. A cóż mówić o inwestycjach przemysłowych, za którymi ciągnie armia doradców, techników, ekspertów itd.

Anglicy czy Amerykanie mogą azjatyckiemu państwu X oferować pomoc chemicznie wolną od politycznych zobowiązań — mimo to rząd państwa X nim przyjmie ową pomoc dobrze się zastanowi jakie reakcje ów bezinteresowny dar wywoła w Pekinie i w Moskwie. I w tym sensie Zachód nie ma dziś żadnej możliwości działania apolitycznego. Związek Sowiecki upolitycznił na tym globie wszystko i wszystkich.

Ludzkość żyje dziś w cieniu konfliktu dwóch wodorowo-atomowych mocarstw i politycznym towarem najbardziej poszukiwanym jest bezpieczeństwo a nie bogactwo. Premierowi Nehru, słowa: pokój i bezpieczeństwo dosłownie nie schodzą z ust a przecież nikt chyba bardziej nie potrzebowałby kromki z amerykańskiego słodkiego kołacza niż 400 milionów Indusów.

Prasa brytyjska komentując wizytę sowieckich przywódców w Indiach podkreślała uporczywie, że Sowiety nie mają nic do zaoferowania Indusom. Niestety tak nie jest. Marszałek Bułganin

miał wiele okazji by powiedzieć premierowi Nehru: „Jeżeli Indie będą współpracowały z Sowietami w polityce utrwalenia pokoju i koegzystencji — być może do konfliktu w ogóle nie dojdzie. A jeżeli dojdzie Rosja uszanuje neutralność Indii".

Co stanowi istotę atrakcyjności tego typu oferty? Aktywna siła Sowietów. Przekonanie, że komunizm światowy kierowany z Moskwy jest siłą z którą musi się znaleźć jakiś „modus vivendi"... ponieważ nie zanosi się na to by ktoś tę siłę zniszczył.

Najprzychylniej nawet usposobiony dla Zachodu polityk azjatycki, gdy zapozna się z dziełami czołowych reprezentantów współczesnej politycznej myśli amerykańskiej jak G.F. Kennan, Walter Lippman, G.H.J. Morgenthau czy Adlai Stevenson — musi dojść do wniosku, że to co ci panowie mają do zaoferowania jest w gruncie rzeczy polityką koegzystencji w amerykańskim opakowaniu. Któż politykę koegzystencji importuje z Waszyngtonu? Oryginalną koegzystencję importuje się z Moskwy.



Należałem do pisarzy politycznych, którzy przez wiele lat łudzili się, że olbrzymie ciśnienie idei komunistycznej wywoła w końcu na Zachodzie reakcję, która wykrystalizuje się z czasem w koncepcję nowego porządku międzynarodowego.

Najwięksi realiści miewają złudzenia. Realista jednak tym różni się od innych ludzi, że umie w właściwym momencie złudzeń się wyzbyć.

Obecnie po niemal jedenastu latach, które dzielą nas od zakończenia wojny — sądzę, że nie ma żadnych rzeczowych podstaw do wnioskowania iż Zachód wypracuje wreszcie i przeciwstawi komunizmowi własną uniwersalistyczną koncepcję porządku międzynarodowego. Takiej koncepcji nie ma i długo chyba nie będzie.

Adlai Stevenson w swej książce „Call for Greatness" uważa za cechę dojrzałości umiejętność pogodzenia się z częściowym niepowodzeniem tak jak w końcu godzimy się z artretyzmem. I zapytuje: może Ameryka zbliża się do tej fazy?

Z artretyzmem niewątpliwie należy się pogodzić ale klasyfikacja niepowodzeń nastręcza znacznie większe trudności. To co początkowo określamy częściowym niepowodzeniem w późniejszych konsekwencjach okazuje się często źródłem totalnej klęski.

Ale byłoby śmieszne gdyby wschodnio-europejski publicysta podejmował dyskusje w tych sprawach z wybitnym amerykańskim politykiem, historykiem i kandydatem na najwyższy urząd Stanów Zjednoczonych. Któż może lepiej znać i pełniej wyczuwać nurt amerykańskich przemian niż on?

Nie wnikając przeto w przyczyny wystarczy jeżeli stwierdzimy, że Zachód, ściślej mówiąc Stany Zjednoczone— nie mają żadnej światowej koncepcji i jest mało prawdopodobne by ją kiedykolwiek wypracowały. Trzeba więc wyjść z realistycznego i skromnego założenia podobnie jak w sprawie Niemiec. Musi-

my sobie otwarcie powiedzieć : nie mamy dość dynamizmu by primo — wypracować własną koncepcję polityki światowej a secundo — by tę koncepcję narzucić innym. Jeżeli jednak nasze obecne ,,częściowe niepowodzenia'' nie mają być w przyszłości źródłem totalnej katastrofy — musimy wydobyć z siebie tyle aktywnej siły by zmusić Sowiety do pewnego kompromisu i ustępstw w ramach ich własnej sowieckiej koncepcji politycznej. Jeżeli nie stać nas na własną koncepcję należy stanąć na stanowisku sowieckiej koncepcji koegzystencji, ale jako partner a nie jak statysta. Jeżeli nie stać nas by narzucić zasady naszej gry musimy siąść do stołu akceptując zasady gry Sowietów, ale nie po to by zawsze mówić ,,pas'', lecz by odważnie podjąć licytację.

Większość zarzutów wysuwanych pod adresem polityki koegzystencji polega na nieporozumieniu. Jest przecież oczywiste, że jeżeli wyklucza się wojnę jako instrument działania politycznego — tym samym skazuje się ludzkość na koegzystencję.

Fakt wyłączenia wojny z zespołu środków działania politycznego nadał technice współżycia międzynarodowego zupełnie nowy wyraz. Powstają nowe formacje polityczne niekiedy bardzo dziwaczne. Polityka sowiecka jest bardzo pomysłowa w tej dziedzinie. Weźmy przykład pierwszy z serii. Ponieważ w obecnym okresie historycznym wojna została skreślona ze spisu narzędzi politycznych — Berlin nie stał się Serajewem. Rosja natomiast uznała za legalne dwa rządy niemieckie. Każdy z tych rządów uważa się za jedyny prawowity rząd niemiecki a Berlin za swoją stolicę. Uznanie dwóch konkurencyjnych rządów przez trzecie mocarstwo i akredytowanie dwóch ambasadorów w odnośnych ,,stolicach'' jest niewątpliwie jedną z najdziwaczniejszych form polityki koegzystencji. Osobiście sądzę, że to jest dopiero początek. Polityka koegzystencji wytworzy jeszcze znacznie dziwniejsze formy i sytuacje. (Nawiązanie stosunków dyplomatycznych de jure nie musi być równoznaczne z uznaniem ale w praktyce wychodzi na to samo).

Lecz nawiązanie stosunków dyplomatycznych to tylko aspekt formalny tego zagadnienia. Co oznacza polityka koegzystencji w swej treści ? Jest tylko jedna odpowiedź na to pytanie : Koegzystencja oznaczać może wszystko z wyjątkiem wojny.

◆

Sowiety politykę koegzystencji pojmują jako formę walki o polityczne przywództwo świata — Zachód w koegzystencji pragnąłby widzieć wstęp do kontroli zbrojeń i ery ustabilizowanego pokoju. Termin ten należy rozumieć tak jak rozumieją go przywódcy sowieccy.

Dwa następujące elementy posiadają decydujące znaczenie.

Po pierwsze siła. Co ma myśleć mieszkaniec wschodniej Europy, który jednego dnia dowiaduje się z prasy i z radia o fa-

talnym stanie sił NATO w Zachodniej Europie a drugiego dnia słyszy z Monachium tekst świątecznego orędzia Prezydenta Stanów Zjednoczonych? Na to pytanie łatwo jest odpowiedzieć. Ów rodak pomyśli z goryczą: „Po co mówić o wyzwoleniu pokojowymi środkami wschodniej Europy, kiedy nie ma dość sił by obronić zachodnią Europę".

I oto dochodzimy do punktu drugiego. Najbardziej szczere i najlepszymi chęciami dyktowane orędzia nie zastąpią dyplomacji.

Te dwa elementy: aktywna siła i aktywna dyplomacja odgrywają zasadniczą rolę nie tylko w stosunku do Wschodniej Europy ale w pierwszym rzędzie w stosunku do państw neutralnych. Neutralnych, chwiejnych, niezdecydowanych przyciąga siła i tylko siła.

Dyplomacja Zachodu w porównaniu z elastycznością taktyki politycznej Sowietów robi wrażenie wprost muzealne. Rosjanie nie wahają się stosować rozwiązań bez precedensu. Dyplomacja Zachodu spętana jest tradycją i szablonem. Wskutek tego jakże często nie możemy zdobyć się na szybkie kontr-posunięcie bo posunięcie „bezprecedensowe" jest oczywiście z góry wykluczone.

Polityka Zachodu a w szczególności polityka amerykańska winna być niepomiernie bardziej imaginatywna. Sięgnijmy po przykład nam najbliższy. Ustrój komunistyczny w Polsce ma już za sobą przeszło 10 lat istnienia. Ci, którzy w okresie Jałty byli dziewięcio- czy dziesięcioletnimi dziećmi — dziś są dorosłymi ludźmi. Wychowali się i dojrzeli w ramach porządku, który wydaje im się trwały i wsparty o tradycję lat. Zapytuję: z kim i z czym ci ludzie mają identyfikować ową „inną" Polskę, której nie pamiętają. Radio Free Europe jest tylko amerykańską radiostacją — Emigracja mgławicą.

W okresie pierwszej konferencji genewskiej kiedy Prezydent Eisenhower obdarowywał pannę Żukow prezentami, a „ofensywę uśmiechów" brano za łuk tęczy zwiastujący pokój i pojednanie — poufną drogą dostałem list z Kraju. Mój informator pisał dosłownie: „Reżym będzie wam tłumaczył, że musicie znaleźć jakieś „modus vivendi" z Polską „ludową", jeżeli bowiem nie pójdziecie na koegzystencję odetniecie się zarówno od Kraju jak i od koegzystującego Zachodu. Staniecie się całkowicie wyizolowaną grupą".

Istotnie w idyllicznie koegzystującym Zachodzie emigracja polityczna stałaby się obcą sektą. Jedno jest pewne. Jeżeli Amerykanie pragną doczekać się konkretnych rezultatów to ich wschodnio-europejska polityka nie może być parasolem, który ilekroć w Moskwie barometr opada wyciąga się z szafy... by natychmiast go zwinąć i schować gdy marszałek Bułganin się uśmiechnie.

Z kim i z czym młodsi ludzie w Europie wschodniej mają identyfikować wolność, której nie pamiętają? Z polityką wyzwo-

lenia środkami pokojowymi, która winna się zacząć po tej stronie ,,żelaznej kurtyny''.

Istnieje cała gama możliwych posunięć. Jeżeli Rosja uznaje dwa rządy niemieckie i akredytuje przy nich swoich ambasadorów dlaczegóż Stany Zjednoczone nie miałyby uznawać poza rządami komunistycznymi również emigracyjnych, *demokratycznie* wyłonionych przedstawicielstw Polski, Czechosłowacji, Węgier czy Rumunii?

Powyższe rozwiązanie nie jest bynajmniej jedyne. Istnieje szereg innych możliwości. Można by powołać i wyposażyć w statut pół-oficjalny reprezentację wschodnio-europejską.

Jaki byłby cel takich rozwiązań bez precedensu? Chodzi o przywrócenie członkom narodów ujarzmionych w wolnym świecie choćby w formie pół-oficjalnej statutu sojuszniczego. Jeżeli bowiem polityka wyzwolenia środkami pokojowymi nie ma być traktowana jako pusty frazes tak po tej jak i po tamtej stronie ,,żelaznej kurtyny'' — musi być realizowana wszędzie tam, gdzie jest to możliwe a więc przede wszystkim na Zachodzie.

Stany Zjednoczone dzielą z nami wiarę w wyzwolenie i ustami swych przywódców dają wyraz pragnieniu by narody wschodnio-europejskie powróciły do wspólnoty wolnych narodów świata. Ale wiara nie zastąpi ani polityki, ani dyplomacji. Nie bez słuszności powiedział ostatnio ambasador Kennan (o czym piszę obszerniej na innym miejscu w tym numerze) — że byłby mniej ...zakłopotany amerykańskimi deklaracjami na temat Europy wschodniej, gdyby wiedział jaka będzie polityka Stanów Zjednoczonych w stosunku do tego obszaru w chwili gdy panowanie Rosji dobiegnie tam kresu.

Można polemizować z tą wypowiedzią ale niemniej faktem jest, że polityki amerykańskiej w stosunku do wschodniej Europy — nie ma.

Nie ulega wątpliwości, że sformułowanie choćby ramowego poglądu na przyszłą rolę Europy wschodniej oraz przywrócenie choćby częściowe statutu sojuszniczego przedstawicielom narodów ujarzmionych wywarłoby potężny wpływ na opinię społeczeństw za ,,żelazną kurtyną''.

Juliusz MIEROSZEWSKI

Kronika angielska

KARYKATURA

Jeden z naszych Czytelników w Kanadzie wystosował do Londyńczyka list w którym czytam między innymi co następuje:

,,Drogi Panie! Po co? Po trzykroć po co? Po co, dlaczego i dla kogo zajmuje się Pan tak uporczywie polityką emigracyjną? Czy nie zdaje

Pan sobie sprawy, że to podrywa zaufanie do Pańskiej publicystyki ? Poważni pisarze komentują politykę światową a nie emigracyjny rozgardiasz.

„Drogi Londyńczyku — powinien Pan koniecznie wyjechać z Anglii przynajmniej na sześć miesięcy. Wówczas przekonałby się Pan, że spraw którym Londyńczyk poświęca tyle zachodu i uwagi nikt nie traktuje poważnie. To w ogóle nie są „sprawy" ani to nie jest „polityka".

Tyle nasz miły Czytelnik.

Mamy za sobą sto numerów „Kultury". Istotnie, gdyby zebrać wszystkie „Kroniki Angielskie" otrzymalibyśmy spory tomik poświęcony niemal wyłącznie polityce emigracyjnej. Prawdą jest również, że żadne inne pismo polskie ukazujące się w wolnym świecie nie poświęciło polityce emigracyjnej tyle miejsca co „Kultura".

Drogi Kanadyjczyku — posłuchajmy we dwójkę zaczarowanego fletu wspomnień. ...Oto żołnierze wracają z ćwiczeń do koszar i śpiewają: „Nikt nam nie weźmie nic, nikt nam nie zrobi nic — bo z nami jest, bo z nami jest marszałek Śmigły-Rydz !" W kawiarniach, na dancingach, w knajpach, w barach, w biurach, w redakcjach — panowie dowcipkowali zachwyceni swoim własnym poczuciem humoru. Dowcipkowali z Rydza, ze schedy, z cudów nad urną i z tego... czy u Becka odkłoni się z daleka Bobkowski.

Owa lekkość i piankowość, owe rozkochanie w powiedzonkach i pointach — maskowały straszliwą bezradność i niedojrzałość. Jeżeli ktoś opowiedział dwa kawały o BBWR i pośmiał się z Rydza — uważał, że błysnął jako duch niezależny, który „tych rzeczy" nie traktuje poważnie.

Do tego dołączała się tradycja z okresu zaborów, że za rządy odpowiadają zawsze „oni" — nigdy my. Ponieważ mieliśmy ...ważniejsze rzeczy na głowie, „oni" rządzili bez przeszkód do samego końca. Nawet w ostatniej godzinie nie umieliśmy ich zmusić do utworzenia rządu koalicyjnego.

Emigracja jest karykaturą okresu dwudziestolecia. Wszystko jest tak samo tylko w pomniejszonym formacie.

Drogi Kanadyjczyku! To nie tylko emigracyjna polityka jest niepoważna — to przede wszystkim *my* jesteśmy niepoważni.

Inteligencja wywiozła z Kraju lekceważący i obojętny stosunek do polityki. To jest legenda, że Polacy interesują się polityką. Polacy interesują się personaliami, „sitwami", partyjnymi kombinacjami, ale to wszystko.

Obserwując od lat moich współrodaków na wyspach brytyjskich — podziwiając z jakim uporem, zaradnością i przedsiębiorczością rozbudowują swoje warsztaty pracy — doszedłem do wniosku, iż Polacy są znakomitym materiałem na wzorowych i wartościowych obywateli pod warunkiem, że politykę robi za nich ktoś inny. Na dnie duszy rodacy są z tego zadowoleni i cenią sobie porządek i unormowane stosunki.

Sprawa jest prosta. Ponieważ większość inteligentów — tak jak Pan, drogi Kanadyjczyku — obecnej reprezentacji politycznej nie uważa za „rzecz poważną" — ci panowie całą potencjalną opozycję traktują również za „rzecz niepoważną". I choć jestem ich przeciwnikiem sądzę, że w tej materii się nie mylą.

Kryzys wewnętrzny trwa. TRJN jest ciągle tymczasowa. Wyborów nie przeprowadza, referendum (?) nie organizuje — wykazując we wszystkim wprost przerażającą bezradność. Temu marazmowi i niedołęstwu towarzyszy

całkowita obojętność inteligencji emigracyjnej. Atakowanie BBWR kończyło się czasem w Berezie. Ale na emigracji obóz koncentracyjny nikomu nie grozi.

Gdyby pisarze, naukowcy, profesorowie, przedstawiciele życia gospodarczego, lekarze, adwokaci, architekci — zaczęli bombardować pisma emigracyjne listami do redakcji w których domagaliby się uporządkowania spraw zasadniczych a przede wszystkim wyborów — akcja taka nie minęła bez echa. Ale... wiadomo, że takiej akcji nie będzie. I jak w roku 2000 generał Odzierzyński składając Radzie Trzech życzenia noworoczne zapewni, że TRJN ...przygotowuje wybory i ...bada sprawę Bergu — również żadnej reakcji nie będzie.

Owa fałszywa i oportunistyczna „apolityczność" naszej inteligencji i sfer intelektualnych była źródłem jednego z najbardziej upokarzających kontrastów w okresie dwudziestolecia. Z jednej strony mieliśmy doskonałe pisma i periodyki, wielkiej miary pisarzy i poetów, na europejską miarę uniwersytety, znakomitych aktorów i wspaniałe teatry — a z drugiej strony mieliśmy sejm, który był parlamentem jedynie we wschodnim tego słowa znaczeniu.

Ów zdumiewający kontrast między poziomem życia intelektualnego a formacjami politycznymi — reprodukujemy wiernie na emigracji.

Wszystko to jest w dużej mierze konsekwencją braku zmysłu państwowego. Ów brak wyrównujemy — patriotyzmem. Ten sam malarz, pisarz czy architekt, który nigdy nie zajmuje się polityką i szczyci się tym — gdy zagrzmi złoty róg rzuca wszystko i idzie do wojska ...najchętniej do kawalerii. Ale nawet na wschodzie Europy okresy pokoju trwają w sumie dłużej niż wojny. I wskutek tego zbrojny patriotyzm nie zastąpi zmysłu państwowego i demokratycznego, który wyraża się świadomością, że obywatel-wyborca odpowiedzialny jest za wszystko i za wszystkich.

W świecie demokratycznym nie ma ucieczki ani od polityki, ani od odpowiedzialności. Tymczasem Polak pójdzie do wojska, wyjedzie na emigrację, będze płacił ofiary i daniny ...byle nie musiał maczać palców w polityce.

Praca społeczna ? A... to całkiem co innego. Im dana instytucja stoi dalej od polityki tym jest popularniejszą wśród emigrantów.

Apolityczność w połączeniu z patriotyzmem i gotowością do ofiary stwarza idealny klimat dla dyktatury.

Było wielkim szczęściem, że mieliśmy Piłsudskiego. Gdyby go bowiem nie było mielibyśmy dyktaturę z tą tylko różnicą, że rządziłby nami człowiek nie tak wielkiego formatu.

PUNKT NIEMIECKI

Przemawiając w dniu 29 grudnia ubiegłego roku w Waszyngtonie na dorocznym posiedzeniu „American Historical Association" były ambasador G. Kennan powiedział między innymi że ...byłby mniej zaniepokojony amerykańskimi deklaracjami na temat Europy Wschodniej, gdyby wiedział jaka będzie amerykańska polityka w stosunku do tego obszaru w chwili gdy panowanie Rosji dobiegnie tam kresu.

Nie jestem entuzjastą politycznych koncepcji p. Kennana — niemniej trzeba przyznać, że zagadnienie poruszone przez niego jest bardzo istotne.

Nie tylko ambasador Kennan i kierownicy polityki Stanów Zjednoczonych ale i my najbardziej w tej sprawie zainteresowani — nie mamy wypracowanej odpowiedzi na pytanie: jak powinna być zorganizowana Europa Wschodnia po uwolnieniu?

Dla bardzo znacznego procentu emigrantów samo pytanie nie jest ważne. Większość zakłada, że Rosja (tak czy inaczej) upadnie a Niemcy spętane ograniczeniami zbrojeniowymi nie będą groźne.

Omawiając świąteczne orędzie prezydenta Eisenhowera londyński „Dziennik Polski" w artykule wstępnym stwierdził, że dziś i Polacy nie chcą wojny lecz pragną wyzwolenia środkami pokojowymi. Gdyby „Dziennik Polski" odważył się wystąpić z podobną tezą siedem lat temu — emigranci londyńscy zlynczowaliby redaktora jako defetystę.

Wyzwolenie środkami pokojowymi — bez względu co o tej koncepcji sądzimy — automatycznie przekreśla ideę wilsonowską tak zwanego samostanowienia.

Dlaczego? Dlatego, że wyłącza ...zrównanie Rosji z ziemią. Zakładamy bowiem, że Rosja pod wpływem gróźb, nacisków, negocjacji itp. — któregoś pięknego dnia wycofa się z Europy Wschodniej. Ale oczywiście nawet jeżeli się wycofa nie przestanie być nadal wielkim i groźnym mocarstwem.

Byłoby nonsensem mówić o samostanowieniu w uwolnionej Europie Wschodniej wciśniętej pomiędzy potężną Rosję a odbudowane Niemcy.

W tym momencie w każdej dyskusji na te tematy pada magiczne słowo: federacja.

Jaka federacja? Czy uzgodniliśmy choćby na cierpliwym papierze jakiś konkretny projekt federacji dla Wschodniej Europy? Nie, takiego planu nie mamy. Istnieje natomiast cała seria projektów raczej sprzecznych.

Analiza tych sprzeczności wybiega poza ramy kronikarskiej notatki. Wystarczy jeżeli stwierdzimy, że znakiem rozpoznawczym tych koncepcji federacyjnych jest stosunek do Niemiec. Nie będzie przesady w opinii, że jedną z kardynalnych przeszkód, które uniemożliwiają znalezienie wspólnego języka w tej sprawie — jest tak zwany problem polsko-niemiecki. Byłoby uproszczeniem twierdzić, że to jest jedyna przeszkoda — sądzę jednak, że gdyby tę zaporę udało się usunąć — inne różnice poglądowe straciłyby znacznie na ostrości.

Do tego zagadnienia powrócę w jednym z następnych artykułów w „Kulturze", na tym miejscu chciałbym tylko zwrócić uwagę Czytelników na pewną paradoksalność sytuacji, z czego nie wszyscy zdają sobie sprawę.

Koncepcja wyzwolenia środkami pokojowymi odbiera wilsonowskiemu „samostanowieniu" wszelki realizm. Jeżeli mamy istnieć pomiędzy potężną Rosją a potężnymi Niemcami — mamy przed sobą trzy drogi: 1) Szukać oparcia o Rosję; 2) Szukać oparcia o Niemcy; 3) Utworzyć związek federacyjny.

Ale w gruncie rzeczy to jest rozumowanie teoretyczne, schematyczne, papierowe a nie polityczne.

Dlaczego? Dlatego, że dziesiątki wieków historii pouczają nas, że

słabi nie szukają nigdy oparcia u słabych. Wprawdzie słaby słabemu w niczym nie zagraża ale również nie jest w stanie niczego zabezpieczyć.

W chwili obecnej w całej Europie Wschodniej dominuje nastrój anty-rosyjski. Jeżeli okupacja potrwa jeszcze kilka lat uczucia anty-rosyjskie będą zasadniczym budulcem porozumienia po wyzwoleniu krajów Europy Wschodniej. Jeżeli Niemcy będą umieli wygrać politycznie ten atut — Polska z niezałatwionym problemem niemieckim może się znaleźć w całkowitej izolacji.

Wystarczy spojrzeć na przykład Czechosłowacji. Przed wojną mieliśmy politykę w stosunku do Niemiec niemal identyczną jak Czesi. Różniliśmy się natomiast w podejściu do Rosji. Dziś sytuacja zmieniła się o 180 stopni. Mamy identyczną politykę w stosunku do Rosji a różnimy się w podejściu do problemu Niemiec.

To jest zwrot bardzo charakterystyczny. Według tego klucza rozwijać się będzie sytuacja polityczna w Wschodniej Europie.

Co to wszystko oznacza przełożone na język realistycznej polskiej polityki?

Oznacza to, że nawet związek federacyjny nie uchroni nas przed koniecznością dokonania wyboru. Musimy się ułożyć albo z Rosją albo z Niemcami. Do federacji — która byłaby jak Światowid — na wschodzie zwrócona przeciwko Rosji a na zachodzie przeciwko Niemcom — w Europie Wschodniej nie znajdziemy partnerów.

ANKIETA

Nie zadajemy pytań jeżeli odpowiedź pozytywna na dane pytanie jest oczywistym nonsensem. Nikogo nie zanudzamy pytaniami w rodzaju: Czy księżyc jest z marcepanu? Czy istnieje różnica między wodą a dżinem? Czy p. A. Zaleski kiedykolwiek zrezygnuje?

Wiadomo, że logicznie poprawna odpowiedź na powyższe pytania może być tylko negatywna i dlatego nie ma powodu ich zadawać.

Nie wszyscy jednak podzielają nasz pogląd w tej sprawie. Pewien londyński tygodnik o dużych ambicjach politycznych (co jest niewątpliwie jego zaletą) — rozpisał ankietę, której pierwsze pytanie brzmi następująco:

Czy państwo polskie jest w stanie walczyć samodzielnie przeciw Rosji i Niemcom równocześnie?"

Ponieważ wzmiankowany tygodnik wzywa wszystkich publicystów polskich na emigracji by wzięli udział w ankiecie — uważam za swój obowiązek dziennikarski wyrazić mój pogląd w tej sprawie.

Drodzy Panowie! Ależ oczywiście jesteśmy w stanie walczyć samodzielnie (i równocześnie!) nie tylko przeciwko Niemcom i Rosji lecz również przeciwko innym naszym odwiecznym wrogom a mianowicie przeciwko: Ukraińcom, Czechom, Litwinom, Białorusinom i Żydom w Izraelu. Ktokolwiek w to wątpi jest człowiekiem mizernej wiary. Dla takich niedowiarków nie może być miejsca w zwartych szeregach naszej superpolitycznej emigracji.

LONDYŃCZYK

Kronika kulturalna

August Zamoyski

W roku 1919, w Warszawie, powiedział mi pewien wybitny emigrant rosyjski: „Stale czytam wasze gazety i jedna rzecz mnie uderza: nie ma w nich prawie wcale literackich aluzji czy cytat z literatury tak jakbyście jej wcale nie mieli — poza jedną jedyną cytatą, która za to powtarza się aż do znudzenia: „Nie czas żałować róż, gdy lasy płoną". O parę ulic dalej od miejsca, gdzie mieszkał ten emigrant, w tym samym roku, w gmachu Polonii, odbyła się pierwsza wystawa rzeźb Augusta Zamoyskiego. Sensacja i skandal. Lasy naprawdę płonęły, a rzeźby Augusta Zamoyskiego to były „róże", które ten artysta zdecydował się kultywować wbrew powtarzanym w kółko w gazetach tłumaczeniom, że nie czas na sztukę, że to „róże".

Zamoyski, ten rzeźbiarz-ekspresjonista na granicy abstrakcji, pojawił się wówczas z Niemiec. Jego rzeźby — dziwne elipsy, koła, bloki, kiełbasy i kuby. Niektóre z nich, pomimo form abstrakcyjnych, były jednocześnie portretami, a co dziwniejsze, że te portrety — Kasprowicza, Heleny Potockiej, Zborowskiego — były uderzająco podobne, choć jak i inne ówczesne rzeźby Zamoyskiego, jak najdalej odległe od realistycznego ujęcia twarzy.

Lasy płonęły: Lwów, wojna z bolszewikami na karku, chaos niebywały, powstające Państwo Polskie, cała młodzież na froncie, Piłsudski Naczelnikiem Państwa („mam wiadomości pewne, że Piłsudski ma podziemny telefon z Moskwą" — słyszałem, w owym czasie, na własne uszy jak to mówiła na ulicy Traugutta w Warszawie paniusia paniusi). I naraz te elipsy i koła w Polonii — do niczego niepodobne i do niczego niezdatne („ten rzeźbiarz żonaty z tancerką to musi być... mason").

„Róże" pierwszych lat Polski. Pamiętajmy, że jedyna sztuka jaką znała wtedy *ulica* to był „Ułan i dziewczyna" Wojciecha Kossaka i... Stachiewicz z Matejką i Grottgerem jako tło.

Zamoyski miał już wtedy za sobą studia filozoficzne w Heidelbergu i Fryburgu, udział w wojnie, niewolę w Niemczech —

prawda, że niewolę z tamtych czasów. Pozwolono mu mieszkać w Monachium, — bez prawa wyjazdu i z obowiązkiem meldowania się policji — i pracować jako rzeźbiarz i kamieniarz u sławnego wówczas artysty, Wackerle. Pozwolono mu nawet wziąć udział w wystawie ekspresjonistycznej grupy ,,Aktion'' w Berlinie, z Pechsteinem! Tam spotyka braci Hulewiczów, przyjaźni się z nimi i dzięki nim trafia do poznańskiej grupy ,,Zdroju'', a stamtąd do Warszawy. Katalog wystawy Zamoyskiego opatrują wstępami formiści: Chwistek i Stanisław Ignacy Witkiewicz.

Jakże dziś łatwo nazwiska formistów wyrecytować i ustawić jako jeden z szacownych kierunków sztuki w Polsce okresu międzywojennego. Ale jakże inaczej to wyglądało gdy ta grupa zaczęła tworzyć i propagować swoje idee. To była naprawdę *awantura*: manifesty, wystawy, studia teoretyczne o sztuce, studia filozoficzne, malarstwo, rzeźba, hece po kawiarniach, wieczory poetyckie no i jednodniówki. ,,Skamander'', w porównaniu, zdawał się nam wówczas prawie pudełkiem od czekoladek Wedla. Dziś, patrząc wstecz, uderza klasa artystyczna formistów. Była to chyba najwybitniejsza grupa artystyczna w Polsce międzywojennej. Witkacy, pisarz i malarz, dramaturg, filozof i teoryk sztuki, facecjonista tragiczny i genialny słowotwórca; z rzeźbiarzy — Zamoyski, z malarzy: bracia Pronaszkowie, Mierzejewski, Tymon Niesiołowski i przede wszystkim Tytus Czyżewski; z filozofów — Leon Chwistek.

Wystawa Zamoyskiego w Warszawie była przecież peryferyczną manifestacją tego ruchu, którego sercem był Kraków i może bardziej jeszcze — Zakopane.

Kiedy formista Zamoyski wystawiał w Warszawie — ,,lasy płonące'' zajmowały mnie osobiście więcej niż ,,róże'', i z tej małej salki Polonii, zapełnionej dziwnymi rzeźbami zachowałem słabe wspomnienia. Dopiero w roku 1921, w Akademii Krakowskiej, formiści dotarli i do mojej świadomości poprzez Klub Gałki Muszkatułowej, założony i obmalowany przez nich w kawiarni Esplanada. Tam też wysiadywał Peiper ze swoją ,,Zwrotnicą'', do której pisywał Zamoyski, tam biegali Kapiści (*).

Od Formistów szły te koncerty malarskie, organizowane przez kapistów: Jaremę, Waliszewskiego, Cybisa i Szczyrbułę, te wieczory poetyckie, gdzie przemawiali Jasieński i Młodożeniec, a afisze malował Waliszewski, te jednodniówki Tytusa Czyżewskiego i Jasieńskiego, groźne i gorszące.

Kto się gorszył? Szlachetny Żeromski, bronił nawet arcydrastycznych ustępów ,,Zenobii Palmury'' Iwaszkiewicza, porównując je z wyznaniami J.J. Rousseau, a nas wszystkich na-

---

(*)Kapistów łączy się zawsze, i słusznie, z Pankiewiczem. Ale jeżeli grupa ta wybrała Pankiewicza na swego nauczyciela w 1923 roku, to *kołyska* kapistów stała nie w pracowni Pankiewicza, który wówczas był jeszcze w Paryżu, ale w zadymionej kawiarni Esplanada, tuż przy ,,Gałce Muszkatułowej''.



mawiał byśmy nareszcie włączyli się w nurt sztuki światowej, uwalniając się od obsesji narodowego wieszczowania, ale, bodaj w ,,Snobizmie i Postępie'', pisał boleśnie jak to robotnicy w Polsce odrodzonej głodni wiedzy i światła kupują przy wyjściu z fabryki jednodniówkę Formistów : ,,Chcemy szczać we wszystkich kolorach''.

Zawsze mnie zastanawiała reakcja na tego rodzaju wybryki starego Krakowa. Profesor Leopold Jaworski, faktyczny prezes konserwatystów, filuternie i przyjaźnie pochylał swą ogromną łysą głowę, gdy przechodził obok Esplanady i Gałki Muszkatułowej i uśmiechał się pod wąsem. Arcykatolickie hrabiny udając, że nic nie wiedzą, czy naprawdę nic nie wiedząc, posyłały swoje torty i swoje córki na bale akademickie, gdzie królowali wyznawcy Formistów, a lekarze i dentyści zakupywali ich obrazy, darmo leczyli, a nawet razem dokazywali. Kraków był zahartowany przez ,,Zielony Balonik'', ,,nagą duszę'' przybyszewszczyków i wierszyki Boya, a może najprościej był miastem w Polsce najkulturalniejszym i dzięki temu tolerancyjnym, z perspektywą widzenia i humorem.

W galerii typów, tworzących ruch Formistów, August Zamoyski był chyba, obok Witkacego, najkolorowszy i najbardziej gorszący. Gorszyło nie tylko to, że ożenił się z tancerką i wystawia rzeźby do niczego niepodobne, ale i to, że wprowadził zupełnie nowy typ artysty : zadzierżysty, głośny humor, ani śladu suchot, ani peleryn, ani długich czy półdługich włosów, za to buty z ćwiekami, portki z surowego płótna czy z łowickich pasiaków, szał sportowy, championaty nart, a na dobitkę jeszcze rekordy rowerowe (216 km. przeciętnie na dzień z Paryża do Zakopanego i brama triumfalna na cześć półnagiego rowerzysty przed kawiarnią Karpowicza). Dziś sezon nart należy do obrzędów światowego życia, jak kiedyś wyścigi i karnawały. Zapominamy jak ten styl w owym czasie był nowy w Polsce. Dosłownie gorszył.

Może w historii Zamoyskiego datą najbardziej znaczącą jest nie przyłączenie się do grupy berlińskich ekspresjonistów, czy wystawa w Polonii, czy nawet cały okres formistyczny, ale rok 1923, kiedy artysta wzbogacony doświadczeniem swych lat pracy nad ,,czystą formą'' z całą bezwzględnością wraca do natury i naturę z powrotem studiuje, rzeźbi akty i głowy. Od tego roku przeważnie tkwi w Paryżu. *Jego,* między innymi, posiew abstrakcyjny pleni się i rozrasta na całym świecie, a on sam, jakby od tej, od natury oderwanej, formy odwracał się plecami. Na zeszłorocznej Biennale w Sao Paulo, w Brazylii, byłem uderzony podobieństwem, *pokrewieństwem* wielu wystawianych tam rzeźb abstrakcyjnych z całego świata z rzeźbami Zamoyskiego sprzed... 35 laty. Rodzone siostry. Jedna z takich właśnie rzeźb Zamoyskiego : ,,Kasprowicz'', znajduje się w zbiorach muzeum w tymże Sao Paulo.

Nie tkwiąc w rzemiośle sztuki, a będąc jedynie jej odbiorcą, trudno jest zrozumieć jak śmiałe, jak rzadkie i ryzykowne, jest tego rodzaju przejście od sztuki abstrakcyjnej czy półabstrakcyjnej z powrotem do przedmiotowej. Już w roku 1924, na wystawie w Paryżu zastanowił mnie portret Marcussisa, czołowego kubisty, przyjaciela Apollinaire'a. Robił wrażenie szczytu beztalencia, przeciętnego akademizmu, a przecie Marcussis był wybitnym kubistą. W naszych czasach jeden z najgłośniejszych abstrakcjonistów, de Stahl, próbował wrócić do malarstwa przedmiotowego. Jego samobójstwo sprzed roku było komentowane jako skutek tego przeskoku, którego nerwowo znieść nie potrafił. Eklektyzm jest łatwy dla smakoszów sztuki, dla artystów konieczność wyboru bywa tragiczna — angażować go musi *całego*.

W Paryżu, w latach od 1923 do 1933, Zamoyski pracuje w marmurze i granicie. Znają go wszyscy i on zna wszystkich. Jest jednym z niewielu rzeźbiarzy o głębokiej wiedzy i pasji rzemiosła. Około roku 1933 wraca do Polski i pozostaje w niej z krótkimi do Paryża nawrotami. Jego wielka wystawa w IPS'ie, w 1936 roku, jest sukcesem. Otrzymuje zamówienia na pomniki i nagrodę miasta Warszawy. W roku 1938 zaś w Paryżu — wielką nagrodę rzeźby. Na swoim ukochanym Podlasiu, gdzie zamieszkał po śmierci ojca, rzeźbi między innymi ,,Głowę Wierki''. Wydaje mi się ona arcydziełem Zamoyskiego. Ta głowa z czarnego granitu jest dziś w Muzeum Narodowym w Warszawie, a jej replika tutaj, w Paryżu (**).

Wojna wyrzuca Zamoyskiego do Brazylii. Tam, na terenie całkowicie nieznanym, ten rzeźbiarz o wściekłym temperamencie, już nie polskim, nie słowiańskim, a chyba węgierskim (matka Węgierka) — stwarza cały ruch. Mianowany profesorem Akademii w Rio de Janeiro buduje na spółkę z żoną, uroczą i szlachetną Brazylijką, wielkie pracownie gdzie zespołowo, z uczniami, wykonuje rzeźbiarskie zamówienia na zasadach kooperatywy, gdzie artyści i pisarze brazylijscy zbierają się, by dyskutować o sztuce. Wyrusza ze swymi uczniami w głąb pustego kraju, wiezie ich aż do kamieniołomów w interiorze i tam, na miejscu, uczy jak wydobywać bloki kamienne i oceniać ich wartość. Ostatnie trzy lata wykłada rzeźbę w Sao Paulo.

Szereg rzeźbiarzy znanych dziś w Brazylii wyrosło z jego uczniów. Niejednego jednak Zamoyski do rzeźby zniechęcił, bo lubi tłumaczyć, że rzeźbiarzem z prawdziwego zdarzenia można zostać dopiero po 30-tu latach nauki. Nie jest rzeźbiarzem ten, kto sam nie umie kuć i sam rzeźby odlewać.

W Rio, na głównym placu, stoi pomnik Chopina dłuta Zamoyskiego. Chopin we fraczku, prawie chłopięcy, trzyma jedną rękę po uchu — przysłuchuje się głosom z Polski. Taka była idea pomnika. Ustawiono go podczas wojny, w ogrodzie nad

(**) Galérie Maguy (69, Fbg St.-Honoré).

morzem, na niskim cokole, z twarzą skierowaną ku Polsce. Ale burmistrz miasta, chcąc uczcić rzeźbiarza, kazał przenieść pomnik, typowo kameralny, na ogromny cokół (będący jednocześnie wentylatorem gmachu teatralnego) na główny plac, naprzeciwko Opery (,,przecież tam grają Chopina'' — mówił burmistrz). Dysproporcja postaci z wielką masą cokołu-wentylatora niszczy harmonię pomnika, przy tym pod cokołem jest stacja autobusów. Chopin nadstawia ucha, a autobusy ciągle trąbią. A do tego, tuż obok, inny ogromny pomnik pełen kamiennych fal, nagich kobiet i panów z brodami, pomnik wobec którego nawet niedawno zniesiony z placu Louvre'u Gambetta wydawałby się klasycznie surowy — miażdży kruchą postać Chopina. Zamoyski mówi o tym z goryczą, jako o zniszczeniu jego pracy.

Dzisiejszy prezydent Brazylii, Kubiczek, wówczas wielkorządca stanu Minas Gerais, stworzył nowoczesną miejscowość wypoczynkową przy Bel Horizonte — Pampulię. W zespole projektodawców, obok jednego z największych architektów Brazylii, Niemeyera i malarza Portinari — brazylijskiego Picassa — był również Zamoyski, który ustawił tam wielką rzeźbę półleżącej, nagiej kobiety na tle kasyna, zaprojektowanego przez Niemeyera. Również w Brazylii pozostawił Zamoyski potężną rzeźbę z białego marmuru : wielki akt kobiety zamyślonej o bujnych kształtach i schylonej głowie. ,,Tę rzeźbę nazwałem *Ziemia*'' — mówi Zamoyski — ,,jest odpowiednikiem *Myśliciela* Rodin'a''. Dwadzieścia kilka rzeźb przywiózł obecnie artysta z powrotem do Paryża, gdzie dalej zamierza pracować. Gdybyż jednak Zamoyski był tylko rzeźbiarzem ! Problematyka religijna i filozoficzna pasjonuje go od zawsze a dziś może więcej niż kiedykolwiek. Od dwóch lat przygotowuje się do rzeźby ,,Piety'' i ma już szereg szkiców w brązie i glinie. Z kategorycznością i jemu właściwą wyłącznością, widzi dziś w sztuce religijnej jedyną formę sztuki godną wysiłku i pracy. Ale i tu chodzi własnymi drogami, równie daleki od taniej słodyczy Saint-Sulpice jak od ,,moderny'' sztucznej i wysilonej wystaw ,,art sacré''.

,,Urodził się Pan trzysta lat za późno, albo trzysta lat za wcześnie'' taką dedykację wypisał Zamoyskiemu na swojej książce Bernanos, w Brazylii.

Ostatnią swoją rzeźbę — Św. Jana Chrzciciela, dwumetrową postać w brązie z podniesioną ręką — Zamoyski, po przyjeździe do Paryża, ustawił w ogrodzie domu ,,Kultury''. Zrobił nam tę radość i ten zaszczyt. Wierzymy że rzeźba ta nie będzie u nas wiekować, że zechce ją nabyć muzeum, galeria czy kolekcjoner. Głowy i akty Zamoyskiego znajdują się przecież w wielu muzeach i prywatnych kolekcjach od Warszawy i Paryża po Rio i Sao Paulo.

Ten wielki polski rzeźbiarz, jeden z pierwszych twórców rzeźby abstrakcyjnej, walczy dziś o istnienie sztuki rzeźbiarskiej figuralnej, ,,sur nature'', jakby powiedział Cézanne. Jest on może znamieniem czasu : wyprzedza swoją świadomością to, do

czego jeszcze nie doszła masa dzisiejszych rzeźbiarzy na Zachodzie — oddani abstrakcyjnym eksperymentom i abstrakcyjnej modzie zapomnieli kuć i już nie umieją pracować *sur nature.*

Józef ĆZAPSKI

Slavistica w Harvardzie

Skromne, bardzo skromne, były początki tego co stanowi dziś chlubę Stanów Zjednoczonych: Harvard University. Cambridge, przedmieście Bostonu, jest typowym miastem uniwersyteckim, daleko odbiegającym od przeciętnych miast amerykańskich. To Harvard nadaje mu oblicze, wyciska na nim piętno. Uniwersytet rozrósł się tak ogromnie, że nie mieści się w murach swojego potężnego ,,campus'u'', wybiegł nawet z Cambridge do różnych części Bostonu. Młodzież uniwersytecka dominuje na ulicach, w sklepach, miejscach rozrywkowych. Na Harvard Square i sąsiadujących ulicach pełno księgarń, zaopatrzonych w różnojęzyczną literaturę. Można dowoli, godzinami wertować stosy starych książek, co najmniej jak w sławnych antykwariatach Paryża, Londynu, Warszawy, Wiednia, Berlina, Pragi czy Hamburga. Nikt nie przymusza do kupna, nikt niczego nie zaleca. Pożerają książki młodzi ludzie, studenci i studentki, a świeżą zdobycz podają sobie z rąk do rąk w zacisznej restauracyjce. Brakuje w niej tylko europejskiego kelnera, który by udzielał studentom kredytu.

Harvard University, najlepsza wyższa uczelnia w Stanach Zjednoczonych, posiada w swoim gronie profesorów, zajmujących czołowe stanowiska w nauce świata. Z tej uczelni wyszło wiele najznakomitszych osobistości nie tylko Stanów Zjednoczonych, ale całej Ameryki. Dyplom jakiegokolwiek wydziału Harvard jest najlepszym biletem wizytowym młodego człowieka. Nic więc dziwnego, że o prawo studiowania na tej uczelni toczą się dosłownie boje. Nie wystarczy mieć środki materialne, mimo iż to pomaga, nie wystarcza być synem lub córką absolwenta tego uniwersytetu, jakkolwiek jest to pomocne, trzeba zadowolić wymagania dziekana wydziału. Aspirant na studenta w Harvard czyni pierwszy krok za pośrednictwem dyrektora szkoły średniej, jeszcze przed końcowymi egzaminami. Do podania załączone są wyniki szkolne z kilku ostatnich lat, opinia dyrektora oraz profesorów. Aspirant bywa wzywany indywidualnie do dziekana na wstępną rozmowę. Brak takiego zaproszenia równoznaczny jest z odrzuceniem podania. Po końcowym egzaminie szkolnym odbywa się druga kolejna rozmowa w dziekanacie i dopiero wówczas zapada decyzja. Niektórzy studenci czekają cierpliwie kilka lat na Harvard, jeszcze inni przychodzą tam na studia podyplomowe.

Harvard powstał w 1639 roku oczywiście jako ,,college'', w rok po śmierci fundatora Johna Harvarda i w rok po założeniu miasteczka Cambridge. Naturalnie było to dzieło purytanów angielskich, którzy postanowili uczcić sławną uczelnię z której wyszli. John Harvard nie był ani sławnym pisarzem ani uczonym. Gdy zmarł, liczył zaledwie 37 lat. W spadku zostawił £780, co stanowiło połowę jego majątku, oraz 260 książek. Ten kapi-

tał i księgozbiór stanowiły zaczątek Harvard College i biblioteki. Uczelnia rozbudowywała się systematycznie i szybko wybijając się na czoło wszystkich późniejszych wyższych zakładów naukowych Stanów. Dziś Harvard University, pozostając uczelnią prywatną, jest bodajże najbogatsza. Wartość samych budynków wynosi około 500 milionów dolarów, roczne dochody łączne z dotacjami wynoszą dziesiątki, czasami setki milionów. Personel profesorski przekracza 2.000 a ilość studentów 20.000. Uczelnia wydaje rocznie ponad 2.000 dyplomów. Do tego dochodzą setki dyplomantów z innych uniwersytetów, uzupełniających w Harvard swoje studia. Uniwersytet posiada naturalnie liczne instytuty badawcze, szereg muzeów. W tym wspaniałe muzeum sztuk pięknych (Fogg) i cały zespół gmachów bibliotecznych. Księgozbiór uniwersytecki liczy około 6 milionów tomów i jest największym uniwersyteckim księgozbiorem świata. Nie brak w nim najrzadszych bibliofilskich okazów. Osobne budynki mieszczą pierwodruki angielskie, inne rękopisy, stare druki, wydawnictwa lingwistyczne, księgozbiory sztuki itp. Niezależnie od tego wydziały posiadają własne biblioteki, niejako podręczne. Warunki pracy są idealne. Specjalne aparaty powiększające są do dyspozycji pracujących nad rękopisami. W gabinetach naukowych znajdują się cichopiszące maszyny, w korytarzach, przy regałach książek, rozmieszczone są biurka. Tutaj student może mieć dowolną ilość książek, po które sam sięga.

SLAWISTYKA

Slawistyka jest młodym wydziałem na Harvard; do 1948 roku była jednoosobowa. Prof. Cross był tym omnibusem. Na wydziale historycznym znajdował się od 1927 roku prof. Michał Karpowicz, jednakże nie wykładał na slawistyce. Trudno powiedzieć dlaczego wydział był tak zaniedbany, jakkolwiek na innych uczelniach slawistyka była wcale dobrze postawiona, nie mówiąc o tym, że w Harvard prowadzi się poważne studia nad poszczególnymi zagadnieniami z zakresu slawistyki. Zmarły już historyk prof. Lord, autor bardzo dobrego dzieła o drugim rozbiorze Polski, położył wielkie zasługi nad skompletowaniem księgozbioru historycznego (polskiego i o Polsce). Brakło jednak wydziału w pełnym tego słowa znaczeniu. Gdy prof. Cross zmarł zwrócono się do prof. Karpowicza z propozycją objęcia wydziału.

W kancelarii wydziału slawistycznego wisi wielki portret Adama Mickiewicza. To rodzaj plakatu na otwarcie wystawy mickiewiczowskiej w Houghton Library. Profesor Karpowicz wstrzemięźliwie i dyskretnie odsłania kulisy swojej pamiętnej decyzji.

— *Wielki to zaszczyt stanąć na czele jakiegoś wydziału w Harvard, ale nie chciałem iść w ślady swojego czcigodnego poprzednika, to znaczy nie chciałem być jednoosobowym wydziałem. Kiedy otrzymałem propozycję i gdy wskazano mi, że jestem najodpowiedniejszą osobą, zarówno ze względu na swoje pochodzenie, jak i długoletni pobyt w Harvard, zastrzegłem sobie prawo namysłu. Następnie zakomunikowałem władzom uniwersyteckim, iż przyjmę wydział pod warunkiem zabezpieczenia środków na jego rozbudowę. Oświadczyłem, że jeśli zatwierdzą odpowiednie projekty wówczas podejmę się zadania stworzenia godnego tej uczelni wydziału slawistycznego. Władze uniwersyteckie przyjęły bez zastrzeżeń moje warunki i tak w 1948 roku znalazłem się na czele wydziału. Nie porzuciłem jednak całkowicie swojej katedry na wydziale historycznym, ograniczyłem tylko swoje zajęcia. Pierwszą moją funkcją było zaangażowanie profesorów poszczególnych przedmiotów. Dziś, obok mnie, są następujący profesorowie: Jacobson, filologia ogólna, ze szczególnym uwzględnieniem rosyjskiej; pani Pirkova-Jacobson, język i literatura czeska; Weintraub, język i literatura polska; Czyżewskij,*

słowiańska filologia porównawcza, język rosyjski; Lunt, filologia; Lord, język i literatura jugosłowiańska; Poggioli, literatura rosyjska; Mc Lean, rosyjski. Do tego dochodzą lektorzy języków słowiańskich. Na wydziale naszym nie mamy, niestety, katedry ukraińskiej, jakkolwiek mamy odpowiedniego profesora a mianowicie p. Czyżewskiego. Ten stan rzeczy nie jest wynikiem złej woli z mej strony czy też administracji uniwersyteckiej, ale braku zainteresowania wśród studentów. W bieżącym roku mamy 25 studentów, 35 słuchaczy po dyplomach na innych wydziałach. Jednakże te cyfry nie dają pełnego obrazu działalności czy prac wydziału. Na lekcje języków słowiańskich, przede wszystkim rosyjskiego, uczęszcza bowiem bardzo wielu studentów i dyplomatów z innych fakultetów.

Mamy w Harvard zupełnie swoisty wydział , tzw. Regional Studies. Powstał on w czasie wojny i miał doraźne cele przeszkolenia młodych ludzi do określonych zadań na terenach wyzwolonych. Studenci uczyli się języków — czasami wybierali jeden — historii, geografii, ekonomii itp. Słowem otrzymywali dość rozległe, jakkolwiek powierzchowne, wykształcenie, specjalizując się w jednym państwie. Regional Studies utrzymano, ale oczywiście zreorganizowano je. W grupie państw słowiańskich wykładają nasi profesorowie.

Natomiast znany na całym świecie Russian Research Centre nie jest komórką uniwersytecką. Jest to instytut badawczy, którego prace finansowane są przez Fundację Carnegie. Wchodząc w skład rady Research Centre nie biorę jednakże udziału w bezpośrednich, aktualnych pracach tego ośrodka. Niemniej jednak mamy stały kontakt.

Prof. Karpowicz patrzy optymistycznie na rozwój wydziału. Uważa, że największe trudności zostały przezwyciężone.

— Muszę być optymistą. Obejmowałem wydział jednoosobowy i w przeciągu siedmiu lat mamy ośmiu znakomitych profesorów, wybitnych specjalistów. Liczba studentów stale wzrasta. Ciągle co prawda największe zainteresowanie budzi rusycystyka, ale jestem przekonany, że i to się niebawem zmieni.

POTOMEK POWSTAŃCA Z 1831 ROKU

— Jak się Pan dostał do Stanów, panie profesorze? — pytam. Profesor Karpowicz śmieje się:

— Muszę pana wyprowadzić z błędu. Wcale nie jestem emigrantem rosyjskim. Nieomal siłą zmuszono mnie do wyjazdu z Rosji. A tak, niech się pan nie dziwi! Lecz zanim do tego dojdziemy zdradzę panu również „tajemnicę" swego pochodzenia. Naturalnie każdy wie, że jestem Rosjaninem. I tak jest w istocie, gdy chodzi o samopoczucie i najbliższą przeszłość. Dalsza natomiast, podobnie jak fakty i legendy rodzinne, przedstawiają się nieco odmiennie. Mój dziad był Polakiem i katolikiem. W rodzinie opowiadano, że jako młodzieniaszek szkolny brał udział w powstania w 1831 roku. Zapewne nie był wybitnym żołnierzem i zbytnio nie naraził się administracji carskiej, gdyż zamiast na Sybir wyjechał z Wileńszczyzny do Tyflisu. Tutaj skończył wydział medyczny, następnie osiadł na stałe. Ożenił się z Gruzinką, ale katoliczką z domu Tumanow. Mój ojciec był inżynierem, również mieszkał w Tyflisie, gdzie i ja się urodziłem, i ożenił się z Rosjanką. Mówił jednakże dobrze po polsku i języka tego używał zawsze w rozmowach ze swoją rodziną. Otrzaskałem się więc słuchowo z językiem polskim od dzieciństwa. Mogę dziś swobodnie czytać po polsku, ale trudno mi jest rozmawiać. Jeśli więc pan chce można mnie uważać za wnuka

powstańca polskiego z 1831 roku. Więcej takich polskich potomków znajdzie się wśród Rosjan.

Wróćmy jednak do mojego przymusowego wyjazdu z Rosji. Z wybuchem pierwszej wojny światowej powołany zostałem do służby wojskowej. Przydzielono mnie do ministerstwa spraw wojskowych w Petersburgu. Tam spotkałem w marcu 1917 roku, na ulicy, swojego ziomka z Tyflisu, przyjaciela rodziny, ministra Bachmietjewa. Powiedział mi, iż został mianowany przez nowy rząd posłem pełnomocnym w Waszyngtonie. Zapowiedział, że zamierza zabrać mnie ze sobą. Z miejsca odmówiłem. Byłem pijany nową rzeczywistością w Rosji i uważałem, że jest znacznie ciekawiej na miejscu, aniżeli gdziekolwiek na świecie. Zamierzałem być czynnym uczestnikiem wykluwania się rosyjskiego systemu demokratycznego. Bachmietjew jednak nie przejął się moją odmową. Po pewnym czasie powiadomił mnie, że poczynił urzędowe kroki celem mianowania mnie członkiem swojego poselstwa. Broniłem się bardzo energicznie, wreszcie uległem, gdy zapewnił mnie, że uważa swoją misję za przejściową. Zamierza jedynie załatwić pożyczkę amerykańską a następnie powrócić do Petersburga. Wskazywał, że musi mieć w swoim gronie bliskiego człowieka, na którym może bezwzględnie polegać. Zostałem więc czymś w rodzaju jego sekretarza i w lipcu opuściliśmy Rosję. Jak pan widzi misje przejściowe mają to do siebie, że trwają nieskończenie długo. Z Bachmietjewem urzędowaliśmy do 1922 roku i to na wyraźne życzenie władz amerykańskich. Kiedy wreszcie zakończył się żywot naszego poselstwa, wziąłem się do tłumaczeń, powróciłem do pracy naukowej. W 1927 roku zostałem powołany na profesora historii i literatury rosyjskiej w Harvard. Nie znalazłem się więc w Stanach w charakterze emigranta, przybyłem przypadkowo jako członek misji dyplomatycznej i pozostałem. Naturalnie nie żałuję.

DOROBEK PROF. KAPROWICZA

Prof. Karpowicz wychował już poważne grono rusycystów. Około 30 jego uczniów jest wykładowcami na różnych wyższych uczelniach w Stanach, kilku ma katedry w Harvard. Jest on autorem podstawowego podręcznika historii rosyjskiej pt. ,,Imperial Russia'', który ukazał się w 1932 roku. W dziele zbiorowym ,,Economic History of Europe since 1750'' prof. Karpowicz jest autorem rozdziału ,,Russia''. Jest redaktorem czasopisma rosyjskiego ,,Nowyj Żurnał'', współpracuje z czasopismem ,,Russian Review'', gdzie stale publikuje artykuły. W przygotowaniu do druku są trzy wielkie dzieła: 1) *History of Russia,* 2) *Intelectual History of Modern Russia,* 3) cztery tomy nowoczesnej historii Rosji od Aleksandra I-go w 10-tomowym zbiorowym dziele pod redakcją prof. Wernadskiego z uniwersytetu Yale.

Prof. Karpowicz jest bardzo wysokiego zdania o amerykańskich rusycystach. Śmieszne i naiwne — mówi prof. Karpowicz — jest podejście już nie tylko emigrantów, ale w ogóle Europejczyków. Wyobrażają sobie, że my, tutaj, w Stanach, nie potrafimy wychować specjalistów, że trzeba koniecznie należeć do danej grupy narodowej, by orientować się w jego problemach. Proszę mi wierzyć, że uczyniono wiele, bardzo wiele, na uczelniach amerykańskich celem wyszkolenia odpowiedniego narybku i naukowego i dla służby publicznej. Śmiało twierdzę, że wielu Amerykanów zna lepiej poszczególne zagadnienia sowieckie, aniżeli niejeden z emigrantów. Trochę więcej skromności i obiektywności na pewno nie zaszkodzi. Mógłbym wymienić szereg nazwisk, które stanowiłyby chlubę każdego uniwersytetu europejskiego. Bynajmniej nie mam na myśli wyłącznie wychowanków Harvard University, jakkolwiek ci nie zajmują najpośledniejszego miejsca.

Mamy wielu doskonałych badaczy wyszkolonych w Europie, mamy Europejczyków, którzy wyszkolili się na uniwersytetach amerykańskich, mamy wreszcie rdzennych Amerykanów, którzy świetnie wgryźli się w zagadnienia europejskie, naturalnie mówię głównie o specjalistach z zakresu narodów słowiańskich.

BIBLIOTEKA UNIWERSYTECKA

Wspomnieliśmy wyżej o bogatej bibliotece uniwersyteckiej. Jak wygląda slawistyczny dział ? Odpowiedź ścisła jest trudna, gdyż niektóre dzieła księgowane są w innych działach. W przybliżeniu slawistyka liczy około 80.000 tomów, z tym że najlepiej przedstawia się dział historyczny. Polonistyka reprezentowana jest przez około 8.000 tomów, obok zbiorów czasopism. Według ogólno-amerykańskiego planu bibliotecznego Harvard ma stać się ośrodkiem zbioru polskiego, jak Library of Congress w Waszyngtonie rosyjskiego. Istnieje więc nadzieja, że księgozbiór polski będzie systematycznie uzupełniany. Dla sowietologów największym rarytasem biblioteki Harvard jest tzw. archiwum Trockiego obejmujące zbiór jego rękopisów, listów, materiałów, notatek itp.

Wystawa mickiewiczowska w Houghton Library wykazała, że Harvard posiada wcale piękne okazy. Wystawa została zorganizowana przez dyrektora biblioteki Jacksona i prof. Wiktora Weintrauba. Składa się z 45 druków oraz z oryginalnych listów Adama Mickiewicza do amerykańskiej przyjaciółki Margaret Fuller. Wszystkie listy pisane są w języku francuskim i obejmującą okres od 18. 2. 1847 do 9. 9. 1949 roku. W gablotkach znajdujemy pierwsze wydania większości dzieł Mickiewicza; pierwsze wydania tłumaczeń na obce języki, prace o Mickiewiczu w obcych językach, ze szczególnym uwzględnieniem amerykańskich i angielskich. W tej gablotce prac w języku angielskim zajmuje widoczne miejsce dzieło prof. Weintrauba „The Poetry of Adam Mickiewicz". Przekład angielski „Dziadów" (doskonały zresztą, jak mnie informowano) dokonany został przez Potockiego of Montalk. Prawo przekładu (copyright) zastrzeżone przez (cytuję): His Majesty Władysław the Fifth King of Poland and Hungary (Count Potocki of Montalk). Wystawa mickiewiczowska robi bardzo dobre wrażenie. Prasa miejscowa zamieściła wysoce pochlebne wzmianki.

Prof. Weintraub może pochwalić się już dwoma doktorantami, obaj rdzenni Amerykanie. Harold Siegell napisał pracę o „Komedii rybałtowskiej" i dostał katedrę na jednym z uniwersytetów na Florydzie. Edvard M. Foley doktoryzował się pracą o listach Słowackiego jako dziele sztuki. Trzecim doktorantem będzie Amerykanin pochodzenia polskiego p. B. Jezierski.

Doktorat w Harvard (nie na slawistyce), uzyskał przed kilku laty p. Kamil Dziewanowski, wykładający obecnie historię w Boston University College. Na wydziale nauk politycznych w Harvard wykładają dr Adam Ulam, który kończył studia uniwersyteckie w Stanach, podobnie jak dr Zbigniew Brzeziński, syn byłego konsula R.P. w Montrealu. Obaj mają opinię bardzo zdolnych uczonych, którym rokuje się wielkie kariery naukowe. Brzeziński przeprowadził źródłową analizę wychowania politycznego w sowieckich siłach zbrojnych a w druku jest jego praca o „czystkach" bolszewickich. Ulam jest autorem pracy o brytyjskiej Labour Party oraz „Titoism and the Cominform", która ukazała się w ramach Russian Research Centre. Praca dr. Dziewanowskiego o historii Partii Komunistycznej Polski ma się niebawem ukazać w druku. W serii prac Russian Research Centre ukazało się dzieło „The Formation of the Soviet Union" Richarda Pipesa, pochodzącego z Warszawy.

Nie mam wątpliwości, że poszukiwania w archiwach i rejestrach dostarczyłoby interesujących „poloników", pozwoliłoby na ustalenie listy dawnych studentów-Polaków tej uczelni, być może znaleźliby się jacyś zagubieni czy zapomniani profesorowie. Mnóstwo ciekawostek czai się w bibliotece. Jest prawie kompletny zbiór wydawnictw „naukowo-politycznych" niemieckich władz okupacyjnych odnośnie Śląska i Ziem Zachodnich. W dziale rosyjskim znajdują się dwie książki Stanisława Mackiewicza a mianowicie monografia o Dostojewskim, jeden egzemplarz w języku angielskim, drugi w niemieckim.

B. HEYDENKORN

"Kultura" dla plastyków

Polskie społeczeństwo emigracyjne potrafiło, w miarę swoich możliwości, dać wyraz pewnej materialnej trosce o swoje piśmiennictwo. Świadczą o tym wydawnictwa, pisma i nagrody — jakkolwiek skromne i rozdrobnione.

Inaczej się przedstawia sytuacja sztuk plastycznych na emigracji. Jest to poniekąd zrozumiałe, gdyż, jeśli pisarz polski pisze niemal wyłącznie dla swoich rodaków — polski malarz czy rzeźbiarz ma odbiorcę również w kraju, w którym mieszka.

„Kultura" chciałaby jednak zacieśnić związek pomiędzy polskimi artystami i społeczeństwem emigracyjnym. W tym celu opracowujemy plan subskrypcji na drzeworyty, miedzioryty, litografie, który ogłosimy w najbliższych miesiącach.

Podajemy dziś do wiadomości inną, skromniejszą inicjatywę: postanowiliśmy zapoczątkować kolekcję obrazów i rzeźb polskich artystów na uchodźtwie, przeznaczając na zakup jednego obrazu (lub rzeźby) rocznie sumę 70.000 franków (£70, $200). Miejmy nadzieję, że czytelnicy-mecenasi pozwolą nam tę inicjatywę bardziej rozbudować.

Ponieważ emigracja nasza rozproszona jest po całym świecie, widzimy następującą formę realizacji tego projektu. Proponujemy mianowicie polskim malarzom i rzeźbiarzom aby przysłali nam do wyboru, przed 1. IX. 1956, fotografie trzech *obrazów czy* trzech *rzeźb (podając rozmiary i fakturę), które skłonni byliby nam sprzedać za wyżej wymienioną sumę. Po przeprowadzeniu wstępnej selekcji Redakcja poprosi swoich specjalnie wyznaczonych przedstawicieli w różnych krajach o obejrzenie danego dzieła i ogłosi swą decyzję przed 1. XII. 1956. „Kultura" będzie zamieszczać reprodukcje zakupionych dzieł w jednym z pierwszych numerów następnego roku wraz z artykułem o twórczości artysty.*

Jedźmy, nikt nie woła...

Ani na ogłoszony w listopadowym numerze „Kultury" list otwarty do 48-miu, którzy podpisali wezwanie emigrantów do powrotu, ani na wysłane do nich za pośrednictwem „Tygodnika Powszechnego" listy indywidualne nie otrzymaliśmy dotąd żadnej odpowiedzi. W listach tych zapraszaliśmy 48-miu na trzydniowy pobyt do Maisons-Laffitte, proponując spotkanie na połowę marca.

Listy wraz z tekstem naszej odezwy wysłaliśmy 4. X. 1955 listem poleconym za pokwitowaniem zwrotnym, prosząc Redakcję „Tygodnika Powszechnego", który uprzednio ogłosił apel 48-miu, o przekazanie ich adresatom. Potwierdzenia odbioru dotąd nie otrzymaliśmy.

W ciągu ostatnich miesięcy „Kultura" cytowana była często przez prasę krajową. Zwłaszcza ankieta nasza o przemianach w Polsce była przedmiotem żywej dyskusji. Cytaty z „Kultury" pojawiały się też nieraz w audycjach rozgłośni „Kraj". Tylko nasze zaproszenie 48-miu, wnoszące przecież pewną nową nutę do stosunków emigracji z krajem, zostało pominięte całkowitym milczeniem.

Milczenie to stanowi kontrast z rozgłosem, jakiego zaproszenie 48-miu doczekało się w prasie zagranicznej. Omówiło je kilka pism, jak „Le Monde", „Preuves", „The Christian Science Monitor" i parę pism niemieckich. Kilka radiostacji (z wyjątkiem Voice of America i Free Europe) podało je do wiadomości w swych programach polskich, a radio francuskie omówiło je nawet w programie narodowym i dziennikach radiowych w różnych językach. O echach zaproszenia w prasie emigracyjnej mówiliśmy obszerniej w numerze poprzednim.

Bywają milczenia wymowne. Z milczenia 48-miu wynika jasno, że nie będą mogli przyjechać. Żałujemy tego szczerze i chcielibyśmy wierzyć, że z naszymi niedoszłymi gośćmi nie żegnamy się na zawsze. Ponieważ korespondencja z nimi natrafia na nieprzezwyciężone przeszkody, korzystamy z tej drogi dla zapewnienia ich, że będziemy o nich często myśleli.

Jakkolwiek dotychczasowe stosunki w kraju nie dawały powodu do optymizmu, musimy przyznać, że nie spodziewaliśmy

się takiego wyniku naszego zaproszenia. Rząd upoważnił był 48-miu szanowanych obywateli do zwrócenia się do emigrantów w sprawie tak pełnej drażliwości i niedomówień jak powrót do kraju. Rozmowa z emigrantami zdawała się leżeć w samej naturze takiego mandatu. Z milczenia 48-miu wynika więc, że pierwotne upoważnienia ich zostały cofnięte lub okrojone tak, że nie starczyło ich nawet na udzielenie nam odmownej odpowiedzi. Grupa 48-miu przestała więc praktycznie istnieć; wolno przypuszczać, że zapowiada to zarazem koniec zapoczątkowanej przez ich odezwę kampanii powrotowej.

Manewr obliczony na sukces stał się dla reżymu źródłem zakłopotania. Można rozszerzyć margines wolności w Polsce nawet nie zmieniając oblicza politycznego. Ale nie wolno wolności „udawać", gdyż póki istnieje polska emigracja a więc partner swobodny w dyskusji, choćby potencjalnej — fałsz ten zawsze wyjdzie na jaw.

REDAKCJA

W momencie gdy numer był na maszynach przyszła wreszcie, po trzech miesiącach, odpowiedź w postaci audycji p. Zb. Florczaka w radio „Kraj", proponująca spotkanie ale... w Warszawie. Zażenowana proza p. Florczaka i fakt że z „48-miu" on jeden tylko podjął się takiej odpowiedzi — potwierdza naszą ocenę.

Z kraju milczenia

ODEZWA 62-ch

W chwili łamania numeru otrzymaliśmy tekst nowego wezwania do emigrantów, nadanego przez rozgłośnię „Kraj" i noszącego podpisy 62 osób stojących w większości z dala od życia politycznego. Na miejsce 48-miu pojawiła się nowa grupa osób, z których 33 podpisały wezwanie z 31 lipca, 29 zaś przemawia po raz pierwszy do emigrantów. Nowe wezwanie do powrotu, różniące się znacznie od pierwszego, przynosi też pewną uboczną odpowiedź na zaproszenie skierowane przez redakcję „Kultury" do 48-miu. Przytaczamy tu jego główne ustępy:

> Na tle międzynarodowego odprężenia, pod wpływem apelu, który pod jej adresem skierował kraj, ... wśród emigracji zaczęły się dokonywać poważne procesy myślowe. Z różnych kół rozległy się trzeźwiejsze głosy, domagające się zrewidowania dotychczasowego stanowiska i zerwania z zacietrzewieniem w stosunku do Polski Ludowej... W wyniku tych procesów wzrosły na emigracji nastroje za repatriacją. Zwiększyła się liczba uchodźców powracających ze wszystkich krajów.

Z słów tych widać, że autorzy odezwy nie są dobrze poinformowani o nastrojach emigracji, czemu trudno się dziwić

wobec ich braku kontaktu z emigrantami. W dalszym ciągu odezwa donosi o terrorze, stosowanym przez emigrantów wrogich repatriacji i przez policję krajów zachodnich, do osób ujawniających zamiar powrotu do kraju. Autorzy odezwy dodają tu :

Aczkolwiek bowiem większość rządów sprzyja naszej akcji repatriacyjnej, to jednak metody zastraszania spotkały się tu i ówdzie z poparciem czynników obcych, co wpływa hamująco na decyzję powrotu niektórych emigrantów.

I tu również autorzy odezwy zdają się być źle poinformowani. Od repatriacji odstrasza przede wszystkim fakt, że do kraju łatwo jest wrócić, lecz trudniej zeń potem wyjechać. Przytoczone na ostatnim miejscu zdanie posiada być może pewien głębszy sens, do którego później wrócimy.

Otrzymujemy wiele listownych zapytań i wiele spotykamy notatek w prasie emigracyjnej na temat przebaczenia win powracającym. To proste i jasne sformułowanie usiłują niektórzy tłumaczyć w ten sposób, że każdy emigrant uważany jest widocznie w kraju za winowajcę skoro trzeba mu wybaczać. A przecież jest oczywiste, że przebaczenie dotyczy jedynie tych, którzy są w kolizji z prawem.

Prawdziwie sybillińskie wyjaśnienie ! Przypuszczać można, że samych autorów odezwy ogarnęło zdumienie, gdy słowa te, zaopatrzone ich podpisem, ujrzeli na papierze.

Są i tacy, którzy czują, że nie zdołają już długo płynąć przeciwko fali powrotnej, więc odwlekają decyzję, zasłaniając się rzekomą niejasnością sytuacji. Są i tacy, którzy chcieliby przed powrotem przedyskutować i wyjaśnić sobie różne nawarstwione w ciągu lat wątpliwości. Takie bezpośrednie rozmowy z rodakami z zagranicy uważamy za możliwe i celowe. Właściwym jednak miejscem takiej szczerej rozmowy między Polakami jest Polska... Musimy jednak oddać sprawiedliwość naszym rodakom na emigracji i stwierdzić, że ogromna ich większość nie odczuwa już dzisiaj potrzeby prowadzenia przewlekłych dyskusji...

W tych ostatnich zdaniach można wiedzieć pośrednią odpowiedź na zaproszenie skierowane przez nas do 48-miu.

Z listów tych, którzy wrócili wcześniej, wiecie już, że powracający przyjmowani są przez społeczeństwo i władze jak najżyczliwiej. Nie dajcie się sprowadzić na manowce ludziom, którym ślepa nienawiść do Polski ludowej odebrała wszelką trzeźwość oceny i sądu. Straciliście już przez nich dziesięć długich lat powojennych. A teraz chcą was nakłonić do dalszego beznadziejnego życia poza krajem... Wasza ojczyzna — Polska — jest dla was otwarta... Wracajcie więc jak najrychlej !

NIEDOLE CZYNNIKA SPOŁECZNEGO

Widać od razu, że nowa odezwa do emigrantów jest dziełem innego pióra niż odezwa 48-miu. Stylizacja jej jest niewysokiej próby; w bezceremonialnym upraszczaniu faktów ma w so-

bie coś z języka używanego na jarmarku dla zachwalenia ochwaconego konia. Autorzy odezwy zlikwidowali już emigrację (jakkolwiek z Zachodu jednostki tylko wróciły i raczej nie najciekawsze) i, zadowoleni z siebie, mówią z protekcjonalnym lekceważeniem o ociągających się jeszcze z wyjazdem.

Taka pewność siebie i mówienie z góry na dół dziwić muszą w ustach osób, których własna pozycja jest bardzo słaba i których samo nawet upoważnienie do zabierania głosu — jak widać z doświadczeń 48-miu — jest niepewne i ograniczone. Ton taki budzić musi podejrzenie, że podpisani nie są być może wcale autorami odezwy.

Podejrzenie to wzmacniają jeszcze cytowane już wyżej słowa : ,,*Aczkolwiek bowiem większość rządów sprzyja naszej akcji repatriacyjnej...*'' Słowa te zwracają na siebie od razu uwagę emigranta. Skąd też autorzy odezwy o tym sprzyjaniu rządów wiedzą i co właściwie mają na myśli ? Od dawna wiadomo, że Kreml i rządy demokracji ludowych, w celu zwiększenia skuteczności swej propagandy powrotowej, szukają sposobu osłabienia sytuacji emigrantów w krajach udzielających im azylu i dążą do rewizji statutu emigrantów na Zachodzie. Dyplomaci sondują na ten temat rządy, mniejsi agenci probują różnych ciemnych praktyk, na które zwracano już uwagę w ,,Kulturze''. Z przytoczonych wyżej słów odezwy można by wnosić, że autorzy jej są poinformowani o tych zabiegach i notują z zadowoleniem ich wyniki. Czyżby i oni chcieli się w takie rzeczy bawić ? Trudno temu uwierzyć. Wypada raczej przypuszczać, że nic o tym wszystkim nie słyszeli — ,,Kultury'' im czytać pewnie nie wolno — i w całkowitej niewinności nie dostrzegli nawet sensu podpisanej przez siebie odezwy.

Jeżeli zdanie obwieszczające, że właściwym miejscem na rozmowy z rodakami z zagranicy jest Polska, przeznaczone jest dla redakcji ,,Kultury'', jest to klasyczna niemal odpowiedź ,,z pozycji siły''. Do lekceważącego stylu dołącza się tu też właściwa mu niejasność spadających z pogardliwie wydętych ust słów. Czy sens tej odpowiedzi jest : naprzód repatriacja, potem rozmowa ? Takie postawienie sprawy, przypominające formułkę : ,,naprzód pacyfikacja, potem reformy'', zaprzeczałoby możliwości wszelkich w ogóle rozmów między obywatelami ,,Rzplitej ludowej'' i emigracją. Czy też należy widzieć w niej jakieś niejasne zaproszenie redakcji ,,Kultury'' na rozmowy do kraju ? Ta ewentualność prowadziłaby znowuż do zamiany jednego z rozmówców. Pragnęlibyśmy rozmawiać z 48-miu jako czynnikiem społecznym, przyjazd zaś redakcji ,,Kultury'' na jakichś uprzywilejowanych warunkach — poza ,,akcją repatriacyjną'' — do kraju wymagałby uprzedniego traktowania z rządem, który nie bez racji mógłby zapytać, co mu ,,Kultura'' wzamian za te przywileje ofiaruje. Zamiast 48-ciu, rozmawialibyśmy więc z prześwietnym rządem. Perspektywy mało obiecujące. Najklasyczniejszym wzorem takich rozmów jest rozmowa aresztowa-

nego z przesłuchującym go urzędnikiem policji. Do takich rozmów nikt się z własnej woli nie śpieszy.

Nie chcemy wdawać się z 62-ma w dyskusje. Nie mielibyśmy racji bombardując ich argumentami, na które — jak uczy doświadczenie 48-miu — nie mogą odpowiedzieć. Zresztą i sami autorzy odezwy do tego wcale nie zachęcają. Wystąpienie ich wyjaśniło w znacznej mierze sytuację. Wynika zeń, że wraz z zakończeniem okresu odprężenia skończyła się także rola czynnika społecznego, zrodzonego z lipcowej euforii w postaci grupy 48-miu. Resztki tej ostatniej zostały wcielone do nowej grupy 62-ch, nie korzystającej już z tych samych luzów i powtarzającej tylko *verba magistri.*

Kto pamięta lipcową odezwę 48-miu, tego potykające się i depczące grządki kroki 62-ch muszą wprawić w pewne zdumienie.

Bo i co pan, panie Edziu, wyrabiasz?
Ależ z pana, panie Kaziu, niezgrabiasz.

Taka zmiana obyczaju i stylu nie mogła obyć się bez jakiegoś grubszego przywołania czynnika społecznego do porządku i odesłania go z powrotem do szeregu.

Widok tylu, przeważnie starszych i szanowanych obywateli, oprowadzanych na tak krótkiej smyczy byłby tragiczny, gdybyśmy brali pod uwagę jedynie rangę, jaką każdy z nich posiada w swoim zakresie jako profesor, artysta czy pisarz. Zachowajmy jednak poczucie proporcji. Wielu z nich posiada autorytet w jakiejś dziedzinie myśli. Żaden natomiast nie zasłynął umiejętnością zręcznego manewrowania wśród nie znoszących sprzeciwu władz, ani znajomością spraw emigracyjnych. Na tym obcym terenie są bezradni, potykają się lub drepczą na miejscu. Odwróćmy oczy i nie wyciągajmy stąd żadnych wniosków. Niezręczność w tańcu — jakkolwiek nie należy w tym przesadzać — nie przynosi ujmy lekarzom czy archeologom. Dlatego nie bierzemy tragicznie potknięć się i niezręczności 62-ch, w przypuszczeniu, że i oni sami nie biorą tego zbytnio do serca.

P. H.

Numer imprezy 1950

Kiedy podczas mego ostatniego pobytu w Polsce (parę miesięcy temu) schodziłem w hotelu na śniadanie czy kolację, czekał na mnie dwuosobowy stolik z radosną chorągiewką o brytyjskich barwach narodowych. Kelner, często przedwojennego stylu, zwracał się do mnie z zapytaniem :

— Pan delegacja brytyjska?

— Tak.

— A numer imprezy, proszę pana?

— Impreza 1950, odpowiadałem.

Nie należałem do mniej uprzywilejowanych „gości krajowych", ograniczonych przepisami wywieszonymi w każdym hallu hotelowym. Podobnie jak księżycowo uśmiechnięte zespoły Chińczyków i Koreańczyków, podobnie jak festiwalowa grupa brazylijskich Murzynów, byłem numerowanym „inturystą", „imprezą" w ramach odprężenia.

Byłem gościem „Paxu". W Polsce często słyszy się zdania o „zagranicznikach", na których trzeba zrobić dobre wrażenie. Do „zagranicznika" stosunek jest złożony. Z jednej strony chodzi o pozyskanie opinii Zachodu na rzecz „ducha Genewy". O przekonanie gościa, zależnie od jego politycznego zabarwienia, bądź że przebywa w kraju w którym buduje się radosny socjalizm, bądź że warunki są całkiem podobne do warunków na Zachodzie. To część „oficjalna", wynik instrukcji rządowych, przekazujących nowy plan „ofensywy pokojowej" Kremla, mającej na celu uśpienie Zachodu, rozbicie jego jedności. Z drugiej strony samo społeczeństwo polskie na pewno liczy na „odprężenie" jako na możliwy środek wytworzenia bardziej znośnych warunków życia. Konferencja genewska była na pewno ciosem dla społeczeństwa polskiego, które mimo wszystko, bezwiednie liczyło w ciągu dziesięciu lat na „wyzwolenie", nie zdając sobie zresztą jasno sprawy czy miała je przynieść wojna czy negocjacja z pozycji siły. Nadziejom tym konferencja genewska położyła kres — przynajmniej w perspektywie najbliższych lat. Nic dziwnego zatem że Polacy chcieliby przynajmniej wyciągnąć jak najwięcej korzyści z nowych możliwości kontaktu z zachodem, licząc na to, że „odprężenie" międzynarodowe wzmaga szanse wewnętrznej „odwilży".

Jeśli o mnie chodzi, byłem w sytuacji nieco odmiennej od zwykłego cudzoziemca, przybywającego z Zachodu. Moja znajomość języka polskiego, moja długoletnia służba w polskim wojsku, sprawiały, że moje odruchy były zapewne zbliżone do tych, jakie miałby cały szereg moich polskich przyjaciół z emigracji gdyby się razem ze mną w Polsce znaleźli. Przy tym często spotykałem dawnych kolegów i przyjaciół z I-ej Dywizji Pancernej, lub bliskich krewnych ludzi, których widuję niemal codziennie w Londynie czy w Paryżu.

Mych przyjaciół na emigracji i mych przyjaciół w Polsce o tej samej duchowej i intelektualnej formacji dzieli piętnaście lat historii w swej najbardziej jaskrawej i dramatycznej formie. Polak w Londynie — jakiekolwiek by były jego indywidualne formy ewentualnego zakłamania — nadal rozumuje kategoriami prawa, sprawiedliwości i tysiącletnich koncepcji cywilizacyjnych. Koncepcje te nie zostały wśród Polaków w kraju całkowicie zniszczone, ale są silnie naderwane. Powoduje to często rozdwojenie psychiczne a nawet zamęt przejawiające się w różnorodnej

formie. I tak spotykam wierzących katolików, gorliwie wertujących Św. Augustyna i starających się wychować dzieci w ,,światopoglądzie chrześcijańskim'', którzy jednocześnie dostosowują swój światopogląd do całej ekwilibrystyki intelektualnej marksistów i nieraz do brzemiennego w skutki ,,realizmu'' w działaniu. Spotykam też ludzi którzy więcej stracili lub mniej zyskali na nowym reżymie tak jak mój dawny przyjaciel, kiedyś zamożny ziemianin, dziś gnieżdżący się z całą rodziną w jednej izdebce, który poważnie i szczerze oświadcza mi że ,,jedyną drogą dla ludzkości jest droga do socjalizmu''. Wydaje mi się jednak, że tego rodzaju opinia jest wyjątkowa. Ze szczerych rozmów, które udało mi się przeprowadzić z ludźmi stojącymi poza aparatem komunistycznym, czy aparatem ,,Paxu'' wnioskuję, że ogromna większość narodu patrzy na ,,nową rzeczywistość'' z nienawiścią, pogardą i podejrzliwością. Nie znaczy to jednak, że społeczeństwo polskie w całości odrzuca politykę rządu komunistycznego. W kilku ważnych punktach całość polskiego społeczeństwa aprobuje politykę reżymu. Najważniejszymi z nich są: granice zachodnie, odbudowa Warszawy, uprzemysłowienie kraju. Jeśli w innych dziedzinach Polacy mówią o rządzie ,,oni'', w tych dziedzinach funkcjonuje pojęcie ,,my''. Władze ludowe doskonale zresztą umieją wykorzystać tę sytuację. Na każdym kroku, czy to w prasie, czy w przemówieniach, czy w literaturze istnieje dążność do wzmocnienia tego nieokreślonego poczucia solidarności społeczeństwa z rządem. Dlatego argumentacja wiecowa jest częściej nacjonalistyczna niż komunistyczna. Dlatego ,,typem'' Polaka, zręcznie podsuwanym przez reżym i jego wykonawców nie jest wcale, jak można by przypuszczać, stary komunistyczny bojowiec, czy też młody zetempowiec, ale dość mętna, ,,szlachetna'', oczywiście ,,bezpartyjna'' postać Polaka, zasadniczo ,,postępowego'', który cieszy się i Wrocławiem i Warszawą i Nową Hutą i ma co drugie słowo na ustach ,,nasze dokonania'', ,,nasze osiągnięcia'' ,,naszą młodzież'', aż wreszcie, w potoku tych ,,naszości'' wymknie mu się także ,,nasz rząd''. Nie znam Polski przedwojennej, ale wydaje mi się że pod tym względem psychologiczne metody są dość podobne do czasów ,,radosnej twórczości''. *Toutes proportions gardées*, cieszono się naszym COPem, naszą Gdynią, starano się nie myśleć o Berezie i pacyfikacji Ukrainy, a zwłaszcza nie mówić o nich na zewnątrz, bo ,,zły to ptak co własne gniazdo kala''. Na emigracji popełnia się często kardynalny błąd przypuszczając, że Polacy wcale nie uważają dzisiejszego państwa polskiego za ,,swoje gniazdo''. Otóż tak nie jest i trzeba powiedzieć że granice pomiędzy służbą społeczeństwa a kolaboracją z rządem agentów sowieckich są w Polsce bardzo trudne do określenia. Oczywiście na jednym krańcu są agenci bezpieki — a są tacy i wśród pisarzy i wśród katolików i w każdej grupie społeczeństwa — na drugim zaś krańcu ludzie, którzy tkwią w milczącej i godnej opozycji do reżymu. Ale pomiędzy tymi skrajnymi po-

stawami trudno byłoby określić kto ,,kolaboruje'', a kto nie. Dlatego tak rozpowszechnione jest w Polsce nieokreślone poczucie winy, niesmak do swej własnej postawy, dyktowanej co prawda koniecznościami życiowymi, ale która jest sprzeczna z tkwiącym w każdym niemal Polaku snem o bohaterstwie i honorze. Dlatego tak różnie komentowane są te wypadki, w których ktoś rzeczywiście przejawia odwagę i buntuje się przeciw codziennej przemocy. Miłosz, którego książki znane są wszystkim chyba polskim ,,intelektualistom'' jest tu dobrym przykładem. Miłosz ma rację — twierdzą wszyscy. Ale — dlaczego ,,wybrał wolność'' zagranicą, dlaczego nie przepłynął wpław przez jakąś zieloną granicę, pytają się z goryczą ludzie, którzy nie mogą Miłoszowi darować, że zdobył się on na decyzję na którą oni sami nie zdobyli się — i którzy zazdroszczą mu dzisiejszej jego wolności i mają mu za złe tak jasne sformułowanie ich własnego ,,zniewolenia''. Inny poeta polski napisze w kraju wiersz, który zadziwia odwagą? Jego koledzy literaci powiedzą, że on właśnie nie ma prawa tak występować, że nie ma prawa do postawy ,,sędziego''.

Ogromna większość Polaków jest oczywiście antykomunistyczna. Spotykałem się nawet ze zdaniem, wypowiadanym nieraz ze smutkiem przez polskich liberałów, że dziesięć lat komunistycznych rządów wytworzyło społeczeństwo bardziej ,,reakcyjne'' od społeczeństwa przedwojennego. Antysemityzm, chuligaństwo, apolityczna i aspołeczna postawa całej nowej warstwy społeczeństwa — wiejskiego proletariatu przekształcającego się w proletariat robotniczy — wszystko to należy do objawów, które w społeczeństwie ,,demokratycznym'' prowadzą zwykle do faszyzmu. ,,Obiektywne'' warunki faszyzmu istnieją w dzisiejszej Polsce silniej może niż w Polsce przedwojennej. Ale na te obiektywne warunki narzucono terror biurokracji, posługującej się frazeologią marksistowską.

Żargon inteligencji i biurokracji jest wyraźnie ketmański. Żargon ludu jest po prostu pijacki. Bywają sceny wprost niewiarygodne. Sam widziałem grupę (może delegację?) w Bristolu o 11-ej w nocy całkowicie pijaną. Obok siedziały delegacje włoskie, amerykańskie, belgijskie. Członkowie owej grupy polskiej, którzy z trudem utrzymywali się na krzesłach w ponury sposób symbolizowali polską rzeczywistość.

Dlaczego piszę o pijaństwie? Konsumowanie alkoholu winno być drobnym nieważnym szczegółikiem w życiu człowieka. Piszę o tym dlatego, że w Polsce alkoholizm urasta do uderzającego fenomenu. Wydaje mi się że to powszechne pijaństwo jest koszmarną odpowiedzią społeczeństwa na te nowe piętra celowo budowane nad istniejącymi budynkami dla pomieszczenia aparatów zagłuszających głos Zachodu. Alkohol dla Polaków jest dziś jedyną drogą do chwilowej wspólnoty w zapomnieniu. Zapomnieć, nie czuć, nie myśleć — odciąć się od nienawistnej rzeczywistości.

Co ludzie myślą o zachodnich radiostacjach?

Odnosi się wrażenie, że robotnicy i chłopi cieszą się całym sercem z brutalnego antykomunizmu Monachium i Madrytu. Natomiast przerażona inteligencja, która w Polsce Ludowej ...,,treuhandluje'' — nienawidzi wszelkiej propagandy. Nienawidzi propagandy zarówno sowieckiej jak i amerykańskiej. Gdyby BBC które niewątpliwie cieszy się pewnym powodzeniem na skutek obiektywizmu jaki reprezentuje — wykazało odwagę i wprowadziło w swych polskich programach choćby godzinę tygodniowo wolnej dyskusji — z całą pewnością przyciągnęłoby i tych, którzy się wahają.

Pismo, na którego łamach mam zaszczyt wyrazić moje ,,czarno-reakcyjne'' myśli i spostrzeżenia — jest w Polsce cenione. ,,Kultura'' z dużą siłą duchową i inteligencją stara się walczyć z zaślepionym ,,banderyzmem'' komunistycznym, który eufemistycznie określa się mianem ,,budowy socjalizmu''.

Z pisarzy polskich przebywających poza Krajem — Czesław Miłosz i Juliusz Mieroszewski są najbardziej cenieni. To są ludzie, którzy grzebiąc się w niechlujstwie umieją się nie pokalać.

Ludzie w Kraju rozumieją rolę jaką odgrywają w wolnym świecie Polacy zagraniczni. Nie wykazują jednak żadnego zainteresowania dla politycznych emigracyjnych koterii, intryg i swarów. P. Hanke wypełnił swoje zadanie i dokonał pewnego zamieszania. Naród jednak patrzy już dziś obojętnie na podobne widowiska. W każdym Polaku głęboko zakorzeniona jest świadomość, że Polska nie zaczęła się wczoraj i że jutro się nie skończy. Skarb narodowy Polaków nie składa się tylko z arrasów w Kanadzie, z Nowej Huty ale spoczywa w katedrach, kościołach i kaplicach. Tam ludzie modlą się i spowiadają i szukają prawdziwego dobra, które w życiu zewnętrznym Polski ,,ludowej'' nie istnieje.

Dla mnie duch Polski — katolicki i europejski — wyraża się w prostych a niezapomnianych słowach, które wypowiedział J.E. Kardynał Prymas Wyszyński ubowcom strzegącym jego więzienia: ,,Panowie, tu będę się dalej za was modlił''.

Auberon HERBERT

Naukowe cwaniactwo

Stan nauki psychologii w Polsce, w okresie zwanym z marksistowska ,,międzywojennym'' przedstawiał się bardzo niezadowalająco, nawet jeżeli się weźmie pod uwagę fakt, że w ogóle stan psychologii w tym okresie wszędzie, z wyjątkiem może krajów anglosaskich, był bardzo niski.

Nie mieliśmy wtedy w żadnym z zakładów akademickich wydziału poświęconego psychologii. Nie można było naprawdę uprawiać naukowych badań psychologicznych innych niż tylko w pewnych zakresach psychologii stosowanej (mianowicie pedagogicznej lub medycznej), nie było też naukowych stopni akademickich w psychologii. Trudno zaś uznać aby w jakiejkolwiek dziedzinie naukowej mogła istnieć i rozwijać się twórcza i odkrywcza działalność w zakresie nauki stosowanej jeżeli nie uprawia się równocześnie nauki czystej w tym samym zakresie.

Byli wprawdzie w naszych uniwersytetach profesorowie psychologii, ale ich katedry pozostawały w ramach innych wydziałów, przeważnie filozoficznych, lub pedagogicznych. Jeżeli więc nawet ktoś specjalizował się w psychologii, to i wtedy musiał się liczyć z tym, że jego praca czy rozprawa będzie rozpatrywana i oceniana przede wszystkim jako praca *filozofa*, czy *pedagoga* (czasem lekarza).

Zagadnienie dlaczego tak było — nie tylko zresztą u nas, bo stosunki w wielu innych krajach europejskich były dość podobne — to sprawa zupełnie inna, nie należąca do tematu psychologii.

Nie jest zatem rzeczą trudną krytykowanie wyników prac naszych psychologów przedwojennych i wykazywanie ich niedociągnięć, głównie w zakresie prawie zupełnej niemożności wyjścia poza ,,fotelową psychologię", jak się to obecnie przyjęło nazywać na Zachodzie.

Toteż zadanie, jakie zostało podjęte przez czwórkę młodych psychologów-pedagogów w Polsce dzisiejszej — frontowy atak na grupę przedwojennych psychologów w rozprawie zatytułowanej ,,*Analiza krytyczna poglądów na osobowość w polskiej psychologii okresu międzywojennego*" (1) było przedsięwzięciem łatwym i tym prostszym, że krytycy nie mieli potrzeby formułowania i uzasadniania swej postawy światopoglądowej. Mają oni postawę filozoficzną swych opinii ściśle określoną, szczegółowo rozwiniętą i nie podlegającą dyskusji.

Przystępując do omówienia wspomnianej rozprawy byłoby, rzecz oczywista, bezcelowe polemizować z podstawą filozoficzną, na której stoją autorzy ,,Analizy". Postawa materializmu dialektycznego jest jedyną dla nich możliwą. Jednak nawet akceptując tę postawę można w ,,Analizie" wytknąć parę ustrzelonych (grubszych) byków.

Mówiąc że się akceptuje tę postawę do dyskusji nie znaczy to bynajmniej, że się ją w ogóle popiera. Jednakże, jeżeli się nawet nie jest wyznawcą czy to materializmu dialektycznego, czy też jakiejś innej postaci monizmu materialistycznego to należy uznać, że materializm dialektyczny może stanowić zadowalającą podstawę filozoficzną dla rozwinięcia wcale obszernych zakresów nauk empirycznych a więc i psychologii naukowej. To, że tak zbudowana nauka psychologii nie potrafi sięgnąć do *wszystkich* zakresów zjawisk psychicznych — nie jest zasadniczą przeszkodą. W tych zakresach, które taka nauka może objąć, jej koncepcje teoretyczne, twier-

(1) Jerzy Ekiel, Ida Kurczówna, Ryszard Radwiłowicz i Janusz Reykowski. — Studia Pedagogiczne, Tom I, Wrocław, 1954, str. 320. Cena Zł. 30. (Polska Akademia Nauk, Komitet Nauk Pedagogicznych. Komitet Redakcyjny: Henryk Jabłoński, Aleksander Lewin, Bogdan Suchodolski i Tadeusz Tomaszewski. Jako redaktor tomu podpisana jest Wanda Nowacka, jako sekretarz Redakcji: Eugenia Dąbrowska).

dzenia i prawa psychologiczne mogą być uważane za ścisłe i stosowalne w praktyce dyscypliny stosowanej, podobnie jak prawa mechaniki newtonowskiej, praktycznie biorąc tylko ściśle w zakresach zjawisk fizycznych nie przekraczających granic pewnych maksymalnych szybkości i pewnych minimalnych wymiarów, mogą być z powodzeniem stosowane w technice. Mielibyśmy prawo czuć się zadowoleni, gdyby psychologia w Kraju, choćby w tych zakresach do których ją materializm dialektyczny ogranicza, rozwijała się bujnie, aby tylko rozwijała się rzetelnie.

Mogą sobie nasi młodzi psychologowie studiować materializm dialektyczny (zresztą *muszą* to robić, a im głębiej go będą studiować tym łacniej poznają jego ograniczenia) ale niech przy tym studiują rozprawy naukowe w czasopismach psychologicznych obcojęzycznych, a przede wszystkim niech się zabiorą do gruntownej pracy w laboratoriach i zakładach doświadczalnych psychologicznych. Siedzenie nadal w psychologii ,,fotelowej'', choćby innej, renomowanej marki, nie posuwa naprzód sprawy nauki. Mogą, mają nie tylko prawo, ale nawet obowiązek krytycznego ustosunkowania się do osiągnięć i sformułowań uczonych innych generacji czy narodów, ale ich krytyka winna być konstruktywna, oparta na rzetelnej wiedzy, nie na ,,wiatrologicznym'' frazesie. Powinni pamiętać że ,,Na wiedzę indywidualną składa się wiedza wszystkich pokoleń ludzkich i że każde następne pokolenie rozpoczyna poznawanie przyrody nie od nowa, lecz opiera się na wiedzy nagromadzonej przez pokolenia poprzednie'' (2).

Na wstępie swej rozprawy autorzy oświadczają iż podejmując analizę poglądów na osobowość w polskiej psychologii przedwojennej, traktują swe zadanie jako fragment ,,ofensywnej ideologicznej walki... z tymi poglądami jako elementami kapitalistycznej nadbudowy''. Brak rzetelności naukowej krytyków ujawnia się tu od razu w tym, że nie zadali oni sobie trudu aby w poglądach na osobowość u omawianych autorów odróżnić aspekty filozoficzne od aspektów psychologicznych, a więc naukowych. Inaczej mówiąc nie potrafili oni odróżnić koncepcji teoretycznych, wynikających z filozoficznej postawy autorów od uogólnień obserwacji empirycznych, stanowiących zdobycz naukową. Jest to błąd, zasadniczy i poważny, właśnie z punktu widzenia materializmu dialektycznego. To bowiem, co w omawianych poglądach na osobowość jest aspektem naukowym, to może być nieścisłe, może uogólniać powierzchowne lub błędne obserwacje, może wymagać zastąpienia przez lepsze, dokładniejsze przybliżenie do rzeczywistości (3), ale *nie należy do nadbudowy*, z którą krytycy mieliby podjąć ,,ofensywną ideologiczną walkę''. Poglądy naukowe nie należą bowiem do nadbudowy, ani kapitalistycznej ani żadnej innej, co autorytatywnie stwierdził Stalin: ,,Nadbudowa — to polityczne, prawne, religijne, artystyczne, filozoficzne poglądy społeczeństwa oraz odpowiadające im instytucje polityczne, prawne i inne'' (Nie podaję tu odsyłacza bo cytat ten właściwie

---

(2) N. Miroszkina — Zagadnienie Teorii poznania materializmu dialektycznego. — Woprosy Dialekticzeskogo Materializma. Inst. Filosof. Akad. Nauk ZSSR, 1951.

(3) ,,Człowiek nie może ogarnąć, odzwierciadlić *całej* przyrody w pełni w jej bezpośredniej całkowitości może on tylko wiecznie *przybliżać* się do tego, tworząc abstrakcje, pojęcia, prawa, naukowy obraz świata itd., itp.'' (W.I. Lenin — Fiłozoficzeskije tietradi, 1947).

każdy marksista powinien umieć na pamięć). Klasycy marksizmu muszą być rozumiani i interpretowani ściśle; nawet drobne odchylenia ujawniają co najmniej tandetność przygotowania teoretycznego, jeżeli nawet nie „tendencje subwersyjne". W określeniu Stalina poglądy naukowe nie są wymienione w wyliczeniu czynników nadbudowy, a zatem do niej, dla marksistów, nie należą. Tendencje do plątania poglądów naukowych z filozoficznymi są takim samym błędem ideologicznym jak ten, który spowodował klęskę Marra z jego teoriami filologicznymi, opartymi na założeniu że dawna nauka językoznawstwa była nadbudową bazy.

Drugim punktem ujawniającym albo brak rzetelności, albo przygotowania (może obu ?) jest wybór dzieł i autorów poddanych analizie. Do dzieł psychologów-filozofów oraz psychologów-pedagogów dorzucają oni, ni w pięć ni w dziewięć, niemal drugie tyle prac publicysty o wykształceniu i nastawieniu antropologiczno-socjologicznym (Jaxa-Bykowski). Co to ma wspólnego z psychologią i zapowiedzianą tytułem analizą poglądów na osobowość w polskiej *psychologii* ? Nic. Ale krytycy albo nie zdają sobie sprawy z tego czym się różni psychologia, choćby pedagogiczna, od antropologii czy socjologii quasi filozoficznej do jakiej, w najlepszym wypadku można by prace Jaxy-Bytkowskiego zaliczyć, albo też muszą się uciec do takiego prostackiego wybiegu aby podbudować swoje cytaty pikantnymi szczegółami i w ten sposób odwrócić uwagę czytelnika od zdumiewającego braku rzeczywistej argumentacji naukowej w swej „Analizie".

Do tego samego rodzaju wybiegów, nierzetelności naukowej należy wysiłek krytyków wydobycia z omawianych autorów jakiegoś „wizerunku" czy „ideału człowieka". Jasne jest przecież, że podobne koncepcje nie należą do psychologii i nie reprezentują psychologicznych poglądów na osobowość, nawet gdyby można je przypisać osobom, które także zajmowały się psychologią. Zrozumiałe jest więc, że przykłady w tym zakresie wydobywane są przeważnie z wyraźnie filozoficznych utworów. Cały ten dział „Analizy" jest więc tylko balastem, bajdurzeniem zupełnie nie na temat rozprawy i powinienby być właściwie przez redakcję tomu opuszczony. Nie ma to być przecież artykuł omawiający poglądy na osobowość u polskich *filozofów*, tym bardziej że przy największym nawet naciąganiu nie można by omawianych autorów przedstawić jako reprezentacyjną grupę polskiej filozofii.

W tych nielicznych fragmentach gdzie krytycy chcą coś powiedzieć na temat zagadnień psychologicznych — aby choć częściowo usprawiedliwić tytuł i założenie swej pracy — ujawniają oni zdumiewającą nieporadność i brak znajomości przedmiotu, pokrywane buńczuczną werbalną gestykulacją. Na przykład, mówiąc o cechach osobowości, zapalają się do pouczania, że cechy osobowości mogą być rozumiane tylko na tle środowiska społecznego, bo „człowiek może być zły lub dobry tylko w społeczeństwie a nie na bezludnej wyspie" — powiadają oni, nie orientując się, że przecież „zły" czy „dobry" to nie są cechy osobowości tak jak ją pojmuje psychologia, która nie jest dyscypliną wartościującą. „Zły" czy „dobry" to może są cechy etyczne albo kategorie filozoficzne ale na pewno nie psychologiczne cechy osobowości.

Charakterystyczne jest, że na temat, na przykład teorii osobowości, czy instynktu, krytycy nie mają właściwie nic do powiedzenia, poza zdawkowymi nieobowiązującymi komunałami, mimo, że to są właśnie zagadnienia

zajmujące ważne miejsce w nowoczesnej psychologii naukowej, nie tylko na Zachodzie. Pokazanie jak te zagadnienia były przedstawiane i rozumiane przez polskich psychologów przedwojennych mogło stanowić doskonały punkt wyjścia do porównania tych opinii z wynikami nowszymi uczonych, choćby tylko sowieckich, jeżeli literatura naukowa zachodnio-europejska jest dla krytyków niedostępna, czy to ze względów językowych, czy innych. Mogliby przecież i w tym zakresie znaleźć łatwe pole do popisów prawomyślności ideologicznej, na przykład probując wykazać, że ,,właściwa'' postawa filozoficzna pozwala unikać sprzecznych i błędnych postulatów oraz prowadzi do najszybszych rozwiązań prawidłowych. Na tym tle można było też doprowadzić do jakichś konstruktywnych wniosków z analizy, szkicując, choćby w ogólnych zarysach, zadania stojące przed młodymi polskimi psychologami.

Zamiast tego dali oni w swej analizie szablon, prostacki, nietwórczy i, naukowo, bezcelowy. Swe zadanie krytyki wykonali nieudolnie, wręcz partacko i z rażącymi błędami właśnie z punktu widzenia ideologii marksistowskiej. Jeżeli praca tego typu mogła ukazać się w druku i to nie byle gdzie, bo w wydawnictwie Akademii Nauk, to świadczy to niedwuznacznie, że stan nauki psychologii w Polsce wciąż jeszcze pozostaje ,,poniżej poziomu morza''. Że jest to dziedzina w której pewność siebie i bezczelność cwaniacka zastępować może kwalifikacje intelektualne i naukowe. Czyżby naprawdę nie było polskich marksistów, którzy naukę psychologii traktują poważnie i mają w jej zakresie coś do powiedzenia?

J. HORZELSKI

Dwa końce kija

W ,,Times'' z dnia 31 grudnia ukazał się artykuł o polskiej poezji współczesnej. Artykuł ten, omawiający tendencje buntownicze polskich poetów, zawiera nieścisłości zrozumiałe u cudzoziemców — na przykład Tuwim wrócił do Polski z New Yorku a nie z Ameryki Południowej, Broniewski tylko część wojny spędził we Lwowie, pozostałą zaś w więzieniu i łagrach sowieckich, następnie w armii Andersa. Powtarza też dziwną bajkę puszczaną przez pewne koła zagranicą o prawdopodobnym aresztowaniu Ważyka. Na ten artykuł odpowiedź pióra Krzysztofa T. Toeplitza pt. ,,Jak Times uczcił Mickiewicza'' zamieściło ,,Życie Warszawy''. Polemika ta (jeżeli wolno ją tak nazwać) przypomina dziecinną zabawę w zepsuty telefon i typowa jest dla wielu wypowiedzi prasy krajowej. Zawiera (oczywiście) i atak na Miłosza, do którego, w braku lepszych argumentów, próbuje się teraz przyczepić historyjkę o litewskim paszporcie. Passus o Miłoszu nasuwa myśl, że warto, aby pomyślano w kraju o zasadniczej weryfikacji pisarzy i dziennikarzy z punktu widzenia dokumentów, jakie mieli w okresie wojny. Oczywiste wydaje się, że ci, co przyjęli paszporty sowieckie wtedy, kiedy za ich odmowę spotykała tysiące ich rodaków wywózka do łagrów, powinni być dzisiaj wyłączeni ze wspólnoty i napiętnowani. Można by też przystąpić do dalszej czystki i zapytać czy Żydzi zaopatrzeni w ,,murowane'' dokumenty niemieckie chroniące ich osoby i majątki — jest publiczną tajem-

nicą, że był to np. wypadek zamożnej rodziny Toeplitzów — nie podlegają kolejno potępieniu. Idąc dalej wyłączyć należałoby wszystkich, co posiadali różne fantastyczne aussweissy i egzotyczne obywatelstwa, wreszcie Wilnian, których litewskie paszporty nie chroniły jednak od represji, gdyż żaden quislingowski rząd w „Ost" nie istniał. Gdyby przeprowadzić taką czystkę, okazałoby się, że grono intelektualistów Warszawy kurczy się z zastraszającą szybkością. Wykazujemy z okazji artykułu Toeplitza absurdalność założenia. Używanie argumentów „dokumentowych" w kraju, który został rozczłonkowany i którego każda część podlegała innym tragicznym losom, wydaje się nam obrzydliwe. Nie przyszłoby nam na myśl deprecjonować np. twórczości Adolfa Rudnickiego dlatego, że miał paszport sowiecki, gdyż mierzymy człowieka według jego zachowania się a nie według tego, co mogło wynikać ze splotu warunków okupacyjnych i jest sprawą jego sumienia. Niewątpliwie wzywać pisma warszawskie do przestrzegania reguł przyzwoitości byłoby stratą czasu. Odnotować jednak należy w odwilżowym okresie, że zatraciły już całkowicie zdolność do dyskusji, to jest do pisania o ludziach im niewygodnych bez obrzucania ich błotem.

N.

Krajowe nowości wydawnicze

PROZA

DĄBROWSKA (Maria). *Gwiazda zaranna.* Opowiadania. Str. 224. (Czytelnik, 1955).

KOWALSKA (Anna). *Opowieści wrocławskie.* Str. 314. (PIW, 1955).

ANDRZEJEWSKI (Jerzy). *Złoty lis.* Str. 145. (PIW, 1955).

RUDNICKI (Adolf). *Żywe i martwe morze.* Str. 709. (Czytelnik, 1955).

MALEWSKA (Hanna). *Przemija postać świata.* T. I-szy str. 391, T. II-gi str. 372. (PAX, 1954).

BUCZKOWSKI (Leopold). *Czarny potok.* Str. 239. (Pax, 1954).

BUNSCH (Karol). *Olimpias.* Powieść hist. z czasów Filipa II Macedońskiego. Str. 374. (Wyd. Literackie, Kraków, 1955).

PRZEKŁADY

GASCAR (Pierre). *Czas umarłych,* przeł. M. Wisłowska i B. Kielski. Str. 109. (PIW, 1955).

CONRAD-KORZENIOWSKI (J.) *Los,* przeł. W. Tatarkiewiczowa. Str. 460. (PIW, 1955).

DOSTOJEWSKI (Fiodor). *Zbrodnia i kara.* Tł. Cz. Jastrzębiec-Kozłowski. Str. 548 (PIW, 1955)

TOŁSTOJ (Lew). *Wojna i pokój.* Tomy I, II, II, IV. Str. 386, 399, 427, 367. Przeł. Z Petersowa. (PIW, 1955).

COSTER (de Karol). *Legenda jako też bohaterskie i sławne przygody Dyla Sowizdrzała i Jagnuszka Poczciwca w krajach flamandzkich i gdzie indziej.* Str. 635. Przeł. H. Szumańska-Grossowa. (PIW, 1955).

UNDSET (Sigfrid). *Olaf syn Auduna*. T. I str. 481, T. II, str. 445, przeł. z niemieckiego W. Kragen (PAX).

DEFOE (Daniel). *Przypadki Robinzona Kruzoe*, z ilustracjami. T. I str. 359. T. II str. 315, pod redakcją J. Kotta (PIW, 1953).

KLASYCY LITERATURY POLSKIEJ

POTOCKI (Stanisław). *Podróż do Ciemnogrodu i świstek krytyczny*. Str. CX, 469, 1 nl. Opr. E. Kipa. (Bibl. Nar. Seria I, Nr. 154), (Zakł. im. Ossolińskich, 1955).

ŻEROMSKI (Stefan). *Wiatr od morza*. Str. 272. (Czytelnik 1955).

PAMIĘTNIKI

STEMPOWSKI (Stanisław). *Pamiętniki* 1870-1914. Str. 429. (Zakład im. Ossolińskich, 1953).

SZTUKA I WYDAWNICTWA ARTYSTYCZNE

Ziemia rodzinna. Album. Wiersze wybrali: T. Kubiak i A. Międzyrzecki. Fotografie zebrał i ułożył E. Hartwig. (Wyd. Nasza Księgarnia, 1955).

SZENIC (St.) i CHUDEK (J.). *Najstarszy szlak Warszawy* (Krakowskie Przedmieście - Nowy Świat - Aleje Ujazdowskie). Str. 365. PIW, 1955).

ŚWIECHOWSKI (Zygmunt). *Architektura na Śląsku do połowy XIII wieku*. Str. 386 plus mapy i ilustracje. (Wyd. „Budownictwo i Architektura", Warszawa 1955).

BOGUCKI (Janusz). *Rozmowy o sztuce*. Str. 225. (Wyd. Literackie, Kraków, 1955).

POEZJE

STAFF (Leopold). *Wiersze zebrane*. Tomów pięć. Str. 443, 440, 419, 336, i 375). (PIW, 1955).

TUWIM (Julian). *Dzieła*. T. I (w dwóch częściach, str. 306 i 367). T. II str. 301 („Kwiaty Polskie") (Czytelnik, 1955). Wbrew tytułowi są to raczej wiersze wybrane niż całość twórczości poety.

GAŁCZYŃSKI (K.I.). *Satyra, groteska, żart liryczny*. Str. 407. (Czytelnik, 1955).

LEŚMIAN (Bolesław). *Wiersze wybrane*. Str. 288. (Czytelnik, 1955).

JASNORZEWSKA - PAWLIKOWSKA (Maria). *Wiersze wybrane*. Str. 122. (Czytelnik, 1954).

CZECHOWICZ (Józef). *Wiersze wybrane*. Str. 388. (Czytelnik, 1955).

Książki

"Tristes Tropiques"

Claude Levi-Strauss jest jednym z największych współczesnych etnografów. Jego ,,Structures Elémentaires de la Parenté'' są rezultatem długoletnich studiów, podstawowym dziełem. Ale lata spędzone wśród dzikich plemion, przebyte nurty Amazonek, wielkie deszcze u podnóża Himalajów, epidemie i tropikalne skwary — wszystko sprowadza się tu do kilku prostych równań, do kartoteki znanych ludzkości systemów pokrewieństw. I zapewne takie właśnie przyczynki są celem ostatecznym etnografa. Z nich składa się ta coraz większa suma wiadomości o człowieku, która zmieniła nasz stosunek do ,,postępu''. Ale u podstawy wyboru który decyduje o tym że człowiek poświęca życie cywilizacjom innym niż jego własna tkwi coś szerszego i bogatszego zarazem. Coś co może wyjaśnić jedynie analiza świata i autoanaliza etnografa. Taką właśnie podróżą po różnych cywilizacjach (i po różnych epokach) jest ostatnia książka Levi-Straussa, *Tristes Tropiques* (Plon 1955) — jedna z najpiękniejszych książek francuskich jakie ukazały się po wojnie i jeden z najoryginalniejszych wkładów do filozofii społecznej. Książka pesymistyczna i melancholijna, która jednak nigdy nie przygnębia, gdyż przenika ją pozbawione jakiegokolwiek sentymentalizmu szczodre poczucie braterstwa z człowiekiem.

Z szeregu uwag rozrzuconych po *Tristes Tropiques* wnioskujemy że autor jest wyjątkowo muzykalny. Sama jego książka zbudowana jest na wzór symfonii. Mamy uwerturę, andante, larga, nawet kilka allegro con brio. Przez tę symfonię przewija się stale kilka leitmotivów. Głównym z nich jest zasadnicze dla etnografa zagadnienie postępu. Pytanie które narzuca mu się u progu kariery jest następujące: czym są społeczeństwa które nazywamy prymitywnymi wobec naszych społeczeństw, które nazywamy cywilizowanymi? Wiek dziewiętnasty odpowiadał na te pytania bez wahania: istnieje jednolita droga postępu, u kresu której stoi nasza zachodnia cywilizacja, o nieograniczonych dalszych możliwościach rozwoju. Ale w ciągu ostatnich kilkudziesięciu lat pewność ta została podważona zarówno przez teorie etnografów i antropologów (Durkheim, Mauss, Frazer), historyków i socjologów (Spengler, Toynbee), jak i przez doświad-

czenia ludzkości : świetlaną wizję postępu pokryły wojny, dymy Oświęcimia, atomowy grzyb Hiroszimy. Levi-Strauss jest twórcą nowej teorii ,,postępu'' opartej na prawie wielkich liczb. Porównuje on cywilizację do ruletki na której ,,grają'' różne społeczeństwa. W pewnej chwili jedno z nich ,,wygrywa'' : dokonuje w danej dziedzinie wielkiego kroku naprzód. Ale ta wygrana byłaby o wiele trudniejsza, matematycznie nicmal niemożliwa do osiągnięcia, gdyby wszystkie społeczeństwa (,,gracze'') stawiały na jeden i ten sam numer. To właśnie rozrzucenie stawek, swoista gra ludzkości ,,ekipą'' sprawia że od czasu do czasu możliwe są te ,,wygrane'', będące warunkiem przejścia danego społeczeństwa na wyższy poziom techniczny, umysłowy, czy może nawet ,,duchowy'' (choć marksista Levi-Strauss nie używa naturalnie tego wyrażenia). Dlatego nie należy zapominać że jeśli niektóre społeczeństwa pozostały pozornie ,,w tyle'', są ,,zacofane'', to dlatego że stawiały na numery które — dotychczas — nie wyszły na tej cywilizacyjnej ruletce. Jasne, że Levi-Strauss jest zwolennikiem jak największej różnorodności cywilizacyjnej, która dla całej ludzkości zwiększa szanse ,,postępu''. Teoria ta nie jest zresztą wypowiedziana w *Tristes Tropiques :* stanowiła ona temat kilku artykułów na łamach ,,Temps Modernes'', z których zdawałem częściowo sprawę w ,,Kulturze''. Jeśli ją teraz przypominam, to dlatego że stoi ona jednak u podstawy szacunku i zrozumienia które Levi-Strauss okazuje dla społeczeństw najbardziej nawet ,,prymitywnych''. Inne pojęcie, związane z poprzednim, przenika również *Tristes Tropiques.* Historia ludzkości nie jest jedną stałą linią, jak sobie wyobrażali doktrynerzy postępu. Dzieli się ona na rozliczne prądy. Każda kultura różni się od innych akcentem położonym na jakąś specyficzną sferę ludzkiego działania.

Każda kultura wyróżnia się przede wszystkim hierarchią tych poszczególnych dziedzin u danego społeczeństwa. Nasza zachodnia kultura jest najdalej posuniętym etapem dla tych społeczeństw które u szczytu hierarchii postawiły technologię, ujarzmienie i wykorzystanie sił przyrody. Ale istnieją też hierarchie inne. Jeśli się najwyżej ceni inne wartości, jak wzloty duchowe, sprawiedliwość, integrację społeczeństwa, poczucie piękna, to ,,wyższość'' naszej cywilizacji staje się już bardziej wątpliwa. Gdyż nie sposób usunąć z ogólnego bilansu wojen, nędzy proletariatu, nowych form niewolnictwa, samotności współczesnego człowieka ,,cywilizowanego''.

W miarę jak staram się przekazać myśl Levy-Straussa, spostrzegam się jak ważnym elementem jego książki jest styl, jak trudno jest dać pojęcie o jej tonie bez kilku cytatów. Oto chociażby, z dziedziny o której mowa powyżej, kilka zdań o społeczeństwie, które w hierarchii wartości najwyższej postawiło estetykę (chodzi o brazylijski szczep Indian Bororo) :

,,...pomieszczenia majestatyczne rozmiarami mimo kruchości; sklecone z materiałów i za pomocą techniki które znane nam są tylko w miniaturze :

gdyż te chaty są nietyle zbudowane co związane, splecione, utkane, wyhaftowane; zamiast przygniatać mieszkańca obojętną masą kamieni, czujne są wiotko na jego obecność i ruchy; w przeciwieństwie do tego co ma miejsce u nas, poddane są one zawsze człowiekowi. Wokół wieśniaków wieś sama staje się lekką i elastyczną zbroją; podobniejszą do kapeluszy naszych kobiet, niż do naszych miast: rodzaj naturalnej ozdoby, zachowującej coś z życia trzcin i liści, których swobodę potrafili uszanować budowniczowie, naginając ją jednocześnie do swych złożonych planów. Nagość mieszkańców wydaje się chroniona trawiastym aksamitem ścian i frendzlami palm: wyślizgują się oni ze swych mieszkań tak jakby zrzucali z siebie olbrzymie płaszcze „strusich piór".

Albo jeszcze bardziej prymitywni Indianie Nambikwara, również zamieszkujący Brazylię, którzy wśród nędzy bytowania potrafią kultywować najsubtelniejsze, choć najprostsze ludzkie uczucia:

„W wędrowcu który po raz pierwszy obozuje w puszczy z Indianami wzbiera zarazem strach i litość na widok tej ludzkości tak całkowicie wyzbytej z jakichkolwiek dóbr: jak gdyby przytłoczonej do złowrogiej ziemi przez jakiś nieubłagany kataklizm; nagiej, drżącej z zimna wokół przygasających ognisk. Krąży się po omacku w gąszczu, omijając to rękę, to nogę, to pierś, których obecność zdradza ciepły odblask ognia. Ale ta nędza ożywiona jest szeptami i śmiechem. W uściskach łączą się pary, jakby szukając utraconej jedności; czułości ciał nie przerwie krok obcego. U wszystkich odgaduje się ogromne ciepło, głęboką beztroskę, naiwne i urocze zwierzęce zadowolenie, a jako sumę tych wszystkich różnych uczuć, coś co wydaje się wyrazem najbardziej wzruszającej i autentycznej czułości ludzkiej".

Levi-Strauss ma dwóch mistrzów: Rousseau i Marksa. Historyczne nieporozumienie przypisuje Rousseau koncepcję „szlachetnego dzikusa". W istocie jest to myśl Diderota. Rousseau był znacznie subtelniejszy: nie szukał on „człowieka naturalnego" w historii. Levi-Strauss idzie jego śladem pisząc: „Człowiek naturalny nie jest do pojęcia ani przed istnieniem społeczeństwa, ani poza społeczeństwem. Do nas należy odszukanie jego formy związanej ze stanem społecznym, poza którym nie ma ludzkości"; należy zatem „rozpoznać co jest naturalne, a co sztuczne w obecnej formie człowieka". Levi-Strauss podziela poniekąd nostalgię Rousseau do człowieka neolitycznego (Rousseau pisał że wyjście z tego stanu było dziełem „jakże zgubnego przypadku"). Interpretuje on zresztą tę myśl Rousseau za pomocą najnowszych koncepcji biologicznych:

„W tym mitycznym okresie człowiek nie był wolniejszy niż dzisiaj, ale więzy narzucała mu wyłącznie jego własna ludzkość. Ponieważ jego władanie nad przyrodą było bardzo ograniczone, był on chroniony — i w pewnej mierze wyzwalany — amortyzacyjnym mechanizmem swych marzeń. W miarę jak te marzenia przemieniały się w poznanie, władza człowieka się powiększała. Ale ta władza która dała nam, jeśli tak można powiedzieć, „bezpośrednie spięcie" z wszechświatem, ta władza z której jesteśmy tak dumni, czyż nie jest ona po prostu subiektywną świadomością powiększającej się wciąż szczeliny pomiędzy ludzkością i światem fizycznym, którego wielkie determinizmy działają teraz, nie tak jak dawniej — pod postacią groź-

nych i tajemniczych sił zewnętrznych — ale poprzez naszą samą myśl, kolonizując nas na rzecz milczącego świata, którego staliśmy się wykonawcami".

Levi-Strauss jest nie tylko materialistą, ale świadomym marksistą. Marksizm jego jest zresztą tak różny od prymitywnych form myślowych świata sowieckiego, że oddaje on nam jeszcze jedną przysługę, rehabilitując wielki wkład filozoficzny Marksa, deformowany i najgłupiej upraszczany odkąd stał się jednym z wehikułów tyranii. Kategoriami marksistowskiej dialektyki posługuje się Levi-Strauss bez cienia przesądów. Integracja i braterstwo społeczeństwa ludzkiego jest dla niego celem, choćby cel ten był nieosiągalny w „Historii". „Złoty wiek, który ślepy przesąd stawiał *poza* nami, albo *przed* nami, jest w nas samych". Zawsze i wszędzie ludzie zaczynają od nowa to samo zadanie, z tym samym celem i jedynie ich środki się różnią. Braterstwo ludzkie osiąga konkretny sens, jeśli w najnędzniejszym szczepie widzimy nasz własny obraz i doświadczenie, które, dorzucone do tylu innych, może nam zawsze udzielić jakiejś nauki. Od tysięcy lat człowiek się tylko powtarza; wszystko dokonuje się zawsze od początku.

W abstrakcyjnym schemacie Marksa, praca miała być przykrym i tymczasowym środkiem. Marksiści na usługach tyranii wywyższają ideę pracy, przekształcając środek w cel. Praca jest naczelnym pojęciem sakralnym w sowieckim świecie, do tego stopnia, że nie wiadomo co by ją mogło zastąpić, gdyby technika i ograniczenie liczby urodzin (wmiast marksistowskiego schematu historycznego) miały kiedyś zmniejszyć do minimum jej potrzebę. Dla Levi-Straussa marksizm nie jest dogmatyczną filozofią historii, ale dialektyką, która nie przestanie obowiązywać podczas pobytu ludzkości na ziemi (nie widzi on „końca historii"). Ale uznając jej prawa za potencjalnie obowiązujące, nie przecząc konieczności technicznego postępu — od którego nie ma odwrotu — cel ludzkości widzi on w tych rzadkich chwilach kiedy człowiek nie musi zasklepiać rosnących wciąż szczelin w więziennych murach swych potrzeb. Szuka on ostatecznie schronienia

„w kontemplacji minerału piękniejszego niż wszystkie nasze dzieła; w zapachu, bardziej uczonym od wszystkich naszych ksiąg, który czerpiemy w kielichu lilii; lub w mrugnięciu okiem, zawierającym zarazem cierpliwość, spokój i obopólne przebaczenie, które czasami przypadkowe porozumienie pozwala nam zamienić z kotem".

Takie jest końcowe zdanie tej książki. Idąc za jednym tylko wątkiem myślowym, zubożyłem ją niepomiernie. *Tristes Tropiques*, to przede wszystkim pasjonujące opisy prymitywnych cywilizacji, to także bogactwo różnorodnych dygresji. Autor operuje z największą swobodą wszystkimi narzędziami nowoczesnej nauki. Obok materializmu dialektycznego znać na nim wpływ lingwistyki strukturalnej (Saussure i Trubeckoj), psychoanalizy

i fenomenologii egzystencjalnej. Przy tym Levi-Strauss pierwszy zastosował do socjologii metody myślowe współczesnej fizyki. Ale posługuje się on tymi metodami w sposób na wskroś indywidualny i swobodny, nie broniąc żadnych tez jakiejkolwiek „szkoły".

Ta książka o podróżach naokoło świata uczy nas właściwie że ucieczka w egzotyzm już nie istnieje. Nie ma we współczesnym świecie miejsca w którym człowiek cywilizacji zachodniej mógłby się uchylić od problemów które mu się stale narzucają. Cywilizacja nasza dotarła już wszędzie, chociażby siejąc zniszczenie. Levi-Strauss znaczną część swej książki poświęca Azji. W rodzącej się boleśnie industrializacji Chin i Indii widzi on powrót do antyhumanistycznego koszarowego życia, które zrodziło się po raz pierwszy w Azji i dziś do niej powraca, po przerwie kilku tysięcy lat, w ciągu których ta sama Azja była kolebką wielu cywilizacji. Ostatecznego wniosku z tych rozważań na skalę uniwersalną Levi-Strauss jednak nie wyciąga. Trzeba będzie kiedyś przecież ograniczyć liczbę ludzi, jakikolwiek by nie był postęp produkcji. Optymiści zapowiadają, że za sto lat ludzkość będzie się żywiła wodą morską, że istnieją jeszcze stepy i sahary które energia atomowa nawodni, że atom i energia słoneczna zastąpią ograniczone zasoby węgla i nafty. Ale to jest optymizm na miarę wieku. Przy obecnej skali przyrostu naturalnego (i jego wzrastającej krzywej) jakiż optymista da odpowiedź na miarę tysiąclecia? Problem ten jest stale zakrywany różnymi formami zaślepienia: optymizmem marksistów, próżnością nacjonalistów, dogmatyzmem katolików. Ale nie ma od niego ucieczki, jeśli wojny nie mają przejąć jutro funkcji którą w historii świata spełniały epidemie i głód. Nad „smutnymi tropikami" świata wisi mściwy cień Malthusa.

K.A. JELEŃSKI

Białe plamy na mapie

I

Amator historii jest trochę jak kandydat na podróżnika. Powiedzmy, jak kandydat na podróżnika przed stu czy choćby kilkudziesięciu laty. Gdy skończyłem siedem lat, ktoś podarował mi stary atlas, bodaj z połowy ubiegłego wieku. Na mapie Afryki i Ameryki Południowej widniały liczne białe plamy, dotyczące obszarów jeszcze niezbadanych. Wyobraźnia zaludniała je fantastycznymi ludami i miastami, przy czym z walną po-

mocą przychodziła lektura Jules Verne'a i opisy egzotycznych krajów takich podróżników, jak np. ulubiony przeze mnie Mikłucha-Makłaj, a jeszcze bardziej tragicznie zmarły na wyspie Vanikoro, kapitan La Perouse.

Mapy geograficzne białych plam prawie już nie znają. Natomiast obfitują w nie mapy historyczne i nic bardziej fascynującego nad dalekie podróże w głąb Czarnego Lądu zamierzchłych dziejów. Tym bardziej fascynujące, że całość należy odgadywać z ułamków, a niezawodną busolę musi w wielu wypadkach zastępować intuicja. Jedna z największych białych plam historycznych na mapie Europy starożytnej i wczesno-średniowiecznej rozlewa się na rozległej przestrzeni czarnomorsko-kaspijskiej, z jednej strony zagarniając góry i podgórza kaukaskie, z drugiej — wdzierając się w dorzecze Wisły. Kiedy zjawiły się tam po raz pierwszy plemiona słowiańskie? W jakim stopniu nastąpiło ich przemieszanie ze stepowymi ludami irańskiego pochodzenia? Jaki procent wędrownych szczepów tiurskich wsiąkał w etniczną masę autochtonów? Jak układały się najwcześniejsze stosunki między Litwą i Rusią? Byli Gedyminowicze odgałęzieniem dynastii Ruryka, czy nie? Jaki był wygląd etnograficzny Ziemi Czerwieńskiej w zaraniu dziejów?

Na każdym kroku na podróżnika czyha nowa przygoda, narzucają się kuszące hipotezy i trzeba się bardzo strzec, by nie ulec ich malowniczości, lub własnych pobożnych życzeń nie wziąć za rzeczywistość.

Gdybym nie był poetą, na pewno zostałbym historykiem, oczywista, zakładając, że nieobecność żywiołu lirycznego, raz po raz zmieniającego zamierzone rejsy i często uniemożliwiającego przybicie do zaplanowanych portów, ułatwiłaby zdobycie się na konieczną metodę i na to, co Niemcy bardzo brzydko nazywają *Sitzfleischem*. A tak pozostało amatorstwo, coś w rodzaju „skrzypiec Ingresa", które na pozór spokojnie wiszą na ścianie, aż się je ponownie odkurzy i weźmie do rąk.

II

Niestety nie znam angielskiego, więc „The Origin of Russia" prof. Henryka Paszkiewicza, dzieło, o którym głośno ostatnio w prasie emigracyjnej, nie tylko polskiej, pozostanie dla mnie niedostępne, aż ukaże się w oryginale, lub tłumaczeniu na inny język, bardziej — jakby powiedzieli Hiszpanie — „katolicki" od angielszczyzny. Na razie trzeba się zadowolić i tym, co mogę wyczytać z obszernych na szczęście recenzyj prof. Strońskiego, Pawła Hostowca, Stanisława Sopickiego... To za mało, by wdawać się w poważną dyskusję; wystarczająco, by wysunąć kilka wątpliwości i podzielić się szeregiem własnych refleksyj.

A temat jest pasjonujący, zwłaszcza dla kogoś, kto od lat siedzi w studiach wschodoznawczych, zatem, co chwila ma do

czynienia z historią Rosji, Ukrainy, Białorusi, Krymu, Kaukazu...

Prof. Paszkiewicz wystąpił w swojej książce jako pogromca ,,antynormanistów'' i to wystąpił tak mocno, że według opinii Hostowca ,,trudno im będzie wrócić do głosu''. Tym samym rozprawił się z teorią, według której już w wieku VI po Chrystusie istniała na dzisiejszej Ukrainie jakaś organizacja ponadplemienna, zawiązek przyszłego państwa, wcześniejszego od przybycia Waregów. Stworzył tę teorię historyk rosyjski, Kluczewskij, a rozwinął ją zmarły przed kilku laty, Griekow (,,Walka Rusi o utworzenie swego państwa'', Moskwa, 1945). Kluczewskij oparł się na następujących danych historycznych: na przełomie starożytności i średniowiecza step nadpontyjski zaludniali Antowie, o których pierwszą wzmiankę znajdujemy u greckiego kronikarza, Jordanesa. Antowie toczyli kilkunastoletnią wojnę z Gotami, którym też ostatecznie ulegli. Jordanes podaje nawet imiona króla gockiego, Winitara, i wodza Antów, Boża. Prokopiusz z Cezarei, dostojnik na dworze Justyniana I-go i uczestnik wypraw Belizariusza, sytuuje Antów między Dniestrem i Donem; o ich walkach z Obrami czyli Awarami pisze Menander. Jak dotąd jesteśmy w VI stuleciu, a ostatnia wzmianka o Antach pochodzi z roku 602-go. Odtąd głucho o tych ziemiach w kronikach bizantyńskich przez lat przeszło dwieście, co tłumaczyć należy stopniowym zanikiem starej greckiej kolonizacji na północnych wybrzeżach Euksynu; następnie dokładniejsze informacje przyniesie dopiero wiek IX-ty a przede wszystkim prace historyczne cesarza Konstantyna Porphyrogenety, który żył w pierwszej połowie X-go stulecia.

Dokumentacja, dotycząca walk Antów z Gotami, jest niezmiernie szczupła, ogranicza się właściwie do paru wzmianek. Za to o wojnie z Awarami mówi znacznie dokładniej najstarsza kronika kijowska, podając między innymi, że ,,Obrowie wojowali ze Słowianami i pokonali Dulebów, którzy byli Słowianami, i znęcali się nad dulebskimi kobietami''. Kluczewskij i Griekow zgrzeszyli przesadą, twierdząc, jakoby opór Awarom stawiło jakieś zorganizowane państwo, któremu przewodniczyli właśnie Dulebowie. Z notatki kronikarza wynika jednak tylko tyle, że wojna toczyła się w ogóle ze Słowianami, przy czym ich część, to jest Dulebowie, uległa zbrojnemu podbojowi. Innych plemion nie wymienia, zatem awarski podbój ograniczył się do Dulebów. Ale wojna toczyła się w ogóle ze Słowianami, to znaczy, że poszczególne szczepy połączyły się w obliczu niebezpieczeństwa. Taka liga wojenna, zawierana na czas najazdu, to jeszcze nie państwo, ale to już pierwszy krok w jego kierunku. Działo się to wszystko w połowie VI-go wieku, zatem na dobre trzysta lat przed zjawieniem się Waregów. Trzysta lat to spory kawał czasu i trudno przypuścić, aby ci sami Słowianie, którzy umieli zdobywać się na jedność plemienną w 560-ym, mieli stanowić masę całkowicie bezkształtną w wieku IX-ym.

To jednocześnie stanowi najlepsze wyjaśnienie, dlaczego awanturniczym, a z konieczności szczupłym liczebnie drużynom Waregów udało się tak łatwo, a nade wszystko tak *szybko* zorganizować państwo. Widocznie, były już jakieś precedensy.

Może więc klęska, zadana antynormanistom przez prof. Paszkiewicza, nie jest taka kompletna i coś niecoś z tego pogromu da się uratować. Może należałoby pójść drogą pośrednią i oświadczyć: przybycie Waregów przyspieszyło powstanie państwa, które uprzednio tworzyło się stopniowo w ciągłych walkach z najeźdźcami. Przynajmniej tworzyło się na bardziej ograniczonej przestrzeni. Greccy kronikarze nie są całkowicie zgodni co do rozmieszczenia siedzib Antów; Prokopiusz mówi o przestrzeni między Dniestrem i Donem, Jordanes podaje Dniepr jako wschodnią granicę, czyli redukuje interesujące nas terytorium do połowy.

Co jednak stało się ostatecznie z Antami, którzy dla Kluczewskiego i Griekowa stanowią protoplastów późniejszej Rusi? Po wieku VI nazwa ta znika całkowicie. Kroniki kijowskie jej nie znają. Może Antowie wywędrowali, zdegustowani ciągłymi napadami tiurskich przybyszów? Ich udział w inwazji Bałkanów nie ulega wątpliwości. To zatem oni, pod zmienionym imieniem skolonizowali kraje zadunajskie: Istrię, Illirię, Macedonię, Trację? Kronika kijowska mówi o tych czasach, co następuje: ,,Wtedy był tylko jeden słowiański naród, to znaczy: Słowianie Dunajscy, których podbili Ugrowie, Morawianie, Czesi, Lachy i Polanie, którzy dziś nazywają się Rusią''. Wzmianka dotyczy czasów sprzed słowiańskiej inwazji Bałkanów; Słowianie są już w Pannonii, ale jeszcze nie poszli dalej. Zwraca też uwagę, że kronikarz nie wymienia poszczególnych plemion, używa nazw ogólnych: Czesi, Lachy, Słowianie Dunajscy. Z tego byłby wniosek, że i nazwa Polan użyta została w znaczeniu ponadplemiennym. Co to ma wspólnego z Antami. To właśnie, że daty pokrywają się, zatem Polanie, o których dbały o ścisłość kronikarz dodaje, że ,,dziś nazywają się Rusią'', najwidoczniej stanowili dalszy ciąg owych Antów, co tak uparcie opierali się Gotom i Awarom, a później częściowo wyemigrowali na Bałkany. Według Wernadzkiego, razem z Antami zawędrowała na stepy nadpontyjskie część plemienia Tocharów, w których języku ,,*anty*'' znaczy *pole*. Jeśli Wernadzki ma rację, o czym ,,skrzypce Ingresa'' nie mogą decydować, Polanie byli potomkami Antów w najprostszej linii.

Gdzie indziej kronikarz notuje, że Grecy nazywali obszary na północ od Czarnego Morza ,,Wielką Scytią'', przy czym używali tego określenia w dwóch wersjach terytorialnych: szerszej i bardziej zredukowanej. ,,Dulebowie siedzieli na Bugu, gdzie dzisiaj Wołynianie, a Uliczanie i Tiwercy siedzieli na Dniestrze, sąsiadowali z Dunajem; było ich wielu, bo siedzieli na Dniestrze aż do morza, a miasta ich istnieją do dziś; a Grecy nazywali to Wielką Scytią''. W innym miejscu czytamy: ,,Oleh zebrał

wielu Waregów, Słowinów, Czudów, Krywiczan, Merię, Polan Siewierzan, Drewlan, Radzimiczów, Chorwatów, Dulebów i Tiwerców, którzy są w sojuszu. Wszystkie te plemiona Grecy nazywają Wielką Scytią''. Różnica bardzo poważna. W pierwszym wypadku mowa o trzech plemionach znad Dniestru i Bugu; w drugim dochodzą nie tylko szczepy południowe, jak Polanie i Drewlanie, ale i północne, a nawet dwa fińskie: Czudowie i Meria. Ale nas obchodzi przede wszystkim określenie — ,,którzy są *w sojuszu*'', oraz uporczywe nawracanie do starej greckiej nazwy ,,Wielka Scytia''. Pytanie, czy chodzi wyłącznie o termin geograficzny, czy również o jakąś organizację ponadplemienną. Skoro byli w sojuszu, to chyba jedno i drugie.

Zadziwia, jak łatwo przyszło Olehowi zebrać na wyprawę na Carogród (907) plemiona tak bardzo terytorialnie rozpierzchłe na olbrzymiej przestrzeni między Łagodą i Dnieprem, Bugiem i Oką. Ta łatwość również potwierdza, że jednak jakieś pierwociny, choćby najbardziej prymitywne, ustroju państwowego musiały przedtem istnieć. A jeśli nic nie było, jak zrozumieć, że zaledwie w czterdzieści lat po przybyciu Waregów, są oni w stanie zorganizować wyprawę wojenną, ogarniającą jedenaście różnych szczepów, oddalonych jeden od drugiego o setki kilometrów? Odkładając zatem tezę o istnieniu państwa Antów już w VI-tym stuleciu między baśnie, zgódźmy się, że Ruś pierwszych Rurykowiczów nie wyskoczyła, jak Atene z głowy Zeusa, na sam błysk wareżskiego miecza, lecz była przygotowana wcześniejszym wysiłkiem słowiańskich autochtonów. W ten sposób i normandzki wilk syty i słowiańska owca cała.

III

Zasadnicze znaczenie dla sporu ,,normanistów'' z ,,antynormanistami'' ma sama nazwa ,,Ruś''. Aleksander Brückner powiedział kiedyś — jak przypomniał w ,,Wiadomościach'' prof. Stroński — że ostateczne wyjaśnienie tej spornej nazwy stanowić będzie klucz do wczesnych czasów Rusi. Czy prof. Paszkiewicz znalazł ten klucz?

Przypomnijmy, że spór toczy się od lat stukilkudziesięciu i po dziś dzień do uzgodnienia stanowisk nie doprowadził. Nie ulega wątpliwości, że u wielu rosyjskich historyków, a właśnie wśród nich mamy najliczniejszych ,,antynormanistów'', względy uboczne, więc w danym wypadku narodowe i polityczne, odgrywały rolę decydującą. Ale nie u wszystkich i nie zawsze. Nawet i dziś, mimo że historycy w Sowietach piszą pod terrorem, nie można ich potępiać w czambuł; Partia wszystkiego nie dopilnuje i nie dopatrzy, i tworzą się marginesy, na których nawet sowiecki uczony może poruszać się z całkowitą swobodą. Są zresztą tematy, dla dialektyki materialistycznej obojętne.

Zdaje się, że pierwszym antynormanistą w stosunku do pochodzenia nazwy ,,Ruś'' był wszechstronny poligraf, Łomono-

sow, żaden zresztą autorytet w dziedzinie historycznej. W jego ślady podążali Ewers, Rosenkampf, Neumann, Giedeonow. Tej samej opinii przytrzymywał się Sołowjow. Najdalej poszli Zabielin i Kowalewskij, którzy twierdzili, że założyciele państwa kijowskiego byli albo autochtonami, albo wenedzkiego pochodzenia, przybyli zatem z południowych brzegów Bałtyku, nie ze Skandynawii. Kowalewskij powoływał się na źródła greckie i arabskie, mające świadczyć, że nazwa Ruś zjawia się *przed* przybyciem Waregów. Wtórują mu historycy ukraińscy z Hruszewśkym na czele. Wzmianki w żywotach świętego Jerzego Amastryckiego i świętego Stefana Surożskiego mówią o napadach ,,zgubnego z imienia i czynów swoich narodu Ruś'' pod datą wcześniejszą. Ze znanych mi recenzyj z dzieła prof. Paszkiewicza nie mogłem się dowiedzieć, czy rozprawia się on i z tymi argumentami.

Filologia nie wiele nam pomaga. Finnowie po dziś dzień nazywają Szwedów ,,Ruotsi'', ale słaba to racja. Ktoś wyskoczył przecież ze zwariowaną hipotezą, że skoro w italskim Sabinum była miejscowość Rosia, musiała istnieć ścisła parantela między dawną Rusią a Rzymianami czy nawet Etruskami! Nazwy rzek miewają przeważnie prozapię odleglejszą niż nazwy krajów i narodów. Jeśli fińskie Ruotsi ma aż takie znaczenie, takie rzeczne nazwy, jak Roś, Rossa, Rosawa, Rusa, Rośka, Rostowyca, Rutek, też mają coś do powiedzenia. Za to imiona pierwszych książąt ruskich świadczą na rzecz normanistów. Istotnie, argument, że imiona skandynawskie przenikały dzięki stosunkom handlowym, podobnie jak przenikały imiona czeskie i polskie (wśród synów Włodzimierza Wielkiego mamy Bolesława i Stanisława), wydaje się naciągnięty. Jest ich za dużo: Ruryk, Truwor, Askold, Oleh, Ihor, Olga, nawet Włodzimierz (od Waldemar). Na to antynormaniści odpowiadają, że zanim Waregowie opanowali Kijów, rządziła tam dynastia legendarnego Kija, o którym mówi Nestor. Legendarny? Nie mniej legendarna jest owa trójca wareżska: Ruryk, Sineus i Truwor. Jakże w tej kakofonii racji i kontrracji wygrać czystą melodię skromnym ,,skrzypeczkom Ingresa''?

Wracam przecież do swego: drużyna wikingów nie przyszła na ziemie politycznie i państwowo całkowicie dziewicze. Gdyby było inaczej, trudno wytłumaczyć, dlaczego normańskie wpływy językowe były na Rusi Kijowskiej tak minimalne, na ustroju społeczno-państwowym zaważyły niewiele, a jeszcze mniej na ustawodawstwie, które aż zadziwia swą łagodnością, bardzo w nie skandynawskim stylu. To są chyba argumenty istotne.

,,Zebrawszy Ruś, Waregów i Słowian, Jarosław wyprawił się przeciw Bolesławowi i Światopełkowi...'' — pisze Nestor. Prof. Stroński uważał, że Ruś występuje tu jako nazwa nadrzędna, obejmująca zarówno Waregów jak Słowian. Myślę, że chodzi o pewne nieporozumienie. Skoro Ruś pierwotnie obejmowa-

ła Kijów, Perejasław i Czernihów, znaczy to, że Nestor określa jako Słowian inne szczepy, np. Nowogrodzian albo Krywiczan. Ale skąd to wyraźne wyodrębnienie Waregów? Mogła to być najemna drużyna, świeżo przybyła ze Skandynawii Thietmar w swoim opisie Kijowa wymienia Duńczyków), a może chodzi o coś ważniejszego? Ruś — to miejscowi: Polanie, Siewierzanie... Waregowie — to Waregowie!

Spór o pochodzenie nazwy „Ruś" nie miałby takiego znaczenia i nie budziłby tylu namiętności, gdyby nie łączył się z centralną polemiką o pochodzeniu państwa ruskiego. Wydaje się jednak, że te dwa spory można oddzielić. Bez względu na to, czy Waregowie narzucili nazwę Ruś, czy też powstała ona niezależnie na miejscu, organizacja ponadplemienna mogła istnieć nad Dnieprem jeszcze przed Rurykiem. Cytowałem już słowa kronikarza o poszczególnych szczepach, że „są w sojuszu". Ta sama kronika mówi o epoce przed-normańskiej, że „Polanie i Drewlanie, Siewierzanie i Radimiczanie, Wiatyczanie i Dulebowie żyli w pokoju". Akurat chodzi o te same plemiona, które wspólnie oparły się najazdowi Awarów, jedne — jak Dulebowie — ulegając przemocy, inne ratując się przed podbojem. „Byli sojusznikami", „żyli w pokoju" między sobą, walczyli razem, gdy napadał wróg. Szczupłe to świadectwo, ale dostatecznie wymowne. A Kijów, jak zgodnie stwierdzają wszystkie źródła, był ludnym i bogatym miastem już w drugiej połowie X-go wieku. Czy to nie zbyt szybki wzrost, jak na stolicę kraju, który ledwie sto lat temu miał być pozbawiony wszelkiej organizacji? Historia nie zna podobnych fenomenów, więc „skrzypki Ingresa" protestują cienkim głosem.

IV

Kilkakrotnie wspomniałem o Dulebach. Na mapie, którą prof. Stroński załączył do swojej recenzji z książki prof. Paszkiewicza w „Wiadomościach", daremnie szukałem tych Dulebów, z których żonami i córkami brzydko pohulali przed tysiącem i czterystu laty zwycięscy Awarowie. Między Wieprzem i Styrem mieszkają Bużanie, ku południowi Chorwaci (Czerwoni Chrobaci), za Słuczem ku Dnieprowi — Drewlanie. Naiwna Derewla, której wodzów podstępna Pskowianka, Olga, usmażyła w łaźni. Dulebów nie ma. Z tymi nazwami w ogóle jest spory mętlik, tym bardziej, że niektóre z nich nie mogą usiedzieć na miejscu i ciągle wędrują. Wygląda na to, że jakieś odłamki Dulebów wzięły udział w bałkańskiej inwazji, dokonanej przez Antów. Może Dulebowie to właśnie Bużanie i Chorwaci? Ale tych prof. Paszkiewicz zalicza do Słowian Zachodnich, konkretnie — do Lachów. Jedno wiadomo na pewno: Dulebowie mieszkali na Bugu i mieli ścisłe stosunki z innymi plemionami wschodniosłowiańskimi, a zwłaszcza z Uliczanami i Tiwercami, siedzącymi nad Dniestrem aż do Dunaju. Ponadto kronikarz mówi naj-

wyraźniej: Dulebowie przebywali tam, „gdzie dzisiaj (to znaczy współcześnie kronikarzowi) Wołynianie''. Jeżeli, jak twierdzi prof. Paszkiewicz, granice osadnictwa wschodnio-słowiańskiego stanowiły rzeki: Bug, Horyń ze Słuczem, lub Styr, w takim razie nie tylko Dulebowie (Bużanie? Chorwaci?), ale również Uliczanie i Tiwercy nie należeli do Słowian Wschodnich, wbrew wyraźnym informacjom Kroniki kijowskiej.

Jednakże Nestor mówi nie mniej wyraźnie: „Ide Wołodymyr k Lacham i zaja' horody ich Peremyszl, Czerwień i inne horody, iże sut' i do seho dnia pod Rusju''. Czerwień dawno umiejscowiono nad Huczwą koło Hrubieszowa. Jeżeli ów Peremyszl odpowiada dzisiejszemu Przemyślowi nad Sanem — to pół biedy; jeżeli, jak sądzą niektórzy badacze, odpowiada Peremylowi nad Styrem, sprawa komplikuje się. Ale co znaczy to „Ide k Lacham''? Do kraju czy do państwa Lachów? Wyjaśnienie tej wątpliwości ułatwiłoby załatwienie sporu o charakterze etnicznym Ziemi Czerwieńskiej za pierwszych Piastów. Przy okazji inne pytanie: dlaczego według tradycji historycznej Bolesław Chrobry „bił żelazne słupy'' na Bugu, zamiast na Styrze czy Słuczu? To również ma swoje znaczenie.

Prof. Paszkiewicz przeprowadza tezę, że nie tylko Ziemia Czerwieńska ale i zachodni Wołyń należały pierwotnie do polskiego obszaru etnicznego, który skurczył się następnie na skutek podboju politycznego, a przede wszystkim w konsekwencji przynależności kościelnej do Metropolii Kijowskiej. Co jednak począć z wiadomościami o Dulebach, którzy włażą niesfornym klinem w harmonijną całość? Przejść nad tym do porządku dziennego nie można, bo kronikarz zbyt często do Dulebów powraca. Jakby się uparł! Chyba, że znajdą się dowody, że wywędrowali w całości na Bałkany. Takich dowodów nie znam.

Zagadnienie jest trudne, bo natychmiast kładzie się na naszych rozważaniach cień konfliktu polsko-ukraińskiego, jak gdyby od słuszności lub niesłuszności tez profesora Paszkiewicza zależały przyszłe losy Lewandówki i Zamarstynowa. Wydaje się jednak, że prasa polska zbyt pochopnie podchwyciła to twierdzenie, traktując sprawę jako załatwioną definitywnie (Stroński, Sopicki). Paweł Hostowiec w „Kulturze'' dyplomatycznie ją przemilczał. Już tam historycy ukraińscy na pewno zataczają ciężkie działa i szykują prochy i kule, by przyjść zagrożonym pozycjom z walną odsieczą.

V

Sporo uwagi poświęca prof. Paszkiewiez zasięgowi terytorialnemu nazwy Ruś. Wynika z tych rozważań, że ograniczał się on początkowo do Rusi naddnieprzańskiej: Kijowa, Perejasławia, Czernihowa, zaś w znaczeniu ogólnym nazwa ta występuje wyłącznie w odniesieniu do obrządku religijnego. Tak było aż do połowy wieku XIII-go, czyli do napadu Mongołów.

Ścisłej granicy w czasie nie przeprowadzimy. Piotr Wielki

zmienił nazwę państwa jednym pociągnięciem pióra; w średniowieczu piór do takich robótek nie używano. Proces rozszerzania się nazwy Ruś na cały kraj był niewątpliwie stopniowy i powolny; tytułem analogii przypomnijmy, ile czasu dla swego ustalenia się potrzebowała nazwa Ukrainy. Jeżeli przy końcu wieku XIII-go Rusią w odczuciu ogólnym jest już Nowogród i Suzdalszczyzna, należy założyć, że sporadycznie czyniono tam to samo znacznie wcześniej. Czyli, że granica czasu, proponowana przez profesora Paszkiewicza, budzi poważne wątpliwości. „Słowo o pułku Ihora" powstało najpóźniej w roku 1187-ym, a właśnie w jego tekście zjawia się określenie „Ruś" w znaczeniu ogólnym. Ale tu właśnie sęk i to dziurawy! Bo autor „The Origin of Russia", idąc za francuskim uczonym André Mazonem, uważa „Słowo" za nieautentyczne. Bezapelacyjnie! Pastiche, apokryf, falsyfikat. Jedyny niewygodny świadek uległ całkowitej kompromitacji.

Tu „skrzypce Ingresa" zaczynają grać nieco głośniej. Stają się śmielsze. W tej sprawie głos ma prawo zabrać nie tylko historyk i filolog, ale również liryczny poeta. Spór o „Słowo" toczy się już od półtorawiecza. Zastrzeżenia wysunięto natychmiast po znalezieniu manuskryptu, który następnie spalił się, przez hrabiego Musina-Puszkina (1795). Wówczas jego wielki imiennik, ale nie krewny, Aleksander Puszkin, wystąpił w obronie autentyczności „Słowa", twierdząc, że w wieku XVIII-ym nie było w Rosji człowieka, który mógłby taki falsyfikat sporządzić. Argument ten i po stu przeszło latach gra z równą siłą.

Zważmy. Autor podobnego apokryfu musiałby nie tylko świetnie orientować się w historii i stosunkach XII-go stulecia, o co znów nie tak trudno; nie tylko musiałby znać dobrze mitologię irańską i tiurską, od której ech w poemacie aż się roi, ale przede wszystkim — i to najważniejsze — musiałby posiadać talent poetycki na wielką miarę. Mamy do czynienia nie tylko z wysokim poziomem artystycznym, ale i z wielką świeżością i bezpośredniością odczuwania poetyckiego. Do tego dochodzi tak niewątpliwa szczerość diatryb politycznych, że staje się nie do wiary, aby mógł je napisać ktoś po wielu stuleciach. Ten *ktoś* musiałby być mistyfikatorem prawdziwie genialnym. Któż więc? Na pewno nie stary Dierżawin, ani żaden ze współczesnych mu literatów, bo zaprzeczy temu najbardziej nawet powierzchowna analiza. Prof. Mazon był na byle nieostrożny, że, poszukując na gwałt kandydata na autora, wskazał na samego odkrywcę, Musina-Puszkina, i na poczciwego autora Archiwum Ministerstwa Spraw Zagranicznych w Moskwie, Bantysz-Kamieńskiego, co brzmi zupełnie niepoważnie. Nie wiem, czy prof. Paszkiewicz uwzględnił w swoim dziele polemikę Jakobsona z Mazonem, która ukazała się niedawno w Stanach Zjednoczonych. W świetle argumentów Jakobsona teza francuskiego uczonego wypadła raczej nieszczęśliwie.

Apokryfy nie miewają długiego życia. Albo autor ujawni się sam, albo go przyaresztuje krytyka literacko-filologiczna. Tak było z ,,Pieśniami Osjana'' i ,,Kraledworskim rękopisem''. Żaden Sherlock Holmes nie jest w stanie aresztować autora ,,Słowa''. Prowadzić śledztwo na dworze kijowskim przy końcu XIII-go wieku trochę za trudno.

Powtórzmy jeszcze raz to, co wiadomo od dawna : apokryf ,,Słowa'' mógłby powstać tylko pod piórem bardzo wybitnego, jeśli nie genialnego poety. Osobiście uważam, że nie dokonałby tego żaden poeta osiemnastowieczny, zatem klasycyzujący, choćby na największą miarę. Jakiś rozmiłowany w średniowieczu romantyk — prędzej. Ale jesteśmy przecież w roku 1795, a wtedy o romantyźmie nikomu w Rosji się nie śniło.

Z interesującą hipotezą wystąpił ostatnio Siergiej Tarasow, w emigracyjnym ,,Nowym Żurnale'' (XXXIX, 1954). Zwrócił on uwagę na faworyta (,,miłostnik'') kijowskiego księcia, Swiatosława Wsiewołodowicza, imieniem Koczkar. Dlaczego właśnie na niego ? Był on prawą ręką Swiatosława, ulubieńcem i głównym doradcą w ambitnych planach zjednoczenia całej Rusi i wzmocnienia powagi wielkoksiążęcego ,,stolca'' Swiatosław przedstawiony jest w poemacie w niezwykle pochlebnych barwach, na pewno ponad miarę, podobnie jak książęta Wsiesław i Izjasław, ojciec i brat żony Swiatosława, Marii Wasylkówny. Jeśli więc hipoteza Tarasowa jest słuszna, poeta był dworakiem, składający należne hołdy swemu władcy i jego rodzinie.

W poemacie zadziwia ilość elementów pogańskich, oraz słów tiurskiego pochodzenia. Dodać trzeba, że poza książętami inne osoby rozpływają się w bezimienności, z jednym charakterystycznym wyjątkiem. Chodzi o ochrzczonego Połowca Owłura, do którego autor nie tai swojej sympatii. Kronika nie podaje chrzestnego imienia Koczkara, choć niewątpliwie był chrześcijaninem. Koczkar — to imię tiurskie. Doradca księcia Swiatosława pochodził zapewne z któregoś z tiurskich plemion, jak Torkowie, Brendeje, Kowuje czy Moguty, osiedlonych w Kijowszczyźnie i Czernihowszczyźnie pod ogólną nazwą Czarnych Kłobuków. Właśnie pochwałę tych plemion wygłasza autor ,,Słowa'', którego właściwości językowe wskazują poza tym na czernihowskie pochodzenie. Czarne Kłobuki reprezentowali poważną siłę zbrojną i w trudnych chwilach zachowywali się wobec książąt ruskich lojalniej niż sienkiewiczowscy Lipkowie wobec Rzeczypospolitej, z łasym na Basine wdzięki Azyą na czele.

Przypuszczenie jest tylko przypuszczeniem, ale przyznać trzeba, że do Koczkara autorstwo ,,Słowa'' pasuje jak ulał. Żywiołowe odczucie przyrody stepowej, które musiało być silniejsze u syna koczowników, niż u jakiegoś mnicha, skrobiącego piórem w klasztorze, czy w ogóle mieszkańca grodu; pomieszanie elementów chrześcijańskich z pogańskimi, z przewagą tych ostatnich, co nie powinno dziwić u neofity; znajomość terminologii tiurskiej; przywiązanie do księcia, który wyniósł go, bądź

co bądź obcego, do godności swego doradcy — wszystko to znajdujemy w „Słowie". Sam Tarasow przyznaje, że to luźna supozycja, ale Koczkar na pewno lepiej wygląda w roli autora „Słowa", niż lansowany przez Mazona carski urzędnik, Bantysz-Kamienskij. Na bezrybiu i Bantysz ryba...

Skoro mówimy o Koczkarze i jego tiurskim pochodzeniu, warto przyjrzeć się pod światło jeszcze jednej białej... no, powiedzmy — szarej plamie na mapie historycznej. Nikt dotąd nie zabrał się na serio do wszechstronnego wyświetlenia przemian etnicznych, spowodowanych przez mieszanie się Słowian południowo-wschodnich z ludami irańskimi, a później tiurskimi. Chociażby wspomniane Czarne Kłobuki, z ich wszelkimi odgałęzieniami. Mogutowie, Tatrany, Szełbiry, Topczakowie, Rewugi, Olberowie i ilu ich jeszcze było. Historii powstania i rozwoju Kozaczyzny nie podobna napisać bez wyjaśnienia ich roli. Cóż dopiero, gdy ze stepu ukraińskiego zboczymy ku wschodowi i, przepłynąwszy przez Bagna Meockie, zajrzymy na Północny Kaukaz! Ale to już osobny temat, o którym może przy innej sposobności.

VI

Skończyliśmy naszą krótką wycieczkę w głąb Czarnego Lądu historii. Zdaję sobie sprawę, że popełniłem szereg nietaktów, a ten największy, że wypowiadam wątpliwości w związku z książką, której nie czytałem. Recenzenci mogli nie wszystko wiernie przedstawić, choć konfrontacja jednych z drugimi wypada bez zarzutu. Mogli to i owo pominąć — a i nuż właśnie w tym, co pominęli, zawarta jest wyczerpująca odpowiedź na wysunięte wątpliwości? A ponadto wyglądam trochę na uzurpatora, boć tytułu do zabierania głosu — tytułu utrwalonego na urzędowym papierze — żadnego. No, cóż... Ingres też, zdaje się, konserwatorium nie kończył... Przeprosiwszy zatem kogo należy, za nadmierną odwagę, wieszam moje rękodzielne skrzypeczki na ścianie i wracam do malowania. Piórem, oczywista.

Józef ŁOBODOWSKI

Dumaine: plotki i polonica

Pamiętniki niedawno zmarłego ambasadora Jacques Dumaine (*Quai d'Orsay*, 1945-1951, Juillard, 1955) porównała krytyka francuska do Saint Simona i do La Rochefoucauld. Nic w tym może specjalnie dziwnego, gdyż

pewien odłam wykształconej francuskiej burżuazji od szkolnych lat stawia sobie za wzór tych dwóch pisarzy. U Dumaine'a odnajdujemy nie tyle talent, co snobizm, złośliwość i plotkarstwo Saint Simona, a stara się on zamaskować je siląc się od czasu do czasu na aforyzmy, w których zadowolenie z siebie przemyca jako rezygnację w stylu La Rochefoucauld. Książka ta jest ciekawym dokumentem społecznym. Warto by zacytować wieczór w ambasadzie brytyjskiej, wydany przez Duff Cooperów dla Bevina i jego żony. Atmosfera porozumienia ludzi należących do tej samej kasty kosztem „robociarza", mrugnięcia okiem i półuśmiechy wymieniane przez Lady Diane i Dumaine'a ściśle określające granice zachodniej „demokracji" w konkretnym pożyciu między ludźmi. Poczciwy Dumaine w sposób prosty i bezpośredni umie pisać tylko o ludziach z własnego środowiska. Nawet o prezydencie Auriol (którego rzekomo bardzo szanuje) nie potrafi pisać inaczej jak „ce brave Auriol". Jego szacunek polega właściwie na stałym zdziwieniu, że prosty człowiek z Tuluzy ma „une distinction naturelle", i że stosunkowo mało robi gaff. Ale jak ryba w wodzie czuje się Dumaine ze starą Bibesco i innymi intelektualnymi babusami. Frywolność (mimowolna) tych pamiętników jest zadziwiająca. Z lat formacji Czwartej Republiki pozostają w głowie tego ambasadora tylko światowe ploteczki i czwartorzędne „incydenty". Czasami incydenty te mają swoją wagę i wymowę — jak próżność De Gaulle'a, który odmawia pojawienia się przed parlamentem jeśli nie zostaną mu oddane specjalne honory (których nie przewiduje protokół). Albo anegdoty — jak powiedzenie Malraux że zbawić Francję mogłoby zabójstwo De Gaulle'a. Poloniców w tej książce nie wiele. Po zamachu stanu w Pradze przeciwstawia Dumaine Czechów Polakom, którzy są „przechwalający się, bezładni, prowokatorscy, ale zawsze patrioci". Ciekawsze są konkretne fakty. O aresztowaniu francuskich agentów konsularnych w Polsce pisze Dumaine: „Incydent który zaszedł w stosunkach polsko-francuskich wykazuje daremność naszych prób penetracji do krajów poza żelazną kurtyną. Trzeba by ograniczyć się do związków kulturalnych, to znaczy do nauczania języka francuskiego... Nasza organizacja D.E.C.E. chciałaby być na wysokości Intelligence Service i amerykańskich biur „Psychological Warfare". Ale, aby zacząć robotę za żelazną kurtyną, oparła się ona o nasze ambasady i konsulaty, które w ten sposób są skompromitowane za każdym incydentem. Poza tym, na mocy praw wzajemności, jesteśmy w ten sposób zmuszeni do pozostawienia pewnej swobody działania szpiegostwu polskiemu, czeskiemu i sowieckiemu we Francji, o wiele bardziej groźnemu, gdyż korzystającemu z pomocy emigrantów i z piątej kolumny naszej partii komunistycznej. Oto już dwa lata jak staram się aby Francja zażądała redukcji personelu konsulatów polskich, co oczywiście musiałoby być odwzajemnione redukcją naszego personelu w Polsce. Odpowiada mi się zawsze z tajemniczą miną że sprawa jest niemożliwa do załatwienia".

A oto, 25 grudnia 1949, *sprawa bomby pod ambasadą polską w Paryżu :*

„Dziś rano o szóstej wybuchła bomba przed polską ambasadą. Usłyszałem wybuch, ale nie wywołał on u mnie żadnych podejrzeń. Później poszedłem wyrazić moje oficjalne współczucie ambasadorowi (Putramentowi), który przyjął mnie spokojnie i miło; był najwidoczniej zadowolony że na-

prężone stosunki pomiędzy naszymi krajami nie pozbawiają go należnego mu ceremoniału i grzeczności. Putrament, poeta i dyplomata, należy do tych ludzi którzy się duszą za żelazną kurtyną. Ponieważ należy on do partii socjalistycznej, ma on mało wpływu na rząd komunistyczny. Jego położenie nie pozwala mu ani na szczerość w stosunku do nas, ani na wpływy w Warszawie. Zamach dokonany tego rana posłuży mu jako argument i pozwoli na podkreślenie swemu ministrowi niebezpieczeństw i złych stron misji we Francji. Tak że oddałem wizytę człowiekowi któremu spadł ciężar z serca, a wcale nie oburzonemu".

7 *styczeń* 1950:

„Stosunki polsko-francuskie nie ulegają poprawie. Po bitwie na szable przyszła bitwa na koziki. Rząd polski podkreśla naszą odpowiedzialność w zamachu i nie przyjmuje argumentów ambasadora, który niedawno bardzo umiarkowanym tonem przemawiał do dziennikarzy: przeciwnie udziela mu za to nagany. Na Quai d'Orsay postanowiono zbyć tę sprawę milczeniem. Ale komunikat francuskiej agencji prasowej, ogłoszony w „Le Monde" stwierdza, że mówiąc ze mną Putrament oświadczył iż rząd francuski nie jest w niczym odpowiedzialny... Kompromituje to Putramenta, który ze swej strony musi oskarżać mnie o podwójną grę i fałsz. (Po konsultacji z sekretarzem generalnym) ...zredagowano zaprzeczenie, które ukazało się w dziennikach wieczornych i które zaniosłem Putramentowi. Putrament, zżarty bezsennością i strachem, wysłuchał mnie grzecznie i z przygnębieniem. Ale kiedy się dowiedział o zaprzeczeniu, wzrok jego ożywił się: „Uniknęliśmy katastrofy; stosunki francusko-polskie wyjdą zwycięsko z tej burzy; niech prędko powrócą do tego czym były dawniej". Chciałem zmniejszyć jego optymizm, mówiąc, że stosunki te są mocno nadwerężone, że potrzebują wielu leków. „Ależ Pan mi tu przynosi penicylinę", zakrzyknął Putrament któremu przybyło sił. Poczciwy chłopak czuł się zgubiony wiadomościami, które ukazały się w prasie i miał uczucie topielca. Skoro miał już dla siebie alibi, wyobraził sobie, że wszystko się wyjaśniło. Nie podzielam jego polskiego optymizmu, ale cieszę się, że nie wyglądam już w jego oczach na nielojalnego rozmówcę".

8 *lipca* 1950 — *uwagi wojnie koreańskiej:*

„Znalazłem niespodziewany refleks u polskiego ambasadora, któremu ostrożnie mówiłem o sytuacji. P. Putrament nie chce się przyznać do jakiego stopnia obawia się Sowietów, ale jego strach jest widoczny i wprost poci się. Kiedy wyraziłem mój niepokój wobec przedłużającej się kampanii koreańskiej i obawę przed jej komplikacjami, Putrament mi odpowiedział: „Niech się Pan nie łudzi. Krótka zwycięska kampania Amerykanów zmusiłaby natychmiast Sowiety do nowej dywersji gdzie indziej. Prawdopodobnie w Europie. Myślę, że będą się trzymać spokojnie, póki wypadki będą zlokalizowane na Dalekim Wschodzie". Czy polski ambasador chciał w ten sposób uśpić nasze obawy, czy też dawał nam ciche ostrzeżenie?"

(J.)

"L'huile de la lampe"

Narody są jak dusze rozszerzone, porozumiewają się najlepiej drogą miłosierdzia. Pomiędzy Polską a Francją istnieje dużo zbieżności, a więzy miłości, które w tajemniczy sposób połączyły te kraje, więzy, których dotąd nie znałem, odsłoniła mi piękna książka Marii Czapskiej. Tym bardziej wzruszyłem się tym jako dawny uczeń i wyznawca nieznanego Lazarysty, syna św. Wincentego à Paulo, owego „Monsieur Pouget", którego *Portret* ongiś skreśliłem (**).

Maria Ludwika Gonzaga, królowa Polski, była „panią Miłosierdzia" w duchu św. Wincentego, ona to zapragnęła wprowadzić do Polski coś z atmosfery tego świętego. Ojciec Wincenty wysłał więc do Polski pierwszą misję : trzy zakonnice, które giną od zarazy. Uporczywy, zastępuje te pierwsze innymi.

„W obliczu nadzwyczajnych klęsk miłosierdzie musi wzrastać na ich miarę".

Książka Marii Czapskiej przedstawia nam skutki tego aktu miłości, skutki ilustrujące prawo w porządku duchowym, które chce by czyny natchnione miłosierdziem stanowiły tajemną więź pomiędzy duszami, więź łączącą dzieło z życiem i narody pomiędzy sobą, na ile te narody stanowią jedno ciało w Chrystusie.

Spodziewamy się, wspólnie z Marią Czapską, że nie zabraknie nigdy opieki i opiekunów dla Zakładu Św. Kazimierza *radicatus in tanta caritate*.

Jean GUITTON.

(*) Marie Czapska, *L'Huile de la Lampe*, préface de Robert Garric, Desclée de Brouwer, str. 124 i 4 nlb.
(**) O pracach J. Guitton, dotyczących O. Pouget, patrz „Kultura", Nr 93/94 1955 r.

Listy do Redakcji

Drogi redaktorze,

W ramach akcji przeciwko wpływom niektórych emigracyjnych pisarzy jaką prowadzi się obecnie w Polsce, prasa tamtejsza rozpowszechnia o mojej osobie rozmaite wersje. Nie uważałem za stosowne bawić się w śmieszne w tych warunkach sprostowania. Jednak moje milczenie staje się dla dziennikarzy warszawskich nowym argumentem, poza tym wielu młodych nie zna dawnych spraw. Z niechęcią więc wybieram kilka wersji.

1. Że ukradłem pieniądze, bo odszedłem po pierwszym. W trosce o finanse Polski Ludowej doradziłbym zbadać co się stało z moją ostatnią pensją, której nie tknąłem odchodząc 1 lutego 1951 roku oraz z honorariami autorskimi w ZAIKS'ie.

Korzystam ze sposobności, żeby zapytać co się stało z moimi książkami, skonfiskowanymi przez ambasadę w Waszyngtonie. Było tego ponad 600 tomów, głównie z zakresu literatury amerykańskiej, nie tylko, również białe kruki, jak ,,Hamlet" z komentarzem Matlakowskiego. Chciałbym żeby posłużyły jakiemuś zakładowi naukowemu a nie pająkom.

2. Że posiadałem za okupacji niemieckiej paszport litewski. Należy przypomnieć, że miasto Wilno i okolice zostały włączone do Litwy w początku wojny. Kiedy wydawano tam na wiosnę 1940 roku mieszkańcom nowe paszporty, w rubryce ,,narodowość" miałem wpisane ,,Polak". Później w Warszawie zachowałem litewskie papiery na prośbę ,,szefa" który wtedy zajmował się przekazywaniem mikrofilmów do Londynu a dziś jest w PZPR. Nie użyłem jednak dokumentu wobec Niemców ani razu i nie potrafiłbym powiedzieć czy usprawiedliwiona była legenda jakoby chronił on w łapankach. We wrześniu 1944 wydostałem się z obozu na Okęciu wyłącznie dzięki pomocy zakonnic zorganizowanej przez małżeństwo Okulicz ukrywające się w składzie nasion Hozera, wdzięczność przechowuję do dziś.

3. Że opisywałem Polskę komunistyczną żeby wkupić się w łaski Amerykanów. Jak wkupywałem się, wiedzą czytelnicy ,,Kultury". Wiedzą też Polacy którzy składali na mnie donosy do ambasady amerykańskiej załączając moje artykuły na dowód że jestem bolszewikiem.

4. Że moja książka ,,Zniewolony Umysł" była zrzucana przy pomocy baloników. Nic mi nie wiadomo, żeby spotkało to jakąkolwiek z moich książek. Mogłaby to zrobić tylko Free Europe ale wtedy zwróciłaby się do polskiego wydawcy to jest ,,Kultury" o zgodę na specjalne wydanie, co nigdy nie nastąpiło.

5. Że ,,oni" mnie wydają i płacą. Jacy ,,oni" ? Moje książki ukazują się u prywatnych wydawców a nie słyszałem żeby literat żyjący ze swego pióra popełniał przez to przestępstwo.

6. Że popchnął mnie do zerwania strach przed wojną. Czyżby z tego wynikało, że opuścić Stany Zjednoczone w okresie wojny koreańskiej i przyjechać do Warszawy było z mojej strony aktem odwagi ?

Czesław MIŁOSZ

Paryż, 10. 1. 1955.

Szanowny Panie Redaktorze,

Wobec rozgłosu jaki tej sprawie nadał artykuł p. Mieroszewskiego w styczniowej „Kulturze" pragnę wyjaśnić, iż rezolucja potępiająca inicjatywę „Kultury" jako „niebezpieczną choć *może* nieświadomą próbę dywersji w szeregach polskiej emigracji" — powzięta została nie przez Syndykat Dziennikarzy Polskich we Francji, a przez *Zarząd* Syndykatu.

Łączę wyrazy poważania i szacunku

Z. MICHAŁOWSKI

◆

Knutange, 29. 12. 1955.

Szanowny Panie Redaktorze,

Od kilku lat czytam i abonuję miesięcznik „Kultura". Po ostatnim wystąpieniu Panów do czynników komunistycznych z propozycją dyskusji, uważam za konieczne wymówić prenumeratę, aby nie robić wrażenia, że czytelnicy aprobują szkodliwe dla Polski posunięcia Zespołu „Kultury".

Łączę wyrazy poważania.

J. MASZCZYK

◆

Londyn, 8. 1. 1956.

Drogi Panie Redaktorze !

Słuszny jest list inż. Jana Rakowicza z Lester o artykule dra Girniusa (patrz nr 10 i 12 „Kultury"), ale jeżeli się mówi „wspólność religii", to trzeba pamiętać, że Wielkie Księstwo Litewskie uznawało sześć religii, co wybitnie przyczyniło się do tolerancji w całej Rzeczypospolitej.

Oczywiście, że większość Litwinów i Polaków jest wyznania rzymsko-katolickiego, ale inż. Rakowicz, czytając w „Kulturze" zajmującą „Dolinę Issy" Czesława Miłosza, mógł sobie uprzytomnić tak pięknie ujętą w niej „Jednotę Litewską".

Te braterskie zrzeszenie, tzw. „Kalwinów" istnieje i dotychczas nietylko w uczuciach pokrewieństwa ale i w fakcie wyboru w roku 1936 obywatela Republiki Litewskiej, księdza Konstantego Kurnatowskiego, profesora Uniwersytetu w Kownie, superintendentem Konsystorza Ewangelicko-Reformowanego Wileńskiego.

Synod zaś Litewskiego Kościoła Ew.-Reform. na uchodźstwie w Chicago wybrał w roku 1954, księdza profesora K. Kurnatowskiego, generalnym superintendentem Kościoła Ew.-Reform. Republiki Litewskiej z pozostawieniem superintendentem Polskiego Konsystorza w Wilnie.

Więc te przykłady braterstwa polsko-litewskiego mniejszości religijnej jeszcze bardziej podkreślają tezę autorów.

Inż. Edward RAYSKI

Toronto (Kanada), 20. 12. 1955.

Szanowny Panie Redaktorze,

P. Michał Sokolnicki w liście do Redakcji zamieszczonym w grudniowym numerze „Kultury" (12/98) pokwitował tezę dr. Girniusa o złamaniu Umowy Suwalskiej zdaniem: „Oczywiście strona polska wie, że niewypełnienie Umowy Suwalskiej wyżłobiło ciężką urazę"...

Prof. Władysław Wielhorski w swej pracy „Polska a Litwa — Stosunki Wzajemne w Biegu Dziejów", The Polish Research Centre, Londyn 1947 na str. 347-349 pisze:

„... rokowania o zawieszenie broni z Litwinami i o ustalenie warunków rozejmu, przerwane zostały w Kalwarii 18 września 1920 roku. Rozpoczęły się one 30 września 1920 roku na nowo w Suwałkach, na propozycję polską. Po tygodniowych naradach, 7. 10. 1920 r. strony doszły do spisania warunków częściowego i lokalnego zawieszenia broni. Konwencja Suwalska z 7. 10. 1920 r. została, dzięki usilnej i wytrwałej propagandzie litewskiej, przedstawiona światu, jako polityczny traktat pokojowy między dwoma państwami, zerwany nazajutrz po podpisaniu go przez Polaków. Po dwudziestu latach autosugestii w tym kierunku, społeczeństwo litewskie zdaje się, już nawet szczerze uwierzyło w powyższą wersję. Najważniejszą okolicznością przy upowszechnianiu tego mitu pozostawał fakt, że treść umowy Suwalskiej, o której bezustannie wiele pisano i mówiono w Litwie, prawie nikomu znaną nie jest. Logiczny i gramatyczny sens tekstu — zastąpiła legenda. Z podziwu godnym uporem i konsekwencją była ona upowszechniana. Okoliczność powyższa każe poświęcić nieco uwagi temu dokumentowi. Mówi on sam za siebie. Nazwa umowy brzmi po polsku po prostu: „Umowa" a nie „Traktat". W tłumaczeniu francuskim „Convention" a nie „Traité". Mamy pod ręką tłumaczenie francuskie tej umowy. Oto najważniejsze jej przepisy:

Art. I-szy. „Ustanowiona zostaje pomiędzy wojskiem polskim a litewskim linia demarkacyjna, która nie przesądza wcale praw terytorialnych z umawiających się stron". Następuje dalej opis tej linii. Biegnie ona na terenie Wileńszczyzny z zachodu na wschód, od stacji kolejowej Orany do stacji kolejowej Bastuny. (Uwaga autora: Stacja Bastuny leży wprost na południe od Wilna, w odległości powietrznej około 68 km.) Artykuł głosi dalej, że linia demarkacyjna nie może być przekraczana przez wojska obu stron.

Art. II-gi. „W celu potwierdzenia i wykonania czasowego i częściowego zaprzestania działań wojennych pomiędzy wojskami polskimi i litewskimi... układające się strony zobowiązują się do zaprzestania działań wojennych pomiędzy obu wojskami na całej długości linii demarkacyjnej od granicy Prus Wschodnich do południa, który przechodzi przez wioskę Poturze, położoną mniej więcej o 9 km. na północny-zachód od Ejszyszek". Pomiędzy południkiem wsi Poturze a stacją Bastuny „zaprzestanie działań wojennych pomiędzy wojskami polskimi a litewskimi nastąpi natychmiast, gdy wojska sowieckie wycofane zostaną na wschód od toru kolei żelaznej Lida-Wilno". Art. II-gi postanawia wreszcie, że dla wstrzymania walk pomiędzy wojskami polskimi a litewskim na wschód od stacji Bastuny — zbierze się specjalna konferencja po usunięciu stamtąd wojsk sowieckich. Jeżeli porozumienia na niej nie osiągnie się, to strony zwrócą się do Ligi Narodów.

Art. III-ci umowy decyduje drobne zagadnienia użytkowania przez wojska obu stron stacji kolejowej Orany. Art. IV przyrzeka „w zasadzie" przystąpić do wymiany jeńców pomiędzy stronami. Sprawa ta ma się ostatecznie zdecydować później. Art. V i ostatni, postanawia, że umowa

wchodzi w siłę 10 października 1920 roku w południe i „pozostaje w mocy do chwili ostatecznego uregulowania sporów terytorialnych pomiędzy Polską a Litwą". Dalej czytamy wzmianki o mapie, na podstawie której umowę zawierano oraz wypowiedź, że oryginały są spisane po polsku i po litewsku. Oto wszystko. Ze strony polskiej rokowaniom przewodniczył i umowę podpisał J. Łukasiewicz (późniejszy ambasador w Moskwie i Paryżu), oraz pułk. M. Mackiewicz.

Powyższe porozumienie posiada więc charakter czysto wojskowy. Jest umową incydentalną, ograniczoną ściśle w czasie i przestrzeni. Załatwia sprawę cząstkowego zawieszenia broni na określonych odcinkach frontu. Pośrednio przewiduje zatem nawet dalsze walki zbrojne polsko-litewskie na wschodnim odcinku frontu, które trwać tam mogą aż do chwili odsunięcia wojsk sowieckich poza ten teren, względnie do zakończenia prac specjalnej Konferencji. Art. I-szy zastrzega wyraźnie, że linia demarkacyjna nie przesądza w niczym praw terytorialnych stron. Rozgranicza ona jedynie obszary dyzlokacji dwu wojsk pozostających z sobą podówczas w styczności bojowej. Umowa wchodzi w życie w trzy dni po jej podpisaniu: 10. 10. 1920 roku w południe.

Gdyby generał L. Żeligowski działał podówczas nawet nie w imieniu ludności wileńszczyzny, lecz jawnie w imieniu Rzeczypospolitej Polskiej, to mógłby z równym skutkiem prawnym — gdy chodzi o powyższą umowę — operacje swoje rozpocząć i prowadzić, wychodząc, ze stacji Bastuny. I to nie tylko z tego powodu, że w dniu 8 października, gdy się akcja generała Żeligowskiego rozpoczęła, Umowa Suwalska w ogóle jeszcze nie obowiązywała stron, lecz i dlatego, że działania te wyszły z odcinka frontu, nie objętego umową o zawieszeniu broni w Suwałkach, gdzie operacje wojskowe obu stron nie były krępowane, co wyraźnie tekst umowy zaznacza, a nawet przewiduje je niejako, stwierdzając, że zatrzymane zostaną dopiero przez „Specjalną Konferencję", po odejściu z tego rejonu wojsk sowieckich. Konferencja taka w momencie, o który chodzi, zaprojektowaną jeszcze nie została."

Dr Girnius pracę prof. Wielhorskiego z pewnością zna, niestety nie znamy jej my, czego dowodem wypowiedź ambasadora Sokolnickiego.

Pragnę dodać, że dla czytelnika zaznajomionego z chłodną i beznamiętną rozprawą naukową prof. Wielhorskiego, artykuł dr. Girniusa nabiera całkiem innego wydźwięku, niż zamierzony przez autora.

Łączę wyrazy szacunku,

Marian T. CHYLIŃSKI

◆

Spinkhill via Sheffield, 2. 1. 56.

Szanowny Panie Redaktorze !

Dopiero w czasie świąt Bożego Narodzenia przeczytałem z daleka dostojewszczyzną zalatujące samobiczowanie się Stanisława Mackiewicza w numerze 11/97 „Kultury". Ten dokument, raczej dla psychoanalityka, niż badacza „najnowszej historii Polski", nie nadaje się oczywiście do polemiki. Jeden tylko jest problem, który Mackiewicz porusza mimochodem, nakazujący szersze omówienie, a mianowicie niezmiernie istotne zagadnienie komunikowania się emigracji z Krajem. Jeśli odrzucić słusznie przez opinię publiczną na emigracji potępione metody Bergu, to pozostaje jedynie droga radiowa. Mackiewicz, zapominając, że jedynie w klimacie duchowym so-

wieckim obelga jest racją, a wyzwisko dowodem, potępia korzystanie z obcych radiostacji w czambuł, bez podania jakiegokolwiek cienia nawet argumentu.

Jak swego czasu pisałem o tym na łamach ,,Życia", sprawa jest bardzo prosta. Niewątpliwie, najlepiej by było, gdyby emigracja mogła mieć do swej pełnej dyspozycji jakąś radiostację odpowiedniej mocy. Chociaż i to — jak świadczy smutne doświadczenie z podległą Rządowi Polskiemu w Londynie radiostacją czasu wojny — nie byłoby gwarancją właściwej informacji Kraju. Niestety jednak takiej radiostacji emigracja nie posiada i w najbliższej przyszłości na pewno posiadać nie będzie. Dwie są tylko więc możliwości: albo w ogóle zaniechać komunikowania się z Krajem, albo też korzystać z radiostacji obcych tak długo, jak długo nie stoi to w sprzeczności z polską racją stanu. Otóż nikt dotąd w całej polskiej prasie nie zarzucił żadnej z polskich ekip radiowych aby choć jedna z ich audycji była z punktu widzenia polskiego szkodliwa. Już to samo jest najlepszym dowodem, że na ich czele stoją ludzie właściwi, którym z punktu widzenia polskiego niczego zarzucić nie można, lecz raczej na odwrót — należy się wdzięczność. A tym samym zarzucać im, że są ,,organami dywersyjnymi i nieodpowiedzialnymi" może jedynie tak nieodpowiedzialny publicysta jak Stanisław Mackiewicz. Na czym bowiem polega jego zarzut? Oto, że w ,,momentach" gdy polityka Ameryki wobec Rosji ,,nabiera charakteru największej koegzystencji" ton ,,Wolnej Europy" i innych radiostacji ,,nie ulega żadnej zmianie". Na miłość Boską, czyż pan Mackiewicz wyobraża sobie, że ilekroć Eisenhower uśmiechnie się do Chruszczowa, radiostacje polskie winny głosić ,,finis Poloniae" i wzywać Kraj, aby zaniechał wszelkiego oporu wewnętrznego i dobrowolnie dawał się rusyfikować i komunizować? Czyż właśnie taka zmiana tonu radiostacji, zależnie od chwilowej taktyki amerykańskiej, nie byłaby dowodem, że dana radiostacja pilnuje bardziej racji stanu amerykańskiej, niż polskiej?

Wydaje mi się, że ton zasadniczy polskiej akcji radiowej na Kraj powinien — niezależnie od fluktuacyj polityki Zachodu — podtrzymywać tego ducha opozycji wewnętrznej, o którym pisze ,,Neue Zuericher Zeitung" (str. 149 tego samego numeru ,,Kultury"). Unikając więc wszelkiego nawet pozoru wzywania do jakiejś akcji czynnej, czy organizacji podziemnej, które mogłyby wywołać niepotrzebne represje (a tego wszystkie polskie ekipy radiowe ściśle przestrzegają), zasadniczy ton propagandy musi na wszelkich polach (naukowym, religijnym, literackim, ideologicznym, społecznym, politycznym itp.) przeciwstawiać się tezom komunistycznym i tendencjom rusyfikacyjnym i tym samym dostarczać ludziom, a zwłaszcza młodzieży, w Kraju strawy duchowej i amunicji do wzmożenia oporu wewnętrznego. A że polityka Zachodu się wciąż zmienia? Cóż z tego? Wierzymy i wiemy, że konflikt Zachodu z Rosją nabrzmiewa nawet wbrew woli polityków i mas Zachodu, po prostu w wyniku nie dających się pogodzić sprzeczności ekspansji sowieckiej z podstawowymi założeniami życia i kultury Zachodu. Kiedy ten konflikt wybuchnie w formie takiej, że wyzwolenie Polski stanie się możliwe, nie wiemy, ale jedno jest pewne: byłoby niepowetowaną klęską, naprawdę końcem Polski, gdyby konflikt ten miał zastać Kraj doszczętnie zrusyfikowany i duchowo skomunizowany.

I właśnie dlatego z dwu możliwości: korzystania z radiostacji obcych w granicach polskiej racji stanu lub też zaniechania wszelkiej propagandy radiowej, aby się nie ,,strefnić", to ostatnie wyjście byłoby więcej niż zbrodnią, bo głupotą.

Proszę przyjąć, Szanowny Panie Redaktorze, wyrazy głębokiego szacunku.

Tadeusz FELSZTYN

Londyński korespondent „Kultury": Juliusz MIEROSZEWSKI, 11 Gainsborough Road, London, W.4. — Telefon: CHIswick 1860.

Cena ogłoszeń: cała strona 20.000 frs., 1/2 *strony* 10.000 frs. (*w tekście* + 50%; *okładka* + 100%).

Wydawca: Edition et Librairie „LIBELLA", 12, rue St-Louis-en-l'Ile, Paris (4e)

Directeur-gérant: Mme Christiane Karasiewicz.
Dépôt-légal: 1er *Trimestre* 1956.

Zapowiedzi wydawnicze

TOM XIV - BIBLIOTEKI "KULTURY"

RAYMOND ARON

KONIEC WIEKU IDEOLOGII

Tytuł oryginału: *L'OPIUM DES INTELLECTUELS*
Z przedmową autora dla czytelnika polskiego.

- *Czy pojęcia „lewicy" i „prawicy" mają poza refleksem emocjonalnym istotnę znaczenie we współczesnym świecie?*
- *Czy ewolucja świata komunistycznego idzie w kierunku pragmatyzmu, oddalając się od ideologii?*
- *Czym jest wyzwolenie „rzeczywiste" proletariatu, a czym wyzwolenie „ideowe"?*
- *Jakie realia społeczne i historyczne wpływają na ideologie inteligencji w różnych krajach?*

Raymond Aron, profesor Sorbony i publicysta, który w szeregu dzieł analizował mity świata współczesnego, stara się w swej ostatniej książce odpowiedzieć na te pytania.

Książka R. Arona w przekładzie polskim ukaże się w ramach „Biblioteki Kultury" w końcu marca br.

WIADOMOŚCI PSYCHOLOGICZNE

WIADOMOŚCI PSYCHOLOGICZNE. Ukazał się pierwszy zeszyt czasopisma naukowego, poświęconego zagadnieniom psychologii. Prace przygotowawcze do tego wydawnictwa były w swoim czasie anonsowane w „Kulturze"). Zeszyt składa się z dwóch części — jedna zatytułowana „Materiały do bibliografii polskiej psychologii na Obczyźnie" przeznaczona jest do rejestrowania całkowitej twórczości naukowej psychologów Polaków, publikowanej w jakimkolwiek języku w postaci książek i monografii, lub rozpraw i przyczynków zamieszczanych w czasopismach specjalnych. Pierwszy zeszyt „Materiałów" przynosi 33 pozycje bibliograficzne (9 autorów), podając polskie i oryginalne tytuły opublikowanych prac, pełne szczegóły bibliograficzne, jak miejsce druku, nazwy czasopism, daty, objętość (przy książkach — ceny), oraz pełne streszczenia prac, pozwalające zaznajomić się z ich zakresem, ujęciem, wnioskami autora itd. Dodatkowo „Materiały" podają również dział „Z Kraju", zawierający nazwiska autorów i tytuły prac z zakresu psychologii ogłoszone w Kraju, przynosząc w pierwszym zeszycie 25 pozycji (21 autorów).

Druga część „Wiadomości Psychologicznych" (z odrębną paginacją) poza wstępem „od wydawnictwa", oraz informacjami przeznaczonymi dla autorów streszczeń i innych materiałów do publikacji, zawiera obszerny artykuł dra J.L. Zająca (Edynburg) o jego podróży do Ameryki, gdzie miał on okazję odwiedzić psychologiczne wydziały i instytuty uniwersytetów w Stanach Zjednoczonych i Kanadzie, oraz konferować z wielu wybitnymi uczonymi.

„Wiadomości Psychologiczne" projektowane tymczasem jako wydawnictwo kwartalne, nie znajdują się w sprzedaży ogólnej, ale dla wszystkich bezpośrednio zainteresowanych naukowymi badaniami w zakresie psychologii są dostępne po porozumieniu się z sekretariatem wydawnictwa (za pośrednictwem redakcji „Kultury").

KULTURA

REDAKTOR : JERZY GIEDROYC
Adres Redakcji: 91, Av. de Poissy Maisons-Laffitte (S.& O.)
Telefon : Maisons-Laffitte (S.-et-O.) 19-04

PRZEDSTAWICIELSTWA	Egz. poj.	Prenumerata ½-roczna	Prenumerata Roczna
AFRYKA POŁUDNIOWA: Janusz Kruszyński, 54, 15 th. St., Parkhurst, Johannesburg	3 sh. 9 d.	20 sh.	40 sh.
ARGENTYNA: Tadeusz Dąbrowski, „Libreria Polaca", Serrano 2076, Buenos Aires	15 peso	90 peso	180 peso
AUSTRALIA: „Vistula" (Australia) PTY Ltd., 77, Pitt Street, Sydney	5 sh. (a.)	£.A.1.7.6.	£.A.2.12.6.
BELGIA I KONGO BELG.: Janina Korab Brzozowska-Csaky, 19, Square Sainctelette, app. 2, Bruxelles, Nr konta poczt. 7315-20.	30 frb.	145 frb.	260 frb.
BRAZYLIA: Prenumeraty przyjmują: **Julia Barcińska**, r. Itaipava 101 (J. Botanico), Rio de Janeiro; **Zofia Kietlińska**, Av. Batel 1514, Curitiba, Paranà; **Hanna Lekszycka**, r. Guiarà 139, vila Pompeia, Sao Paulo	40 cruz.	200 cruz	380 cruz.
BRYT. AFRYKA WSCH. (Kenya, Tanganyka, Uganda), Roman Królikowski, POBOX 5979, Nairobi, Kenya	3 sh. 9 d.	20 sh.	40 sh.
FRANCJA: „Libella", 12, rue St-Louis-en-l'Ile, Paris (4e)	180 fr.	900 fr.	1.800 fr.
HOLANDIA: T. Szpilczyński, Stadhouderskade 60 A, Amsterdam-Z., Tel.: 716080	2 fl. hol.	12 fl. hol.	24 fl. hol.
KANADA: K. Krakowska, 3445 Marlowe Ave., N.D. de G., Montreal/Que., Tel.: HU 8-5224; **St. L. Lemański**, 570 Aberdeen Ave., Winnipeg/Man.; **H. R. Radomski**, 107, Rose Park Drive, Toronto/Ont. Tel. HY-0829; **St. Zybała**, 1089 Queen St. W., Toronto/Ont.; **„Związkowiec"**, 1475 Queen St. W., Toronto 3, Ont., Tel. EM 4-4139.	75 cent.	4 dol.	6 dol.
MEKSYK: Victor Stanisławski, Apartado Postal 206, Culiacan, Sin.	75 cent.	4 dol.	6 dol.
NIEMCY: „Ostatnie Wiadomosci", Gendarmerie Kaserne, Mannheim-Schoenau; **St. Mikiciuk**, (13b) München 45, Gablonzerstr. 7/I.	2,50 DM	13,50 DM	25 DM
NORWEGIA: Br. Łubiński, Moss, Kongesgt. 2.	3 sh. 9 d.	20 sh.	40 sh.
SZWAJCARIA: Maria Wasung, 2, rue Thalberg, Genève, Tél. 32-32-92	2 fr. szw.	12 fr. szw.	22 fr. szw.
SZWECJA: Red. Norbert Żaba, Kallskärsgatan 3/IV, Stockholm		18 kor.	33 kor.
U.S.A.: Polish Amer. Book Co, 1136 Milwaukee Ave., Chicago 22, Ill.; **W. Bieńkowski, „Gryf Publ."**, 296 Sheridan Av., Albany, N.Y.; **L. Dudarew Ossetyński**, 28471 Ventura Blvd, Agoura, California; **S. Dziarczykowski**, 3216 W.— 15 St., Los Angeles 19, California; **M. K. Dziewanowski**, 51 Reservoir St., Cambridge 38, Mass.; **T. Konopacki**, 1356 E. 86 St., Cleveland 6, Ohio. Tel. SW-1-2040; **Ch. M. Kretowicz**, 2109 Robinwood Ave, Toledo 2, Ohio; **A. Pleszczynski**. 2025 Monterey St. Santa Barbara, Calif.; **K. Trojanowski**, 17932 Van Dyke, Detroit 34 Mich. **S. Dobczynski, Alma Shipping Co.**, 11 Cooper St., New York 34, N.Y. **The Polish Book Importing Co, Inc.**, 38 Union Sq., New York 3, N.Y.	75 cent.	4 dol.	6 dol.
W. BRYTANIA: „Gryf" Publication Ltd., 169-171, Battersea Church Road, London, S.W.11.	3 sh. 9 d.	20 sh.	40 sh.
WŁOCHY: Ewa WIERUSZ-Kowalska, Corso Trieste 130/5, Roma, tel. 859632.	300 lir	1.750 lir	3.000 lir

W krajach niewymienionych prenumerata jak we Francji, plus koszty porta 180 frs półrocznie i 360 frs rocznie. Przesyłka pojedyńczego numeru: 30 frs.

Należności we Francji wpłacać można przekazem pocztowym na adres :
Jerzy GIEDROYC, 91, Avenue de Poissy, **Maisons-Laffitte** (S.-et-O.)

Imprimerie RICHARD,
24, rue Stéphenson, Paris (XVIII°).

Cena 180 frs.